

Józef Ignacy Kraszewski

Bracia Zmartwychwstańcy Tom 3



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

Bracia Zmartwychwstańcy.

Powieść z XI wieku.

TOM TRZECI .

Rozdział 1.

W pierwszej swej wycieczce tak nieszczęśliwej do lasu Jaksowie nie śmieli już wypraszać się więcej za furkę klasztorną. Nie tyle się lękali Domolusa, który nie widywał nikogo, jak nieco lekkomyślnego Jaśka z Tęczyna, i nie bez przyczyny. Nie przeczuwali jednak, że to, co mogło być niebezpieczeństwem, szczęśliwym obrotem do przyspieszenia ich wyzwolenia przyczynić się miało. Życie też klasztorne, zrazu tak straszne, znośniejszym się z każdym dniem stawało. Wszyscy ojcowie, z którymi się choć trochę rozmówić mogli, tak dla nich byli uprzejmi, tak weseli, tak dobrej myśli, że obcując z nimi, mimo woli smutku się pozbywało. Młody Odo był im tłumaczem i przewodnikiem, kilku też innych zakonników po trosze się już rozmówić umiało.

Nie zbywało na przedmiotach obudzających ciekawość. Klasztor był ich pełnym. Każdy niemal z braci świętego Benedykta miał jakieś zajęcie. Chodząc po celach mogli się przypatrywać ze zdumieniem, jak się w rękach wprawnych kruszce w żądane kształty wyginały posłuszne, jak się w ogniu topiły bezbarwne mieszaniny żywymi krasząc kolory. Andruszka mniej był może ciekaw tych rzemiosł, które za poślednie majsterstwa uważał, nie godne, by się nimi wojak zajmował; Jurgę zajmowały te tajemnice i bawiło przypatrywanie się mnichów zajęciom rozlicznym.

Szczególne jednak urok miało dlań pismo, te znaki nieme, tajemnicze, które myśl, w sobie spowiniętą, mogły nieść na drugi koniec świata i w wieki odległe. Nie przystało mu uczyć się go, lecz patrzeć lubił w wielkiej izbie, gdy wszyscy ojcowie zajęci byli wielką robotą, jak to tam szła praca podziałem raźnie i pięknie. Niekiedy do pośledniejszych zajęć z ochotą się braciszkom ofiarował, a oni śmieli się wesoło z tego niezgrabnego nowicjusza.

W klasztorach benedyktynów, których przepisywanie rękopismów było niemal głównym zajęciem, dzieliła się praca na wiele rąk i głów, począwszy od najpośledniejszej do najważniejszej i najzawikłańszej.

Jurga mógł się tu przypatrzeć, jak ojciec Arnolf, staruszek niezbyt już silny i przygarbiony, nic więcej nie robił, tylko atrament i kolory przygotowywał. Cały dzień czuwał nad nimi, odświeżał, rozrzedzał, dosypywał, dolewał. Znano go nawet lepiej pod nazwą Ojca Atramentariusza niż pod jego imieniem zakonnym.

Drugi braciszek siedząc u okna strugał trzciny i zacinał pióra. Ten miał

młodsze oczy i pewniejszą rękę. Jak każdy inny, i on od piór każdej godziny mógł

być oderwanym do noszenia wody albo nawet rąbania drew i szedł z takim pośpiechem a ochotą jak by do najmilszej sprawy.

Osobny stół miał ojciec Teodoryk, który pargamin czyścił i wygładzał. Tu i siły było potrzeba i zręczności.

Nad niejedną buntowniczą skórką dobrze się musiał namęczyć, lecz pociechę też miał, gdy szorstka i

twarda w rękach jego stała się śnieżystą i połyskującą. Z niej dopiero inny brat wycinał pod miarę równe kartki, przeznaczone do złożenia kodeksu. Z jednego kawałka szły często i ogromne karty do chorałów i gradułów, i malutkie zrzynki na pośledniejsze użytki.

Ze stołu tego przechodził pargamin do ojca Rubryki. Ojciec Rubryka siedział

wygodnie i czerwonymi liniami kreślił na białych kartkach przyszłe wiersze rękopismu. Dowodził on, jak zresztą każdy z ojców, iż najważniejszą ze wszystkich spełniał czynność. Śmiejąc się jedni po drugich dopominali się uznania, iż gdyby nie oni, nie byłoby rękopismów, a w istocie wszyscy się na nie składali.

Kilku młodszych braci pisało i nad nimi Jurga stawał najdłużej, przypatrując się z podziwieniem, jak pod ich palcami rodziły się te znaki dziwnie powyginane, niektóre rozrosłe, wystrojone w purpurę i złoto, otoczone floresami jak dworem jakim, poczwarkami, stworzonkami, dziwacznymi wzory.

Czasem jeden z piszących miejsce zostawił próżne na tego magnata drugiemu bratu, który najzręczniejszemu umiał wypieścić naczelnika liter i wystroić go odświętnie.

Jurga te wielkie głoski nazywał królami i książętami, resztę wojskiem, co szło za nimi.

Cóż dopiero było mówić, gdy wypadła cała karta zamalowana figurami,

których znaczenie tłumaczyli mu ojcowie. Tu trzeba było misterstwa wielkiego i barw rozlicznych a świetnych. Nie jeden raz zmęczył się biedny kunsztmistrz na to, aby w końcu westchnął boleśnie znajdując dzieło swe innym, niż je w duszy nosił.

Boleść Chrystusowa nie dość mu była bolesną, piękność Matki Boskiej nie dosyć piękną, anioły nie dosyć powietrzne. Więc smucił się on, drudzy go pocieszali, a Jurga podziwiał, jak ręka ludzka w tak drobnych rozmiarach tyle pomieścić mogła.

Szło potem dzieło pracy rąk tyłu do tego, co je czytał po głosce i poprawiał

mozoląc się więcej może niż ten, co je przepisywał.

Na ostatek w rogu pod oknem siedzący z pomocnikami staruszek wiązał

rozpierzchłe karty, zbijał je w całość i okrywał okładzinami, do wartości kodeksu zastosowanymi. I było się tu czemu napatrzeć, bo choć często prosta deska drewniana służyła dla ochrony, obciążano ją kosztowną materią jedwabną, obijano klamrami srebrnymi i mosiężnymi. Rękopisma przeznaczone dla książęcych i pańskich kaplic ubierano w kość słoniową, blachy srebrne i kamienie drogie.

A gdy w pocie czoła wywiedziona na świat księga skończoną była i odnieść ją miano do przeora, co za radość! Jak się każdy cieszył, co się do tego choć w częście jakiejś przyłożył! Pysznił się ojciec Atramentarius i braciszek Rubryka, i ten, co gładził skórę, i ten, co pióra zacinał.

Nikt powiedzieć nie mógł, ażeby skarb ten drogi był jego dziełem. Składali się nań wszyscy. Może też zwyczaj tego podziału pracy u ojców benedyktynów miał na celu właśnie, by nią żaden dumnym

być nie miał prawa. Wiadomo z reguły zakonnej, iż ilekroć postrzegał przełożony, że braciszek zřęcznościami w kunszcie jakim mógł się wbić w pychę, odejmował mu pracę tę, a dawał inną, aby pokorę przypominał i nauczył jej.

Jurga bawił się braćmi i zabawiał ich razem. Nie wzbraniano mu przesiadywać w tej izbie, którą był sobie upodobał. Znajdował go tu często przeor i uśmiechał mu się zapytując, czy się też czego nie nauczył.

— Nic, Przewielebny Ojcie — śmiał się wojak sam ze siebie — jedno, co umiem, to krew czerwionszą od najpiękniejszych z tych farb przelewać.

— Ażebyś to wiedział, Jak śliczne rzeczy, jak ciekawe nawet dla rycerza znajdują się w tych skórkach — mówił przeor — jakie się tu opisują przygody osobliwe, czyny wielkie, boje sławne

Odo, który był przytomny, dodał po cichu.

— Żeby nasz gość mógł przeczytać lub usłyszeć te śliczną historię Waltera, którą mnich w Sankt Gallen tak pięknie wierszem opisał.

— Tym ciekawszą by ona dla niego była — dodał przeor — iż tu pono na Tyńcu ów Walter życie swe miał zakończyć.

— O historii Walgierza Wdałego — przerwał Jurga — już mi Jaśko z

Tęczyna wspominał, ale jej nie znam.

— Tak mówią, że ów Walter i Walgierz jedną są osobą — dodał przeor. —

Baśnie o nim prawią. Najpiękniejsza jednak ta, którą nasz brat z Sankt Gallen ułożył

wierszem godnym dawnych poetów...

Tego dnia skończyło się na pobieżnej wzmiance o Walgierzu, lecz Jurga wyszedłszy z biblioteki zaniósł znudzonemu Andruszce wiadomość o historii, o której mu wspomniano, a ten mocno się nią zajął, jako czyny rycerskie i nadzwyczajne przygody opiewać mającą. Niestety trudno tu było kogo uprosić, co by płynniej mógł zrozumiałym językiem wytłumaczyć braciom poemat o Walgierzu. Odo, choć dobrej woli, źle mówił po polsku, inni ani czasu, ani języka po temu nie mieli.

Jurga chodząc do księży ciągle się o tego Walgierza dopytywał. Ten i ów coś mu więcej o nim przebąknął, lecz tylko ciekawość podrażnił, a nie zaspokoił. Przeor aż się śmiejąc litował nad Jurgą, iż tak pięknej baśni nie będzie mógł poznać, gdy przypadek nastęrczył niespodzianego i ochotnego pośrednika między spragnionymi a niedostępnym dla nich źródłem.

Jednego dnia Odo wbiegł z oznajmieniem o księdzu z Krakowa, który się ofiarował wieczorem w izbie gościnnej opowiedzieć im szeroko dzieje owego pana na Tyńcu, tak sławnego w świecie całym. Andruszka szczególnie się tym ucieszył, lubił on bardzo słuchać nawet baśni starych dziadów i opowiadań bab starych, cóż dopiero, gdy mu tu rycerskie dzieje obiecywano. Oczekiwano spełnienia

obietnicy, a gdy godzina wieczorna nadeszła, Jaksowie pospieszyli do gospody, gdzie i przeor się znalazł, a temu nie o znaną baśń chodziło, ale o przysłuchanie się językowi, którego pilno wyuczyć się starał.*

(* Historia Waltariusa i Hiltgundy, wierszem łacińskim opisana przez mnicha z Sankt Gallen, prawdopodobnie Ekkeharda z X wieku, którą wydał J Grimm i A.

Schmeller (1838) a później Edelstand du Meril (1843) przypominają wprawdzie nazwiskiem bohatera i bohaterki nasze podanie a Walcerze (Walgierzu), ale analogia jest tylko w założeniu powieści, której rozwinięcie Grimm nawet nazywa czysto i charakterystycznie słowiańskim. Idziemy tu za dochowana nam starą legendą, taka jaka spisał Paprocki, mało co (w początku) posługując się Walteriuszem (przyp. aut).

Ów ksiądz z Krakowa, w odwiedziny przybyły, niemłody już człowiek a

bywały na świecie i po dworach, wesoło i ochoczo powitał swoich słuchaczy i zasiadł u komina przy kufelku zapewniając przeora, iż mu opowiadanie, choćby niejedną wieczór potrwać miało, samemu uczyni przyjemność.

— A! Zaprawdę — rzekł — godna rzecz posłuchać historii tej, w której niejedna pożyteczna dla ludzi światowych nauka się mieści, szczególnie co do obejścia się z niewiastami i jako losy człowieka zmienne są, a szczęściu własnemu nigdy zawierzać zbytnio ani go na płoczej miłości niewieściej opierać się nie godzi.

Ten wtedy Walgierz, możny pan a komes na Tyńcu, gdy do nas już światło wiary zaglądać zaczęło, a same wojny uczyły, iż na Zachodzie rycerstwo i wszelka umiejętność zakwitała, której my jeszcze doma nie mieliśmy, wyprawił się był dla nauki wojennego rzemiosła i dobrego obyczaju na dwór króla francuskiego. A był

mężem urodziwym, roztropnym, odważnym i wszelkiego dobra chciwym. Tam przybywszy na dwór królewski naprzód jął się przypatrywać, jako drudzy z orężem, końmi i w obyczaju sobie poczynali, a łatwo to wszystko pojąwszy i przyswoiwszy w krótkim czasie innych niemal wyprzedził, tak że go wszyscy wysoko szacować zaczęli. A jako był w latach młodości i krewkości, nie mógł też widzieć codziennie córki królewskiej, Heligundy, nie powziąwszy dla niej miłości gwałtownej. I ta mu też na nią wzajemnością zdawała się odpowiadać, ale z dala tylko widywać się i oczyma z sobą rozmawiać mogli.

Piękna królewna innym też na dworze pozawracała głowy, między którymi szczególnie niejaki Arinald się odznaczał, który u niej całej łaski nie miał, chociaż pilno starał się o nią.

Walgierz widząc, że mu dziewczka przeciwną nie była, u króla też, jej ojca, o wzięcie się starał i tego sobie zyskać potrafił. Przyjęty na dwór, otrzymał nawet urząd podczaszego i u stołu posługując tym łatwiej mógł do królewny się zbliżyć, która przypatrując mu się więcej, coraz serdeczniej skłoną dlań być zaczynała i okazywała mu to jawnie, mając sobie od ojca nadaną swobodę wielką.

Walgierz chcąc ją sobie bardziej pozyskać, ponieważ z domu wyniósł

umiłowanie pieśni i głos wdzięczny, a wiedział, iż się w śpiewie niewiasty lubują, który lepiej od słowa do serca ich przemawia, nocą się podkładał pod okna królowy, śpiewał i grał ,na gęśli, jak mógł najwdzięczniej, a Heligunda rada się temu przysłuchiwała. Wstawała, jak skoro usłyszała głos jego, i dopóki nie odszedł, nie ustępowała na chwilę, chociaż z pieśni poznać go nie mogła, a noc dojrzeć nie dozwalała, kto był onym śpiewakiem. Stróżów, którzy pod oknami wartowali, kupiwszy sobie Walgierz, umówił ich, aby nikomu nie wyjawiali, kto pod oknami królowy pieśni zawodził.

Trwało to nocy kilka, królowa, pieśniami miłosnymi coraz więcej ujęta, gwałtownie zapragnęła wiedzieć, kto je nucił. Przywołano stróżów z jej rozkazu dopytując koniecznie, a ci odpowiedzieli, że nie wiedzą i nie znają śpiewaka, który z zakrytą twarzą przybywał i odchodził. Gdy nalegania, aby go wydali, próżne były, królowa do więzienia stróżów kazała wtrącić i zagroziła im, iż na gardle będą ukarani, jeżeli nazwiska człowieka tego nie wydadzą. Ci uląkłszy się wyznali, iż Walgierz śpiewakiem był.

Uradowała się tym wielce Heligunda, której serce rozdwojone było, bo Walgierza już miłowała wprzód, a pieśniami ją ujął tamten, więc podwójną miłością przystała ku niemu. A gdy się zbliżyli ku sobie i porozumieli, królowa potajemnie zaczęła go do siebie wzywać na rozmowę, co w obojgu poczętą już miłość jeszcze więcej wzmocniło. Postanowili tedy i umówili się na pewno do ucieczki, gdyż zezwolenia królewskiego na małżeństwo spodziewać się nie mogli.

Arinald zaś, odepchnięty przez pannę, inaczej posiąść jej nie mogąc, gdy wyszedł i podpatrzył schadzki i umowy, podsłuchał, że się uciekać sposobili; jako człowiek chytry i przewrotny, nie zdradzając ich przed królem-ojcem, wołał

korzystać z tego na inny sposób.

Ponieważ droga uchodzącym nieodmiennie przez kraj jego prowadzić musiała, którądy rzeka znaczna płynęła i przewóz na niej był do niego należący, Arinald, pożegnawszy króla, jechał do domu, zasadzkę na uchodzących uczynić

postanowiwszy. Rozkaz tedy surowy dany był przewoźnikom, ażeby gdy ujrzą z Francji przybywającego rycerza z panną, któremu zapewne spieszo będzie od pogoni, inaczej go nie przeprawili przez rzekę, jak żądając za to grzywnę złota.

Pewien był, iż Walgierz postłyszawszy cenę w spór się miał wdać i kłótnię z ludźmi u przewozu, a tymczasem dano by znać Arinaldowi, który nadbiegłszy, przypartemu do rzeki Walgierzowi pannę miał wydrzeć.

Stało się, jak przewidział, wszakże nie po myśli jego.! W istocie w kilka dni potem spiesznie uchodząc przypadł Walgierz do rzeki owej, Renu, z dala głosem pańskim i rozkazującym o przewóz co rychlej wołając. Przewoźnicy, ludzie prości, uląkłszy się rycerza groźnie występującego, zapomnieli o rozkazie i niezwłocznie przewieźli go na brzeg drugi. Zażądali tej grzywny złota, lecz Walgierz się nie wadząc rzucił ją im, aby dalej pośpieszać.

Odbiegł był już od brzegów dosyć, gdy Arinaldowi znać dano grzywnę

odnosząc, iż rycerz z panną już przejechał. Wpadł wtedy w gniew niezmierny Niemiec i zebrawszy ludzi czym prędzej w cwał konie puścił, aby dognać uchodzących, którzy już dla ciężaru, jaki z sobą wieźli, ze zmęczenia zbytniego pofolgowali nieco i tylko co się byli w miejscu pewnym, bezpiecznym na spoczynek układli, gdy Arinald nadbiegł ze swoimi.

Walgierz, jako był rycerz ostrożny, choć się już bezpiecznym sądził, nie domyślając napaści żadnej dla wypoczynku wybrał wzgórek, z którego daleko widać było dokoła, aby zniemacka go nie zaskoczono. Nie zrzucał też z siebie pancerza, ani odpasywał miecza, a jeśli zasypiał na tarczy swej ległszy, Heligunda czuwała, tak na przemiany odprawiali warty oboje.

Gdy więc Arinalda ujrzął z daleka Walgierz, wnet go poznał po hełmie domyślając się, co mu tu gotuje, i Heligundę wraz z końmi za sobą postawiwszy sam spokojnie przybycia jego oczekiwał. Chociaż sam był jeden przeciwko kilkunastu Niemcom, nie tracił serca bynajmniej.

Nadbiegł Arinald ze swoimi powołując z dala.

— Mam cię, zdrajco! Córkę królewską ukradłeś, a przez ziemie moje jedziesz i przewozuś nie zapłacił, głowę mi za to dasz!

— Żleś rzekł — odparł Walgierz. — Królowny nie ukradłem, anim ją siłą porwał, gdyż dobrowolnie ze mną ujechała, za przewóz zapłaciłem, a głowy ci nie dam, póki jej nie weźmiesz.

Słyszając to i widząc silnego a mężnego rycerza ludzie Arinaldowi odradzać poczęli, aby raczej okup wzięli i dał im jechać nie stawiając życia na grę niebezpieczną. Lecz Niemiec słuchać ich nie chciał, tchórzami ich obmierzłymi bezczeszcząc.

Wystąpił tedy pierwszy przeciwko Walgierzowi z orszaku Arinalda, Gamelo i tarczę, skórą troistą okrytą na rękę wzięwszy, włócznię rzucił. W czas się opatrzywszy Walgierz uchylił się tak, że na ziemię padła bezsilna, on zaś swoją w chwili, gdy Gamelo miecza miał dobywać, rękę mu przebił i do konia przygwoździł.

Chcąc wyrwać pocisk, raniony tarczę cisnął i lewicą chwycił zań, gdy Walgierz padł na niego i mieczem przebił tak, że on i koń razem runęli.

Gdy się to działo, stojący najbliżej siostrzan Gamela, Gimo, z boleści nad losem zabitego oburącz dzidę na Walgierza rzucił, który stał nieustraszony i nie tknięty. Oba pociski nic mu nie uczyniły: chybił jeden, z drugiego się otrząsnął

Walgierz, gdy Gimo z mieczem nań natarł, lecz ciął na próżno, bo żelazo się oparło, a włócznia Walgierza pod brodę wbiwszy się napastnikowi z siodła go wysadziła.

Umierającemu Walgierz wnet głowę uciął, która się na ziemię potoczyła.

Arinaldowi ludzie stali trwogą zdjęci, lecz on tym mocniej się wściekał, a gwałtowniej zemsty domagał. Wystąpił tedy Werinhard z łukiem i strzałami, które od twardej tarczy ledwie ją drasnawszy odpadały.

— Umiesz się zakrywać od strzał — zawołał — nie ujdiesz miecza mojego.

— Czekam właśnie, abys go dobył — rzekł Walgierz i zarazem konia jego w piersi uderzył. Spiał się koń, Werinharda obalił na ziemię biorąc pod siebie. Tuż poskoczył rycerz, hełm mu zdarł, za jasne włosy pochwycił, głowę podniósł i od karku odrąbał.

Trzy trupy pobitych gniewem okrutnym zapaliły Arinalda, który wołać począł

i zaklinać swoich, aby ukarali zuchwalca. Wszedł tedy po innych Ekefried, Sas, który możnego pana w swym kraju zamordowawszy schronienia u Arinalda szukał i na dworze jego przebywał. Począł się Sas odgrażać i łajać, na co mu też Walgierz odpłacił wyzywając go, aby lepiej mieczem niż językiem poczynał. Ekefried, który dzidę miał całą żelazem okutą, cisnął nią na Walgierza, lecz od tarczy się odbiwszy zawisła mu na ramieniu, a włócznia Walgierzowa skruszywszy tarczę jego, rozłamaną na dwoje, w piersi mu się wbiła. Padł Sas, zalany krwią, a konia jego rycerz ująwszy odwiódł zaraz na stronę.

Za nim pospieszył Hadawart, piąty z kolei, a że przez trupy, które zawałały drogę, przystępu nie było i koń się skakać wzdragał, ruszył pieszo przeciwko Walgierzowi. A nim szedł, wyprosił u Arinalda, jeżeli zwycięży, aby mu się dostała malowana pięknie tarcza, którą Walgierz się zasłaniał.

— Śmiały jesteś i żal mi cię! — zawołał do niego Walgierz.

— A! Ty wężu chytry — krzyknął Hadawart — pociski i strzały cię nie biorą, jak zmija opasałeś się wałem, ale cięcia mojej ręki nie ujdiesz. Chcesz dobrej rady?

Arinald mi tarczę twą podarował, odłóż ją na bok, abym jej nie popsuł. A podobała mi się bardzo. Nie zwyciężę cię ja, stoją jeszcze insi za mną, którzy w końcu za wszystkich się pomszczą.

Walgierz jednak, tarczy się pozbyć nie chcąc, na męznego przeciwnika czekał

słowa z nim mieniając, którymi wzajem w sobie gniew coraz większy budzili; aż Hadawart przypadł z mieczem. Walgierz włócznią się bronił i silnym pchnięciem z dłoni mu go wytrącił; padł w trawę, schylił się po niego Hadawart, gdy Walgierz pochylonemu kark przygniótł nogą do ziemi, i przebił leżącego.

Ledwie odetchnąć miał czas rycerz, gdy ujrzał przeciwko sobie lecącego Putafryda z włócznią w rękę wymierzoną. Pocisk gwałtownie rzucony poleciał

daleko i padł aż u nóg królowny Heligundy, która ze strachu krzyknęła.

— Życzę ci ustąpić! — zawołał Walgierz. — Nie uczynisz mi nic.

W gniew wielki wprawiony Putafryd nieopatrznie mieczem począł wywijać, od którego tarcza zasłaniała Walgierza. Sam prawie zajadły, na włócznie mu się natknął i padł zabity.

Na dzielnym koniu siedzący Gerwig zmusił go przez trupy przeskoczyć i za ledwie Walgierz czas miał głowę poległemu uciąć, gdy z obosiecznym toporem frankijskim runął na niego zajadły. Szczęściem

wypróbowana tarcza ciosy odbijała.

Walgierz skrwawiony swój miecz, uskoczywszy, wetknął w trawę, aby osychał, a z włócznią znowu szedł na zapaśnika. W chwili, gdy Gerwig tarczę swą do góry uniósł, pchnął go i przebił. Wnet wedle obyczaju głowę odrąbawszy stanął.

Arinaldowi, po tylu trupach, już szczęścia i sił nie mieli ochoty próbować, ale on, choć sam do walki nie śpieszył, począł wołać o srom i pozostałych do boju pędzić.

— Mamyż tak powracać straciwszy tylu ludzi, ze wstydem, z rękami

próżnymi? Żadnegoż już nie ma męża, co by się z tym zmęczonym i okrwawionym zbójem ośmielił próbować?

Walgierz słuchając spoczywał. Hełm mu głowę palił, zdjął go, aby pot z czoła otrzeć, i powiesił na gałęzi drzewa, gdy nagle na szybkim koniu nadbiegł nań Randolph i ciężką żelazną sztabą uderzył go w piersi, ale pancerz nie dał jej głębiej przeniknąć. Walgierz pochwycił tarczę, hełmu wdziwać nie miał czasu i Niemiec w głowę odkrytą godząc dwa długich włosów uciął mu kosmyki. Drugi cios odbił

Walgierz tarczą, a żelazo wbiło się w nią tak głęboko, iż Randolph wyrwać go nie miał

siły. Ujrzawszy to rycerz pociągnął gwałtownie i nagle potem padłszy nań na ziemię obalił.

— Za moje włosy musisz głową przyplacić, abyś się przed narzeczoną z tym nie chwalił. — I łeb mu urąbał.

Dziewiąty jeszcze wystąpił Helmnot, który miał trójzębny pocisk w ręku.

Sądził, że cisnąwszy nim, gdy się w tarczę wbije, łącno z nią pociągną Walgierza i na ziemię rzucą. Świsnęła trójzębny pocisk, a Arinaldowi z radości w dłonie klaskać zaczęli, ale Walgierz stał nieporuszony jak dąb, chociaż trzech ludzi sznur od trójzęba, z całych sił wyprężony ciągnęli, sam Helmnot, Trog dziesiąty, Tanast i Arinald dwunasty. Walgierz się ogromnym gniewem zapalił w końcu i z odkrytą głową wpadł na Helmnota, naprzód mieczem dawszy go przez łeb, i kark, i hełm rozłupawszy na dwoje. Trog oplatał się był sznurem od pocisku i nie mógł

pochwycić w czas za oręż, był więc bezbronny. Walgierz podciął mu nogi i jego tarczę porwał, nim on po nią mógł sięgnąć. Raniony podniósł z ziemi ogromny kamień i rzucił nim z taką siłą, że własną swą tarczę rozbił. Wlokącego się po trawie, aby wyrwać miecz w nią wetknięty, Walgierz dobiegł i rękę mu odrąbał. A tuż oręż swój, złożony na uboczu, spiesznie wzięwszy biegł Tanastus, lecz nim się walka rozpoczęła, Walgierz już mu bok rozplątał. Trog z odciętą ręką żyw jeszcze łącał i sromocił zwycięzcę, czego wytrzymać nie mogąc dłużej dobił go, aby milczał.

Został jeden Arinald.

— Sprobujemyż się, miły towarzyszu — krzyknął ku niemu Walgierz. —

Bywaliśmy na jednym dworze, biesiadowali razem nieraz, znamy się dobrze, aleśmy się z sobą nie mierzyli, chodź więc, popróbujmy się.

Arinaldowi z wściekłości i z żalu po towarzyszach, których utracił, mowy zabrakło; konia więc zmuszał, aby po trupach szedł, i skoczywszy z nim nieszczęśliwie pod nogi niemal Walgierzowi się obalił.

Mógł naówczas rycerz leżącego jednym ciosem łatwo się pozbyć, lecz

śmiechem tylko przyjąwszy ostatniego zapaśnika dał mu się czas podnieść do walki.

— Łatwego nie chcę zwycięstwa — odezwał się — miecza dobywaj.

Gdy tych słów domawiał Walgierz, już Arinald siekł co siły po puklerzu, na próżno starając się nieokrytego schwycić przeciwnika. Dał mu czas znużyć się spokojnie stojący Walgierz, aż wreszcie tarczą go napierając następować nań zaczął i pchał tak, aż na stos trupów, o który oparłszy się Arinald zachwiał i padł na nie.

Naówczas schylił się rycerz i łańcuchem, który miał na szyi, udusił go, po czym jak innym tak jemu głowę od karku odciął, a tarczę rzuciwszy obrócił się ku Heligundzie prosząc jej, aby mu dla ochłody wina podała.

— To była— rzekł opowiadający ksiądz — pierwsza przygoda zwycięska Walgierza.

— Zaprawdę — przerwał Andruszka — my, cośmy też w bojach bywali i na niejedno patrzeli, a nigdyśmy nic podobnego na oczy nie widzieli. Człowiek ten musiał mieć siłę nadludzką, oręż nadzwyczajny.

— I miłość dla królowny wielką! — dodał Jurga — bo dla ocalenia jej tak bohatersko walczył.

Uśmiechnął się staruszek.

— W pieśni i bajce łąco się cuda dzieją — rzekł — chociaż są ludzie, jak to wiemy z podań starych, nadzwyczajną obdarzeni mocą, którym nikt podołać nie potrafi. Lecz zważajcie tylko, azali człowiek, co się na takie ważył nie bezpieczeństwa dla onej królownej, niewart był, aby ona mu miłą a wierną pozostała małżonką? Niewieście serca są zmienne, jak to zaraz ujrzycie.

Zabrawszy tedy łup znaczny z zabitych po wypoczynku jechał Walgierz na Tyniec z królowną i szczęśliwie tu przybył.

Podczas bytności na dworze króla francuskiego szerokie majątności jego trzymał we władaniu swym niejaki Wiślimir z rodu Popielowego, który sam na Wiślicy siedział. Gdy Walgierz powrócił, witając go nadbiegli ludzie ze wszech włości z żalami i skargami, jak okrutnie przez niego uciemiężeni byli. Zatrulo to zrazu powrót szczęśliwy do domu rycerzowi, a nie chcąc sądzić nie wysłuchawszy słał naprzód z dobrym słowem po Wiślimira wzywając go, aby się tłumaczył i opowiadał, jak ta sprawa stała. Na to jednak otrzymał dumną i gniewną odpowiedź, iż się mu tłumaczyć nie myśli ani jechać do niego, niech się stanie, jako chce.

Walgierz też nie był skłonny połknąć gorzkie słowo nie pozywając do

rachunku o nie.

— Nie chce on do mnie, pójdę ja do niego — ozwał się na to.

I zebrawszy ludzi swych, gdy tamten bezpiecznie sobie tuszył, że się nań nie waży, naszedł Walgierz Wiślicę, wpadł na gród i Wiślimira związać kazawszy powiózł go z sobą na Tyniec, gdzie go na wieży zamkniętego osadził. Nie chciał mu życia brać, gdyż byli dawniej przyjaciółmi, tylko go wolności pozbawiwszy skarał

więzieniem.

Czas jakiś upłynął, aż na wojnę zawołano. Musiał Walgierz z poczem iść na rozkaz pański. Gdy nadeszło rozstanie, a Heligundę miał zegnać, ta z boleści wielkiej i żalu niezmiernego prawie odchodziła od zmysłów narzekając na wojnę, na króla i na własny los, który ją w obcym kraju na samotność skazywał, tak że Walgierz zaledwie ją uspokoiwszy mógł odjechać z tą pewnością w sercu, iż miał w niej najprzychylniejszą małżonkę, pocieszając się tym, iż go nad życie miłowała.

Aliści od króla Salomona czasów wiadomo, iż na wielkiej miłości szczęście budować trudno, gdyż częstokroć im gwałtowniejszą jest, tym prędzej uchodzi. Stało się tedy, gdy wojna się po ciągnęła, a Walgierz nie powracał, że we łzach tonąca Heligunda srodze tęsknić sobie poczęła i samotnością na zamku nudzić. Co widząc sługa jej, rada pani się przypodobać, wspomniała o więźniu, który na wieży siedział

zamknięty, a był człek urodziwy i młody, iżby go dla rozmowy i rozerwania w tęsknicy, gdy się ludzie pośpią, puszczać można, na dzień go znowu zamykając.

Opierała się zrazu królowna, ale namowom sługi wreszcie oprzeć nie mogąc i nie myśląc, aby rozmowa do złego doprowadzić mogła, zezwoliła. Z czego korzystając Wiślimierz począł się jej zalecać, co nie trudnym było, gdyż niewiasta była piękności wielkiej i dowcipu. Nieznacznie tedy z owej rozmowy niewinnej doszli do poufałości coraz większej, tak że Heligunda zapomniawszy na przysięgę pierwszemu uczynioną, dała się gachowi namówić i z więzienia go uwolniwszy ujechała z nim do Wiślicy.

Po skończonej wojnie wrócił Walgierz z łupem i czią do domu, a gdy w podwórzu stanął, zdziwił się mocno widząc, że wedle obyczaju żona przeciwko niemu nie wyszła. Spytał sług, dlaczego się to stało, ci odpowiedzieli mu zaraz, iż pani nie było, gdyż z Wiślimierzem na Wiślicę ujechała. Wpadł tedy w gniew niezmierny Walgierz i prawie z konia nie zsiadłszy natychmiast do Wiślicy za wiarołomną jechał. Tu, że się go wcale nie spodziewano, wrota stały otworem i na zamek wpadł tym łatwiej, że na nim pod ten czas gospodarza nie było, gdyż na łowy w puszcę wyjechał. Ujrzawszy go Heligunda ze strachu do nóg mu padła prosząc łaski i miłosierdzia, tłumacząc się, iż sługa ją na szwank naraziła, że była niewinną i zdradzie tylko uległa. Wielkiego serca mąż dał się ująć łzom i prośbom niewieścim.

Heligunda zaś wrzekomo do zemsty mu chcąc dopomóc namówiła go, aby się sam ukrył w komorze i

ludziom swoim pochować kazał, aż by Wiślimierz wrócił, że mu go wydać miała.

Stało się tak, jak chytra chciała niewiasta. Walgierz zamknąć się dał w komorze. Tuż i Wiślimierz nadjechał z łowów, a ona przeciwko niemu wybiegłszy natychmiast mu opowiedziała, kędy Walgierz był ukryty. Wpadł nań Wiślimierz ze sługami swoimi, przemocą opanowawszy związać kazał i do więzienia wrzucić.

Życia mu odbierać nie chcąc ciężkimi tylko okowy go obarczył, przykutymi do ściany. Na większą boleść i męczarnię, klatkę, której go posadzono, z oknem ku sypialni swej wychodzącym uczynić kazał, tak iż Walgierz nieustannie na oczach miał pieszczoty Wiślimierza z Heligundą i mógł słyszeć, jak się z jego niedoli urągali oboje.

Lękając się sług własnych i mniej im ufając, Wiślimierz straż nad więźniem zlecił rodzonej siostrze swej, Ryndze, która klucze miała od klatki i oków, a gdy więźnia pod strażą wywodzono, pilnowała. A była Rynga ta niewiastą z twarzy i postawy tak brzydka i odrażająca, że ją nikt za żonę wziąć nie chciał, chociaż od dawna lata miała po temu. Ta ustawicznie patrząc na pięknego Walgierza, w końcu litość uczuła nad nim i dnia jednego, gdy nikogo na zamku nie było, odezwała się doń, iż rada by wolność mu dać, gdyby chciał wziąć sobie za żonę.

— Wziąłem był dla piękności jedne, która mnie o zgubę przyprawiła — rzekł

Walgierz — dlaczegożbym drugiej nie miał brać dla serca? Niech się stanie, jako chcesz, bylebym wolnym był.

I nie dziw, że jakimkolwiek bądź kosztem chciał być wolnym Walgierz, srom i niewolę bowiem cierpiał wielką. Nie dość, że żelazem okuty był i w klatce jako zwierz zamknięty, ale na żelaznym wole siedzieć musiał, a przez okno patrzeć i słuchać niewiernej, która wraz z gachem z niego nielitościwie szydziła.

Rynga w umówioną chwilę pootwierala zamki w okowach i klatce, a Walgierz uprosił też miecz, który mu potajemnie przyniosła. Siedział jednak czekając, ażby oboje do sąsiedniej izby przyszli, jak to bywało codziennie, a gdy się do snu zabierali, Walgierz przez okno głowę wynurzywszy zawołał.

— Wiślimierzu, a gdybym też ja potargawszy okowy, sromu mojego i

krzywdy przyszedł się na was pomścić?

Krzyknęła przerażona Heligunda, lecz Wiślimierz pewien będąc oków i żelaza, śmiać się z tego począł.

— Mścij się — zawołał — mścij, jako możesz, Już ci odpuszczę, choćbyś mnie i zabił!

Pewnym był bowiem wierności siostry swej i na niewieścim przywiązaniu się gruntował. Gdy ich już bezpiecznie spoczywających ujrzał Walgierz, skoczył prędko z mieczem do izby i oboje przebił, tak iż krzyknąć nawet czasu nie mieli, a w zamku nikt się nie domyślał, co się stało. Rynga, która w bliskości oczekiwała, pomogła narzeczonemu do zabrania skarbów wszystkich i wywiezienia do Tyńca potajemnie, gdzie razem z nim wyjechawszy mieszkali.

Tak się skończyła historia Walgierza, o którym drudzy powiadają, iż gdy ta żona zmarła, a życie mu ciążyło i obrzydło, majątności wszelkie oddawszy ludziom rodu swojego, sam szedł na starość Bogu służyć w klasztorze w sukni mniszej.

Gdy ksiądz skończył, chwilę panowało milczenie, wszelako, jak nigdy się powieść bez dziwu lub pochwały nie obchodzi, Andruszka rzekł, iż cudowne były przygody rycerza, ano go to w podziw wprawiało, że ten, który dwunastu walecznym zapaśnikom mógł sprostać, jednej kobiecie dał się tak haniebnie oszukać.

Zatem dziękowali księdzu za historię, którą zapamiętać obiecywali, a oba szczególnie opisem boju z dwunastu rycerzami zajęci, niemal noc całą spędzili na powtarzaniu sobie, jak mieczem, włócznią i tarczą dokazywał ów rycerz, jak nań pociskami, kutymi dzidami, trójzębem, obosieczną siekierą i wszelkim orężem nacierano.

— Wierzyć potrzeba temu — rzekł Andruszka — gdy ksiądz opowiada jako rzecz, która się w istocie stać miała przecież, Jurgo mój miły, przypomnij wojny, a ze mną będziesz zgodnym, iż Walgierz osobliwą siłą musiał być obdarzony; która nie każdemu jest dana.

Rozdział 2.

Po wczorajszej rozmowie długiej zaspali Jaksowie na pierwszą mszę świętą, czego im wstyd było, a gdy obudziwszy się ujrzeli w oknie dzień wielki, i słońce, poczęli się co prędzej odziewać, aby choć na drugie nabożeństwo stawić się mogli. U

ołtarzów i w chórze na nim nie zbywało. Wiadomo, że według reguły

benedyktyńskiej siedem razy w dzień zakonnicy zbierali się na modlitwę, a do południa msze jedne po drugich wychodziły.

Tęsknica dojmowała wygnanym większa niż kiedykolwiek, bo wiosna się

poczynała właśnie i pora do ciągnięcia w pole i lasy. Gdy wróciwszy z kościoła stanęli w oknie izby, a spojrzeli ku Wiśle, na łąki zieleniejące, na lasy pączkami napęczniałymi czerwieniejące i lśniące, niemal na łzy się im zbierało myśląc, jak długo może potrwać jeszcze niewola i od wszelkiego świata odłączenie bolesne.

Dumali tak rozprawiając po słowie, gdy Odo wszedł, pozdrowił ich obu i do Andruszki się odezwał, że w gospodzie nieznajomy jakiś młody podróżny domagał

się usilnie widzenia z nim. Odo zaręczał, iż w początku nazwiska i osoby żądanej zaparł się, wiedzieć o nich nie chcąc, ale mu podróżny całując go po rękach i płacząc niemal zaprzysiągł, iż żadnego złego zamiaru nie miał, a o bytności w klasztorze Jaksów na pewno był uwiadomionym.

Oba bracia ulękli się mocno domyślając zdrady Jakiejś. Strwożył się widząc ich pomieszanie Odo i zapewnił, że do ostatka bytności ich zaprzeczał. Radzili więc i uradzić nie umieli, kto by był ów młodzieniec, z opisu się domyślić nie mogąc, a to właśnie podejrzenia zwiększało.

Po długich wahaniach ciekawość przemogła wreszcie i Andruszka zerwał się sprawdzić. Jurga go powstrzymywał i zaklinał, aby nie szedł, wyrwał się Andruszka do izby gościnnej.

Tu wszedłszy ujrzał na ławie siedzącego, znużonego drogą widocznie

młodzieńca, którego lice mu się zupełnie wydało nie znanym. Na widok Andruszki podróżny ów krzyknąwszy na głos wstał, podbiegł i do nóg mu padł nie mogąc się podnieść z ziemi, dopiero ze zdziwieniem niezmiernym, acz wybladłą i schudzoną, poznał w przebranym Antonię, niewolnicę swą grecką. A że do klasztoru wchodzić nie było wolno niewiastom, wnet ujawszy ją pod rękę wywiódł za obręb jego i tu dopiero na ławie u furty posadziwszy rozpytywać począł, jak się to stać mogło, iż się tu znalazła. Niewolnica zaś, niewiele mówić mogąc, płakała nogi pana ściskając i powtarzała tylko, iż mu ogołoczonemu ze wszystkiego, służby nie mającemu chciała być pachółkiem, niewolnikiem, posługaczem, byle jej od siebie nie odganiał.

Z trudnością mógł jej to wytłumaczyć Andruszka, iż oni oba skazani byli na siedzenie w klasztorze, którego progu niewieście nie wolno było przestąpić. Tknięty jednak tym przywiązaniem Jaksza obmyślił, aby we wsi pod klasztorem Antonia pozostać mogła, dopókiby się losy ich nie rozstrzygnęły.

Tu, gdy do rozpytywania o dwór królewski przyszło i o to, co się na nim działo, Antonia niewiele powiedzieć umiała. Jedno wiedziała tylko, że Teodora, córka Sieciechowa, wierną zawsze była Jurdze i nieustannie wspominała o nim, że Jaksowie przyjaciół wielu mieli, którzy nad przyszłością czuwali i pewno im zginąć nie dadzą.

Zabawił się Andruszka na tej rozmowie dłużej, niż sądził, a Jurga coraz niespokojniejszym nań oczekiwał, tak że gdy powracając ukazał się w progu, rzucił

się nań brat nalegając zwawo o wytłumaczenie, co się stało, z oczów mu już pragnąc wyczytać tajemnicę.

Oczy jednak nie mówiły tak jak nic, ani radości, ni bólu nie zdradzając.

— Uspokój się, rzekł po cichu — starszy — zgadnąć zaprawdę trudno było, kto za mną tu przyszedł. Nie kto inny to jest, tylko Antonia.

Jurga krzyknął zdziwiony.

— Po męsku przebrana uszła ze dworu i z trudem wielkim a

niebezpieczeństwem aż tu się dowłokła. Wyznała mi, iż Sieciechówna przed nią miejsce, w którym schronieni byliśmy, zdradziła. Mówiła i o tym, że lepiej niżeli Heligunda o tobie stale pamięta, a na ciebie oczekuje.

Usłyszawszy to Jurga uradował się wielce, bratu na szyję rzucając. Po czym oba umówili się, by Antoni nie wydając, kto była, opatrzyć dla niej pewne schronienie, z dala się jednak trzymając, dopóki o losie ich nie rozstrzygnięto.

Gdy do jadalni zwołano potem braci, musiał Andruszka rumieniąc się i bełkocąc nieforemną jakąś historię wiernego sługi zmyśleć, aby przybycie podróżnego tłumaczyć. Przeor go do klasztoru chciał wziąć, lecz Andruszka oświadczył, iż tego sobie nie życzył, i miał mu tymczasowe schronienie sam opatrzyć. Jakoż z Jurgą oba wyszedłszy zaraz po stole, chatę wynaleźli w osadzie klasztornej, gdzie bezpiecznie przebywać mogła. Przy czym Andruszka surowo zakazał jej, ażeby się u furty pokazywać nie śmiała.

Jurga rozpytawszy o Sieciechównę swą, z najlepszą myślą wrócił razem z bratem, a obu się dnia tego usta nie zamykały przeszłość wspominając i o przyszłości sobie wróżąc różnie.

Już wieczór późny nadszedł, gdy u furty usłyszeli wrzawę i postrzegli dwu jeźdźców przybywających. Odo, który im był przychylny, nadbiegł natychmiast z przestrogą, aby się nie ukazywali, gdyż posłańcy jacyś przybyli jakby ze dworu królewskiego, którzy natychmiast się do przeora zgłosili z ważną sprawą. W

niepewności więc wyczekując, co by to być mogło, siedzieli u ognia milczący, gdy po kilku chwilach kroki usłyszeli w korytarzu i przeor wszedł do nich.

Wstali, ujrawszy go o niezwyklej godzinie mimowolną trwogą przejęci.

Przeor twarz miał zasepioną a smutną, zdawał się wyrok jakiś przynosić z sobą, z którego objawieniem nie było mu pilno.

— Mężom zwiastować mając nowinę złą czy dobrą, nie będę jej słodził ni łagodził, — rzekł. — Nadbiegł od opata naszego najprzewielebniejszego poseł

umyślny, który mi rozkaz przyniósł, abyście z nim razem nie zwlekając nazad do Poznania powracali. Na próżno starałem się go badać, co to by znaczyć miało. Poseł

sam nic więcej nie wie nad to, iż pośpiech nakazano i ostrożność wielką, abyście na drodze widzianymi nie byli.

— Niech więc Bóg was prowadzi— dodał — jedźcie ufni w to, że opat, który do ocalenia was się przyczynił, do ostatka nie opuści. Zresztą, ponieważ poseł

uwiadomionym jest o was i towarzysza ma wam w podróży, przyślę go tu, byście sami z nim mówili o jutrzejszej podróży.

Zaniemieli słuchając tych słów Jaksowie, poglądając na siebie, a przeor kilka słów pociechy dodawszy wyszedł i wkrótce potem Odo dwu podróżnych

wprowadził. Oba byli komornikami ze dworu i posług królowej Emnildy, zaledwie z widzenia Jaksom znani. Starszy z nich, człek wielce wytrawny, małomówny, ostrożny, zwał się Samek, młodszy, Odrzyn, pod jego rozkazami i śmiałością tylko wojaczą się odznaczał. Pozdrowiwszy Jaksów, gdy pytać go niespokojnie zaczęli, Samek długo milczał zbierając się z odpowiedzią.

— W przededniu wyjazdu — rzekł — wezwała mnie Miłościwa Pani

nakazując, ażebym sobie pewnego dobrał towarzysza i z nim się zgłosił do opata, który co mi powie, ma to być spełnionym, jak gdyby sama królowa jejmość dała od siebie przykazanie. Wziąłem tedy Odrzyna, który oto tu jest (wskazał nań) bo go znam Za dobrego towarzysza, na którym polec można, i szedłem do opata Arona.

Ten mi rzekł: „Konie weźmijcie dobre, zapas wszelki na drogę, jedźcie do Tyńca nie mieszkając, znajdziecie tam dwu Jaksów, którzy na śmierć byli skazani, ale żyją.

Zgłóście się do przeora, aby was do nich doprowadził i powiedzcie, iż żądam, by tu do Poznania wracali natychmiast, po drodze nigdzie twarzy nie okazując i nie wydając się z nimi.”

Usłyszawszy to z ust Samka, Jaksowie nie odpowiedzieli nic. Na śmierć czy na życie powracać było ich powinnością. Ci, co ich ocalili, rozporządzać nimi mieli prawo. Nie pozostawało nic nad ślepe posłuszeństwo.

Wnet Andruszka i Jurga zajęli się wyborem na dzień jutrzejszy. Na myśl im to zrazu nie przyszło, iż Antonii też los jakiś zapewnić należało. Wziąć ją z sobą czy zostawić sami nie wiedzieli, a otwarcie o niej mówić się wstydzi.

Przybyli posłowie opata w tej samej izbie pomieszczenie znaleźli do jutra, a wieczór zszedł na rozpytywaniu o to, co się działo nad Cybiną. Samek jednak czy mało wiedział, czy nie bardzo chciał rozpowiadać, składał się nieświadomością, a Odrzyn do wojaczki tylko czując upodobanie, nad nią nic innego nie znał. Mógł więc o zapasach, o rycerskich próbach i zabawach w podwórzu rozpowiedzieć obszernie, więcej o niczym.

Jak świt Andruszka wysunął się z izby, bo nie chciał mieć na sumieniu opuszczenia niewolnicy, która chcąc mu służyć tak ciężką drogę odbyła. Ani zostawić jej, ani wziąć z sobą zrazu nie miał odwagi, lecz gdy go błagać a prosić i zaklinać poczęła, by jej nie rzucił, pieszo się ofiarując iść za końmi, zdjęty litością Jaksza musiał dla niej o koniu myśleć, na którym by, jako sługa, w drodze im towarzyszyć mogła. Ściągnęło się z tego powodu niemal do południa, choć Samek o pośpiech naglił. Antonia za wrotami klasztorными oczekiwała. Szli tymczasem Jaksowie żegnać przeora i braci, którzy, gdy się o wyjeździe gości dowiedzieli, zebrali się niemal wszyscy, aby ich na podróż pobłogosławić. Umieci bowiem sobie oni zaskarbić miłość wielką, a poczciwy braciszek Odo tak się do nich przywiązał, iż w zakonie sam znajdując szczęście, ich też zaklinał, by świat rzuciwszy wracali tu używać spokoju, jakiego on dać nie może.

Przeprowadzeni do furty wyjechali Jaksowie z posłami, wynosząc z tego gniazda wspomnienie, którego sami sobie wytłumaczyć nie umieli. Ludzie rycerskiego rzemiosła, nawykli do ruchu i wrzawy, zrazu męczyli się w tym zamknięciu, potem widok zakonników zwolna działał tak na nich, iż niemal się przywiązali i do nich, i do trybu ich życia. Wynosili stąd wiele zapożyczonego, mimowolnie zmienieni w duszach, choć sami odmiany tej nie czuli.

Tęsknotę i niepokój wprędce podróż rozproszyła i widok tego wiosennego świata, który im dawne swobodne przypominał życie. Samek i Odrzyn ludzie byli myśliwi, a na dworze służbą niewolniczą znudzeni, i im się ta wędrówka manowcami po nocach, rankami przez lasy rozwijające się uśmiechała. Jechało się więc rażno, niemal zapominając, co w końcu drogi czekać mogło. Antonia

milcząca z tyłu za nimi podążała.

Chociaż Samek lepiej jeszcze dróg był świadomy, bo w długim życiu, szczególnie za młodu, wiele się włóczył, zmuszeni będąc unikać głównych gościńców bładzili nieraz i podróż się zwlekała nad miarę.

Gdy się już ku Poznaniowi zbliżali, Andruszka dopiero spytał przewodnika, co przybywszy miał uczynić z nimi i jakie było przykazanie. Stary odpowiedział, iż nocą wjechać mieli przez furkę u tumu, tak aby ich na dworze nikt nie widział, a tymczasowo pozostać w izbie, która na tumie dla nich była wyznaczoną. Chociaż chwilami strach ich ogarniał, ufali jednak, iż opat i królowa nie sprowadzaliby ich dla wydania i srogiej kary. Jeden drugiego usiłował orzeźwić otuchą. Nie mogli uzyskać zupełnego przebaczenia, spodziewali się może przynajmniej życie ocalić, a w każdym razie lepszy był jakikolwiek koniec jawny niż przeciągnięta losu niepewność.

Ostatniego dnia, ażeby za widna nie przybywać, przestali kilka godzin w lesie i tu o włos jeden nie spotkało ich nieszczęście wielkie. Właśnie w ostępie, w którym się rozłożyli, król polował dnia tego. Nierychło zasłyszeli psów gony i myśliwską wrzawę, tak że ledwie czas mieli koni z paszy dopaść i w cwał się oddalić, aby ich nie pochwycono. Łowcy królewscy, tętent koni schwyciwszy, sądząc, iż ktoś królewskiej zabawie przeszkadzał, puścili się w pogoń za uchodzącymi i byliby ich pojмали może, gdyby Samek przytomniejszy niż inni nie wprowadził ich na moczary i gąszcze. Lecz w ucieczce tej Antonia, mniej zręczna w obejściu się z koniem i trwożliwsza, pozostała gdzieś, tak że później nawołując i szukając po lesie znaleźć jej nie mogli. Pocieszali się tym tylko, iż niedaleko będąc Poznania, mogła później ochłonawszy sama do niego znaleźć drogę.

Zamiast przybyć wieczorem, ledwie potem ostrożniej się już przekradając w nocy zdążyli do grodu i furty u tumu. Stojąca w niej straż na rozkaz Samka puściła jeźdźców, a choć około tumu spali już wszyscy, dobudowano się stróża i izba do spoczynku się znalazła. Samek i Odrzyn spełniwszy, co im przykazywanym było, pożegnali się czule z Jaksami, do których w ciągu podróży się przywiązali, i powrócili na dwór królowej.

Ległszy na garści słomy, którą na posłanie dostali, znużeni podróżą zasnęli bracia zapominając o wszystkim, a choć we snach wracała im trwoga, nie obudzili się rychło, aż dzwony i ruch około kościoła sen im przerwały. Nie zjawił się nikt, musieli czekać długo na przybycie stróża, który o pożywieniu pomyślał zalecając im, aby nie wychodzili, gdyż pobożnych w podwórcach było pełno.

Dzień cały upłynął na oczekiwaniu nadaremny. Opat nie przybył. Nazajutrz z południa dopiero ujrzeli go wchodzącego. Rzucili się oba do ucałowania jego ręki czekając, co im będzie zwiastować.

— Bóg łaskaw — odezwał się Aron. — Król miłościwie jest usposobiony.

Godzinę tylko wybrać chce królowa, w której wraz z wami stawić się będzie przed nim błagając o przebaczenie. Nie trwóście się więc, a czekajcie i bądźcie dobrej myśli.

To rzekłszy opat oznajmił im zarazem, iż z rozkazu królowej dostać mają szaty nowe, przystojne, w których by się królowi stawić mogli. Dnia ani godziny oznaczyć nie umiał opat. Radość wielka wstąpiła w serce Jaksów.

Innego uczucia doznawała pobożna pani Emnilda, mimo odwagi, której opat jej dodawał, trwożyła się chwilami. Mógł król na widok winowajców unieść się gniewem, mógł wybuchnąć, mógł nareszcie przebaczyć Jaksom, cały swój gniew wywierając na żonę, która dała przykład nieposłuszeństwa i ośmieliła się pójść wbrew jego rozkazom. W tym razie na wszystko będąc gotową królowa modliła się, aby przynajmniej ofiary, na śmierć przeznaczone, ocalone zostały...

Gdy nazajutrz po przybyciu Samka i Odrzyna ujrzała ich Emnilda znowu pełniących służbę swoją, domyśliła się, iż Jaksowie na grodzie już być musieli a zbliżająca się chwila stanowcza strwożyła ją bardziej jeszcze.

Nie potrzebowała, aby opat przyszedł oznajmić, iż należało króla przygotować do przyobiecanego cudu. A właśnie troska o koronę zachmurzyła czoło Bolesława i dni tych z obawą przystępowano do niego. Opat też nie przyszedł do królowej z dala tylko oczyma dając znać, iż wszystko było pogotowiu. Pomimo niestałości króla, który się dopuszczał często uczynków ściągających strofowanie i upominanie od duchowieństwa, miał on poszanowanie wielkie dla Emnildy. Sama pobożność jej i łagodność rozbrajały go, ilekroć gniew nim owładnął, sam widok tej pokornej służebnicy, zawsze spokojnej, uśmiechającej się, cierpliwej, kazał mu się miarkować i zawstydział roznamiętnionego.

Wahała się jednak Emnilda, acz wiedzieć mogła o sile, jaką jej dawał żywot, cały świątobliwością i pobożnymi uczynkami wypełniony. Wzywała na pomoc Opatrzność, aby jej do dzieła miłosiernego dopomogła, i tym razem nie zawiodła się ufając jej.

Wiosennego wieczora król był samotny, brakło mu jego władyków, tęsknił za rodzinami, które się od dworu oddaliły, w radzie zbywało mu na mężach, do których się dawniej zwykł był odwoływać; miał służebnych pod dostatkiem, przyjaciele i towarzysze opuścili go. Na próżno król sam i przez opata starał się skłonić ich do powrotu, wierni mu byli na posługach, słuchali rozkazów, ale nie szli, jak dawniej, z ufnością ku niemu.

Na chwilę takiego rozdrażnienia trafiła właśnie nadchodząca królowa.

Ujrzawszy ją Bolesław podniósł oczy ku niej.

— Mówią, że modlitwy ludzi świątobliwych są skuteczne — rzekł do niej, winna byś się pomodlić, aby mi Bóg przyjaciół powrócił. Pusto koło mnie, nie mam ludzi. Na starość odbiegło mnie wszystko.

— Miłościwy panie — odezwała się królowa. — Dajcie mi moc,

zabezpieczcie od gniewu waszego, a ufam Bogu, iż się to wszystko odmieni.

Zdumiał się Bolesław.

— Jakiejże chcecie mocy? Jakiej poręki? — zawołał.

— Abym łaski i serca waszego nie straciła — odpowiedziała królowa. — O to tylko was proszę.

— Czyńcie, jako wiecie, że dobrym będzie — rzekł król poważnie. — Tak świątobliwa jak wy

niewiasta zaprawdę złego nic uczynić nie może, a gdybym się zagniewał na was, ja bym był winnym.

Królowa przypadła do ręki męża chcąc ją ucałować, a Bolesław czoła jej ustami dotknął z poszanowaniem.

— Czyńcie — rzekł — czyńcie, nie pytam jak i co. Co zrobicie, dobrym być musi.

Na tę rozmowę jakby umyślnym zrządzeniem nadszedł opat Aron.

— W porę przybywacie — odezwał się król — oto Emmilda żąda ode mnie

bezpieczeństwa tylko, a obiecuje mi powrót mych przyjaciół utraconych. Bądź

świadkiem, miły ojcze mój, iż przyrzekam gniew wszelki hamować i co królowa zechce spełnić.

— Ufam, że modlitwy świątobliwej pani naszej dokażą cudu! — zawołał opat.

Wstała natychmiast królowa dziękując jeszcze i chcąc się oddalić. Król opata Arona zatrzymał. Nieustanną troską była mu korona, której tak pragnął.

— Cóżście obmyślili? — zapytał opata.

— Jedno jest do uczynienia — począł Aron. — Potrzeba pominąwszy cesarza słać do Rzymu, lecz tak, aby o wysłańcach nawet najbliżsi ze dworu nie wiedzieli. Z

Niemiec dochodzą wieści, iż na gościńcach poczyniono wszędzie zasadzki na jadących z Polski ku stolicy Ojca Świętego. Arcybiskup magdeburgski nie ufając temu, iż się do niego udawano, podejrzewa nas o to, co istotnie uczynić zamierzamy.

Nie jednego więc posła, ale odmiennymi drogami dwu przynajmniej wyprawić potrzeba do Rzymu po koronę. Wprawdzie gdy obu z darami słać musimy, nie wiedząc, który z nich dojedzie bezpiecznie obu też należy wyposażyć i na stracenie skarb jeden poświęcić.

Król ruchem ręki i uśmiechem pogardliwym okazał, jak mało mu szło o straty.

— Mój ojcze — zawołał — o złoto nie idzie, korona poświęcona droższa jest nad wszystko dla potomków moich. Gdybym wszelkie naczynie miał dać stopić i z ostatniego miecza zdjąć złote skuwki, niech idzie do grzywny pośledniej, do prószyny. Ale gdzież ludzie, którym by poselstwo powierzyć można?

— Znajdą się ludzie — odparł opat. Dwu kapłanów wiernych wam i

pamiętnych dobrodziejstw waszych dla kościoła dostarczy zakon nasz, rozsypany po świecie całym. Od klasztoru do klasztoru przejdą oni Niemcy, Włochy, wszystkie ziemie i kraiki pośrednie. W obronie dodamy im dzielnych rycerzy, co dla was, miłościwy królu, gotowi są życie poświęcić.

— Mnichów wy wybierzecie — odparł Bolesław — ale skąd weźmiemy tych, których mi na dworze

co dzień więcej braknie?

— Jutro, miłościwy panie, mieć ich będziesz przed sobą — rzekł opat.

— A imiona ich? — spytał król.

— Jutro i twarze ich, i imiona mieć będziesz — powtórzył opat.

Król patrzył nań zdziwiony trochę, lecz nawykł był taką mieć ufność w swoim doradcy, iż pytać więcej zaniechał.

— Jutro? — powtórzył.

— Tak, jutro! — powtórzył Aron.

Nadchodzący z pokłonami obcy goście wkrótce zakończyli rozmowę.

Bolesław zwrócił się ku nim wypytując o Ruś i o kraje, które przebywali w drodze.

Opat pod pozorem modlitwy skłonił się i oddalił. Szedł do królowej, która czując przybycie jego oczekiwała nań.

— Niech Bóg weźmie w ręce sprawę naszą — rzekła składając dłonie do opata. — Jak skoro zmierzchnie, każcie Jaksów przywieść do mnie, by słowa prawdy usłyszeli z ust moich. Jutro stawić się będą wraz ze mną przed panem i mężem moim. Jutro — i dodała z trwogą. — Jutro! Ale cóż to jutro przyniesie?

— Zaprawdę radość wielką! — dodał opat. — Idę natychmiast zanieść im rozkazy.

Szedł tedy zaraz do tumu, a gdy stanął przed Jaksami, rzekł im po prostu.

— Przyodziejcie się przystojnie w suknie, które wam dano, jak skoro

zmierzchnie, pójdziecie ze mną do królowej. Jutro ona sama stanie wiodąc was przed króla i otrzymacie łaskę. Ufam w to, pewien jestem. Lecz myślicieź, iż koniec na tym?

Andruszka odezwał się, że na wszystko, co ich mogło spotkać i wszelką karę byli gotowi.

— Za każde przestępstwo zapłacić potrzeba pokutą jakąś — odezwał się opat

— a kto jej nie odbędzie, to mu zaległa na sumieniu zacięży. Dlatego wyznaczyłem ja was do niebezpiecznego przedsięwzięcia, którym króla łaskę w zupełności odzyskać będziecie mogli. Musicie się udać w podróż długą i groźną utratą swobody a nawet życia, a jeżeli choć jednemu z was uda się to pozyskać, za czym oba wysłani będziecie drogami różnymi, zjednacie serce królewskie, zatrzecie pamięć lekkomyślności i przewinienia.

— Gotowiśmy na wszystko! — powtórzył Jurga — gotowi!

Wielka była radość i pośpiech w przygotowaniach do stawienia się przed królową. Zaledwo zmierzchać zaczęło, już u drzwi oczekiwali na znak, który im opat miał dać. Osłonięci opończami długimi, czapki ponasuwawszy na oczy szli za nim.

Chociaż ludu było dosyć wszędzie i podwórce się roiły, wśród tłumu obcych przesunęli się jakoś nie postrzeżeni i nie poznani. Jeden Harno, który w dworcu stojąc pod ścianą szpiegował, co się gdzie działo, spostrzegł opata i za nim idących dwu zakrytych twarzy ludzi i z ciekawością zabiegł im drogę. Acz Jaksowie potrafili go unikać oko w oko, Harno poznał ich. Był pewien, że nie kto inny, tylko Jaksowie mu się zjawili.

Opanowany myślą o widmie brata, wziął ich też niemal za cienie umarłych i przerażony popędził do księdza pisarza. Wpadł do izdebki jego z takim pędem, blady, przelękły, iż ksiądz Petrek zerwał się do niego sądząc, że na dworze coś nadzwyczajnego stać się musiało.

Zapytany wodził jakby obłąkanymi oczyma, nie mogąc przyjść długo do słowa.

— Harno! Co się stało? W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! — zegnając go zawołał ksiądz Petrek.
— Mów, co ci jest?

— Upiory! Widziałem upiory! Na oczy moje. Zmarli mi się ukazują ciągle.

— Boś grzesznik niepoprawny! — ofuknął go ksiądz Petrek. — Jak, gdzie widziałeś te upiory? Mów.

— Przed chwilą, ojciec mój, w dziedzińcu, ukazali mi się dwaj ścięci Jaksowie.

Szli z zakrytymi twarzami, ale im oczy błyskały straszliwie. Przysiąc mogę, że ich widma mi się ukazały.

— Gdzie? Na którym podwórku? — zapytał chłodno ksiądz Petrek.

— Na tym, który do mieszkania królowej prowadzi! — mówił przestraszony Harno. — Zdawali się iść w ślad za opatem.

Ksiądz pisarz nie odpowiedział mu nic i odprawił go ruchem ręki.

— Idź — rzekł — pomódl się, pość, to ci się duchy zmarłe ukazywać nie będą, grzeszny jesteś.

Harno chciał coś jeszcze mówić, lecz Petrek pilno, niecierpliwie na drzwi wskazywał powtarzając:

— Idź...idź...

I Harno ucałowawszy jego rękę zmuszony był wyjść natychmiast.

Ksiądz Petrek przenikliwy wiedział już, domyślał się, co się święciło. Odgadł, że sprowadzono Jaksów, że ich królowej przedstawić miano, aby wyprosiła łaskę pańską.

— A! — zawołał — szanowny opat rad by się obejść beze mnie! Zobaczymy, czy się to uda.

Natychmiast biegnę do markgrafówniej, niech ona uprzedzi ten spisek i królowi powie wszystko, a gniew jego rozżarzy.

I ksiądz pisarz pośpiesznym krokiem gonił już do komnat pięknej Ody. Nie postrzeżony wcisnął się do niej, nie widziany wyśliznął, dopiero w drugim końcu dziedzińca za suknię go Zyg pochwycił szepcząc szydersko.

— Wyście dla markgrafówniej za starzy, co się próżno koło niej bawicie, tam młodszych potrzeba.

I pogroził mu na nosie, a pisarz oburzywszy się na pozór i ofuknąwszy, suknię mu wyrwał gwałtownie z rąk i uszedł.

Wieczorem król dziewczętom dworskim płaszać kazał. Sieciechówna rada

nierada korowodowi przewodziła. Oda wyglądała chwili, by się do Bolesława przybliżyć, i stanęła za jego siedzeniem. Gdy piosnka dziewcząt dozwalała jej nie podsłuchiwanej mówić, przysunęła się do ucha pańskiego.

— Miłościwy królu — rzekła — już byście wy czy Bezprymowi, czy

Mieszkowi powinni oddać królestwo wasze, wyście zesłabli i postarzelili.

Król się odwrócił.

— Tak myślisz? — rzekł szydersko.

— A cóż? — roześmiała się Oda. — Ludzie sobie z was żarty stroją, kto chce, oszukuje. Słowo wasze nie waży, z gniewu się waszego śmieją.

Oczy króla zapalały ogniem.

— Dziewko! — zawołał, urodziwą ty jesteś, ale ci do kądzieli iść i do płasów, nie tam, gdzie królewskie sprawy.

— Tak, tak — nie zważając na daną odprawę poczęła Oda — tak, miłościwy panie, ja do kądzieli, a wy do klasztoru chyba. Co wy tu znaczą? Chcieliście ukarać Jaksów? Uszli z życiem, bo królowa się litowała ich młodości. Kto tam wie dlaczego?

Uśmiechnęła się złośliwie.

— Chłopaki urodziwe! — dodała. — Teraz wam każą im przebaczyć, a

królowej waszej jeszcze za jej zdradę dziękować!

Poczęła się coraz mocniej śmiać i wzięła w boki, a patrząc z góry na króla, śmiała się tak długo, szydersko, jątrząc go.

Król nie podnosił głowy, chociaż widać było, jak drżał cały, ręką sięgnął po złoty kubek i wychylił go do dna.

Oda czekała tylko, rychłoli wybuchnie, gdy król wytrawiwszy w sobie gniew, głowę podniósł do niej, popatrzył i rzekł:

— Urodziwa z was dziewczka! ale kto cię weźmie, chyba na łańcuchu przykuje!

Oda, która się wcale innej spodziewała odpowiedzi, pobladła. Król jakby mszcząc się mówił powoli.

— O! Tobie to urodziwe chłopcy smakują! Jakby ci się pod czepiec chciało prędeej, aby skosztować korowaja! Dziewko ty niemiecka. Człowiek by za tobą szalał, gdyby nie wiedział, że w tobie siedzi siła nieczysta, wszystko, co święte i pobożne, tobie solą w oku. Idź w płasy, to ci przejdzie ów żar, co cię pali! Miło patrzeć, gdy się zwijas, ale słuchać cię, tylko gniew.

I ręką wskazał jej koło dziewcząt, ale Oda obrażona z rękami na piersi zaciśniętymi cofnęła się pioruny oczyma rzucając.

— Pojadę stąd! — szepnęła. — Nie wytrwam!

Rozdział 3.

Śliczny był, ciepły, jasny, dzień wiosenny. Pierwszy raz niebo się okryło całe i przywdziało lazurową szatę, po której jak białe rąbki przejrzyste snuły się obłoczki miękkie, zjawiające na chwilę i roztapiające w błękitach.

Tego poranka po raz pierwszy do niebios jasnych ziemia się przystroiła zielono. Gdzie wczoraj jeszcze czarną była, dziś strzelały majowe trawy, na wierzbach pękły liście, brzozy niektóre poroztwierały pączki, w dolinach zakwitły złociste łotocie. Dzień był jakby świąteczny i ktokolwiek ujrzał go, weselał. Wracało życie... Stały otworem drzwi, odsuwano okiennice puszczając ciepłe powietrze jak gościa miłego do wnętrzów. Twarze mówić się zdawały: — Witaj, wiosenko!

W królewskich też podwórcach wyglądało świątecznie. Ludzie, konie, psy, ptaki łowcze na berłach kręciły się niespokojne. I gości dnia tego napłynęło więcej niż zwykle, gości do sądu i łaski pańskiej.

Do dnia Bezprym wyciągał w pole z sokołem i psem sokolniczym, z Ghezą i małym dworem swoim.

Mieszko także przechadzał się z komornikami swymi, jakby jakąś zamyślał

wyprawę, gdy od królowej matki przybiegł doń posłany; zwiastując mu, aby się do pół dnia nie oddalał z grodu.

— Przecz? — zapytał Mieszko.

— Takie jest rozkazanie królowej — rzekło pacholę.

Na to nie było odpowiedzi, Mieszko popatrzał na niebo i wrócił do izby swojej. Przez okna otwarte w komnacie Ryksy widać było ją z synkiem, którego uczyła modlitwy. Dziecię się do niej uśmiechało, matka niemal smutnie nań patrzała.

Przed dworcem a pałacem króla stał mnogi lud wszelakiego stanu. Byli tu i władcy możni, przybyli ze stron dalekich, i wojacy, i ubodzy kmiecie, i najuboższy lud, który stał na uboczu. Wśród obcych, od granic przybyłych kręcił się ksiądz Petrek dostając języka, patrząc może, czy między nimi kogo nie było wysłanego od Magdeburga, aby się rozpatrzyć, co się tu działo. Dalej stali na uboczu poganie Lutycy i Wilki, odziani dziwnie, patrzący dziko, groźni na pozór, a w istocie potęgą, co ich otaczała, strwożeni.

Powoli te tłumy wchodzić poczęły do izby stołów czterdziestu, bo tuż i król miał się ukazać ze dworem.

Z palatium króla do wielkiej owej jadalni, zawsze otwartej dla obcych, gdzie każdy przybyły chleb, sól i napój znajdował nie mierzony, wiodła droga jedna pod dachem, druga przez dziedzińce. Czasem Bolesław wolał iść nie widziany, niekiedy dla okazałości z komnat swych ciągnął przez podwórze z całym dworem powoli, aby i lud ubogi widzieć mógł majestat królewski. A któreśdy król iść miał, zbierały się kupy ciekawych dla pozdrowienia go po drodze.

Tego dnia czuli wszyscy, iż Bolesław iść będzie podwórcami, bo tu też Lutycy i Wilcy stali nań oczekując a trzymając się z dala od innych.

Nagle wszystko drgnęło i poruszyło się, zakołysał się tłum, jak by wiatr fale podnosił, podźwignęły głowy, strzeliły oczy, szmer przeleciał po gromadach i zamilkło wszystko w oczekiwaniu.

W podsieniu królewski orszak się ukazał, a był tak wspaniały, jak gdyby Bolesław pany i księżęta miał przyjmować.

Szły naprzód pacholęta na pół czerwono, pół żółto poodziewane, parami z sobą. Za nimi komornicy w łańcuchach na szyi z laskami w ręku, dalej podkomorzowie w szubach jedwabnych, miecznik niósł obnażony miecz, godło sprawiedliwości i siły, na ostatek Sieciech z laską wysoką, złocistą poprzedzał pana.

Strojnym był pan, jakby do najdostojniejszych gości wychodził. Na głowie miał

kołpak z przepaską złocistą. Szczerbczyk u pasa złotego, sadzonego kamieniem drogim, suknię spodnią purpurową jedwabną, a na niej lekki kozuch soboli, czarną okryty tkaniną, która połyskiwała na słońcu. Szedł spierając się na lasce, jedną ręką w bok się ująwszy, z góry spoglądając na ludzi wzrokiem władcy, który czuje się panem, a chce być ojcem. Jasne to było oblicze, jak w dniach zwycięstwa po walce, jak bywało pod namiotem na poboju, gdy mu oręż zabrany z niego pod nogi znoszono. Usta się uśmiechały nieco, a włos, co się srebrzyć zaczynał, dnia tego świecił czarniejszy jak za owych lat młodości, gdy spływał na ramiona w kędziarach kruczych.

Za panem jak pies biegł Zyg uśmiechając się, w oczy mu podglądając,

wesołością do pańskiej się strojąc. Reszta dworu ciągnęła za królem, trochę zbita i zmieszana.

Gdy Bolesław ukazał się i zatrzymał nieco u progu, jak kłosa od wiatru pochyliły się wszystkie głowy w pokorze. Niektórzy poklękali ręce wyciągając ku niemu, lud ubogi na twarze padał. Lutyki i Wilki cisnęli się w kupę zbitą, jakby się ulękli i do obrony gotowali. Popatrzał Bolesław i z wolna postąpił dalej. Oczy potem podniósł na jasne niebo, przypomniało mu może jakiś dzionek weselny, bojowy, któremu przyświecało podobnie.

Z powagą, w milczeniu przesunął się orszak wśród tłumów i począł we

drzwiach jadalni niknąć, aż ostatni komornik i pacholę wtoczyli się ze psami pańskimi. Naówczas i goście też ruszyli, gdzie komu było przeznaczono.

W jadalni królewskiej pusto było, królowa jeszcze nie przysła, stał jeden opat Aron w milczeniu. Z panów rady dwunastu dwu zaledwie król znalazł oczekujących, reszty mu brakło od dawna.

Jakiś czas panowało milczenie i jakby oczekiwanie, oczy króla często się na drzwi, którymi Emnilda wchodzić była zwykła, obracały. A gdy z dala szelest szat usłyszał Bolesław, twarz mu nieco pobladła. Opat nie spuszczał oka z niego.

Z miejsca, w którym stał Bolesław, nie widać było głębiej nad drzwi rozwarte, którymi wnijsć miała królowa. Z sali stołów czterdziestu, wprost nich, sięgał wzrok daleko. Gdy szelest dał się słyszeć, zarazem ci, co stali w jadalni, poruszyli się i okrzyk stłumiony podziwu jakiegoś dał się słyszeć, wnet poszanowanie dla króla usta zamknęło.

Tuż szła królowa na ten dzień uroczyście strojna, na włosach i czepcu złotą niosąc przepaskę, w sukni purpurowej ze złotem. Błada twarz jej jakby jasnością jakąś była otoczona. Szła nie sama, z prawej i lewej strony trzymając ich za ręce wiodła Jaksów dwu, odzianych czarno i jakby pokutniczo, zbladłych, z oczyma spuszczoneymi.

Król ujrzawszy ich drgnął cały, po twarzy jego przebiegły z kolei jakby gniewu płomień, blaski łaskawości, niepewność jakaś, aż wreszcie wystąpiła na nią radość wielka.

W milczeniu szła Emnilda przed pana. i uklękła. Oba Jaksowie rzucili się na kolana i twarzami pochylili ku nogom królewskim i ziemi. Chwilę trwało milczenie, królowej w piersi zabrakło tchu. Podniosła oczy w górę.

— Panie mój i królu — zawołała — przychodzę cię prosić o miłosierdzie dla siebie i dla tych dwu winowajców, których przed gniewem twym uchowałam.

Przeszedł gniew, stawię ich przed tobą błagając cię, bądź miłosiernym, wzorem Chrystusa, ulituj się im.

Król widocznie stał wzruszony, nagle ręce mu się rozpostarły i wyciągnął je ku królowej.

— Bogu niech będą dzięki — zawołał, za ocalenie dwojga drogich żywotów ludzi, których śmierć ja sam oplakałem. I tobie Emnildo nie przebaczyć, alem winien wdzięcznym być. Niech to będzie dzień

wielkiego wesela, gdy mi moi wierni wracają do boku. Podnieście się — dodał do Jurgi i Andruszki rękę ku nim wyciągając — niech idzie w zapomnienie przeszłość. Spodziewam się, że ją zmażecie.

— Krwią naszą! — zawołali zgodnie Jaksowie całując ręce wyciągnione.

Na widok tego dziwnego pochodu ludzi, których wszyscy za umarłych mieli, tłum cały ogarnął był przestraszony. Cudem się zdawało ocalenie, oczom nie wierzono. Potem, gdy przemówiła królowa, gdy odpowiedział król, podniosły się okrzyki nieskończone. Podrzucano kołpaki, podnoszono ręce, radość się malowała na licach, ludzie poruszeni cisnęli się bliżej ku panu.

Śmiała się twarz pańska weselem, jakie dawno nie gościło na niej. Radość ogólna odbijała się na niej. Spojrzał na czarne suknie Jaksów i zwrócił się do Sieciecha.

— Nie przystały im te szaty! — zawołał. — Idźcie i przybierzcie ich w odświętną odzież ze skarbcza, zawieś im na szyi łańcuchy, na pasach przypasz im miecze. Idźcie i wracajcie tu, abyśmy się weselili wspólnie.

Sieciech, którego twarz z trupiobladej w początku coraz żywszym oblewała się rumieńcem, ze łzami w oczach ruszył wnet zabierając z sobą młodzianów obu, a wzrok wszystkich poszedł za nimi.

Królowa osłabła i rozplakana musiała usiąść, aby przyjść do sił znowu. W orszaku jej tak mnogim jak zwykle jednej tylko brakło twarzy, Ody nie było.

Markgrafówna opowiedziała się chorą, nie chciała być świadkiem

przewidywanego zwycięstwa królowej, nie mogła w sobie utaić gniewu, który nią miotał. Za to twarzyczka Teodory, córki Sieciecha, promieniała jak gwiazda, a kto by był tajemniczy jej nie wiedział, domyśliłby się łatwo.

Bolesław siadł z wypogodzonym obliczem i zwracając się do opata rzekł żartobliwie.

— Wasza przewielebność, takżeście pono do spisku należeli, za co niech wam będą dzięki, jak również wszystkim tym, co mi krwi przelanej oszczędzili! Do Tyńca dodam wam lasów przestrzeń nową i łąk, aby się pamiątka została dobrego uczynku!

Wtem w podwórzu zatętniało ogromnie, jak gdyby wojsko całe wylało się na gród. słyhać było rżenie koni i wrzawę. Naprzeciw stołu królewskiego poodsuwane okna dozwalały widzieć orszaki jakieś napływające w podwórze. Byli to wszyscy Jaksowie i ich powinowaci, którym z rozkazu królowej znać dano, aby przybywali i oczekiwali, rychło się miłosierdzia dzieło dokona. Z dawna nie widziani ci wszyscy, co dwór króla opuścili, wracali mu z dziękczynieniem... Gdy w progu ujrzał ten tłum, na którego przedzie szli starcy, twarze znane mu a miłe, porąbane, bliznami zorane, dalej młodź rycerska, niewiasty; a nawet dzieci, bo jadący zabrali z sobą rodziny całe, aby padły do nóg królowi i królowej. Bolesław uniósł się na siedzeniu z nie tajoną radością.

Wszyscy szli schyleni ku niemu.

— Nie mnie! Na kolana przed królową! Ona to uczyniła cud., ona! Jej

dziękujcie!

Królowa osłabła w tej chwili i niewiasty podtrzymać ją musiały, twarz jej okryła bladość niemal śmiertelna i nierychło otwarły się znowu oczy, łez pełne.

Wtem na przedsieniu trąby się słyszeć dały, Sieciech wiódł braci

przyodzianych rycersko i strojnych, którzy powtórnie Bolesławowi i Emnildzie do nóg padli.

Tu stryjowie, bracia, wujowie, stryjeczni i dalsi powinowaci wstawszy objęli ich kołem i zapomniawszy na przytomność króla jęli, płacząc niemal z radości, z kolei ściskać, podając sobie z rąk do rąk. Nigdy na dworze pańskim takiej nie było wrzawy, nawet gdy Bolesław pod dobrą myśl gości poić kazał, a ci o poszanowaniu dlań zapomnieli. Już cichło, gdy ktoś na nowo wybuchnął okrzykiem, a za nim przez wszystkie izby rozchodziły się głosy i wybiegały w podwórze, a tam stojące tłumy powtarzały je po całym grodzie, na podzamczu nawet, choć nie wiadano czemu, weselono się. Co żyło, biegło, pytało, a dzieliło wielką tę radość pańską.

Ksiądz Petrek, który stał przed swoją izbą z zaciśniętymi ustami, blady, z głową spuszczoną, słuchał tych okrzyków i uśmiechnął się gorzko. Ten i ów postrzegłszy go na uboczu przybiegł z oznajmieniem o wesołej nowinie.

— Jaksowie zmartwychwstali!

Byli i tacy, co cud przypisywali świętemu jakimś twierdząc, iż ścięci byli w istocie i przez modlitwy królowej z grobu zostali wyrwani.

Z rozkazu króla gromadom i dworowi całemu ucztę przysposobiono,

wytoczono beczki piwa. Kazano się weselić.

W izbie markgrafównej piękna Niemka leżała na pościeli z rękami pod głową i z kwiatkiem w ustach, z oczyma wlepionymi w belki uśmiechała się szydersko, tym samym niemal uśmiechem jak sługa jej, ksiądz pisarz. Przez otwarte okna dochodziły tu odgłosy z podwórzów, a za każdym z nich purpurą gniewu okrywały się lica Ody. Rzucała się gniewna po łożu.

— Odesłał mnie do kądzieli! Na łańcuchu kazał mnie trzymać! Czekaj! Ja jeszcze obręcza nie mam na szyi, a kto komu go włoży? Nie wiem.

Pomaluśku otwarły się drzwi, ostrożnie, oko jakieś ukazało się w tej szparze, szerzej nieco roztworzyły podwoje i głowa Panichy wcisnęła się przez nie.

Zobaczywszy leżącą uderzyła stara w pomarszczone dłonie i weszła.

— Królowo ty moja złota! Co tobie? — zawołała. — Co tobie? Tu dwór cały się raduje, a ty chora? Chora? Miłościwa lilio moja biała! Co tobie? Ja zioła znam, sposoby mam. Co boli? Powiedz, co boli?

Zmarszczyła się markgrafówna.

— Soli? — wskazała na serce, na to ty nie masz leku.

— Oj oj! czemu nie? czemu nie? — poczęła Panicha — nie ma takiej rzeczy i nie ma bólu takiego, na który by leku nie było.

Markgrafówna zmilczała oczy zwracając ku górze.

— Mnie stąd trzeba precz! — rzekła. — Mnie tu już nie ma co robić! Znajdę sobie męża w domu! Co mi tam!

Stara kręciła głowę rozglądając się dokoła dziwnie, skradła się zwolna aż do łóżka, zdawała się chcieć coś mówić i wahała.

— Królowo ty moja! — rzekła. — Tobie tu królową być, ale jak ty będziesz nią, nie zapomnisz o Panisze? Nie zapomnisz. Nasza pani, ona słaba... (tu głos się w szept zmienił), ona bardzo wątła, jej życia niewiele zostało. Lada dzień zaśnie.

Chrząknęła znacząco; w oczach jej coś się zjawilo, niby więcej mówiąc niż usta.

Oda poczęła się w nią wpatrywać.

Nie dosłyszany prawie szept wyszedł z ust Panichy i twarz markgrafówny szkarłatem się oblała, kiwnęła głową nie odpowiadając ani słowa. Rozpuszczonymi włosami poczęła twarz osłaniać, jakby się zawstydziła i dłońmi białymi ją pokryła.

Stojąca nad nią Panicha głową potrząsała.

— Nie zapomnijcie wówczas o Panisze, dajcie jej tu izby i ucho swe, a będzie wam wierniejszą od psa sługą. Posłuży w wszystkim tak potajemnie, że na świecie nikt a nikt wiedzieć nie będzie.

Szeptwała długo po cichu, potem głośniejsz poczęła — Lada dzień, zobaczycie! Ot tak, zaśnie. Już ja wiem, życia jej niewiele zostało, nie uciekajcie stąd.

Oda twarz odsłoniła.

— Źle mówisz, dlatego mi jechać trzeba, jutro pojedę, aby za mną gnali, aby o mnie prosili. — rozumiesz.

Panicha ręce złożonywszy głową potrząsała.

— Królowo moja, róbcie rozumnie! Wy wiecie, co robić a ja też wiem, o, wiem!

Wstała z ziemi stara, pokłoniła się i wyszła prędko, ze drzwi jeszcze śląc uśmiech pięknej Odzie.

Po wyjściu jej natychmiast markgrafówna się podniosła i zerwała z łóżka klaszcząc na sługi. Kazała się odziewać prędko.

— Do ojca jutro, do domu! — zawołała. — Jedziemy! Musiemy!

Niemieckie dziewczęta jej uradowane wnet zaczęły się krzątać około wyboru.

Ona sama wzięła się pomagać niecierpliwie. Niekiedy rzucała robotę i stawała zamyślona.

— Powrócę! Tak lepiej! — mruzczała.

I sługę posłała po księdza Petrka...

Znaleźć go łatwo było, stał z dala przysłuchując się wybuchom radości, jakby czekał, co z niej wyrośnie. Gdy nań skinęła Niemka, obejrzał się tylko i krokiem żywym pośpieszał na zawołanie. Ledwie się ukazał, niecierpliwa dziewczyna poczęła doń mówić.

— Idźcie ode mnie prosić, ja do ojca odjechać muszę, tak, muszę. Ani pytajcie, ani radźcie. To musi być, rozumiecie mnie! Musi! Jutro, dziś, pójdziecie do króla, do królowej, wszystko mi jedno. Już mi się do domu stęskniło. Od królam wczoraj gorzkie słyszała słowa. Trzeba jechać, aby mnie żałował. Na oczach stać najgorsza rzecz.

Ksiądz Petrek słuchał, chciał coś rzec, ale mu nie dała.

— Już ja wiem, co czynię, nie mówcie. Powiedzcie królowej, że jej się proszę do domu.

Ręką skinęła rozkazująco, ksiądz pisarz zamyślony wyszedł. Z oznajmieniem tym, które mu zlecono, nie pora iść było. W izbie ucztowano. Wesołość, śmiechy, wykrzykiwania słyszał tylko. Musiał stać i czekać, aż się królowa oddaliła z niewiastami. W ślad zaraz poszedł za nią.

Duchownemu wstęp był zawsze wolny, więc choć potrzebowała spoczynku

królowa, puszczono go. Przebiegły księżyna, ręce podniósłszy do góry, głowę zniżywszy z czcią wielką, od uwielbień rozpoczął.

— Święta pani nasza cuda czyni! — rzekł wzdychając.

— Nie mówcie — przerwała Emmilda.

— Przyszedłem z nowiną może też nie wstrętliwą, Miłościwa Pani — odezwał

się. — Azali to dla dworu nie lepiej, gdy z niego to ustąpi, co się z nim miłością połączyć nie może? Markgrafówna Oda przeze mnie oświadcza miłościwemu panu i pani, iż za gościnę im dziękuje i do ojca powrócić pragnie.

Wzdrygnęła się królowa nie umiejąc pokryć radości. Ksiądz Petrek dodał

kłamanym uśmiechem.

— Wstrzymywać jej nie potrzeba. Niech jedzie. Niebezpiecznych to wdzięków niewiasta, do której lgnęli wszyscy.

Emnilda wstrzymała się od odpowiedzi długo.

— Królowi o tym oznajmie — rzekła.

Widząc, że rozmowa nie może się przeciągnąć, ksiądz Petrek z pokorą wielką i pokłonami wysunął się natychmiast. Sam już nie chciał pośredniczyć w tym do króla, sądził, że ta wiadomość nie będzie mu miłą, wołał ją więc zdać na opata, rachując, że jak przed królową tak przed nim będzie miał zřeczność ze swą gorliwością o dobro pańskie wystąpić. U sług około dworu rozpytał zaraz o Arona, który się w tumie znajdował, a że wiadomość pilną była, pośpieszył do jego celu.

Braciszek, który był na rozkazach u opata, nie wpuścił go zaraz, dając mu wiedzieć, że się ktoś u niego znajdował. Księdzu Petrkwowi było na rękę podpatrzeć, kto miał tajemne narady z nim, i ustawił się tak, aby po drodze wychodzącemu spojrzeć w oczy. Nadzieja go jednak zawiodła gdyż zaledwie na ławie w sieni przysiadł, dwu zakapturzonych mnichów wyszło z celi i przesunęli się tak żywo mimo niego, iż choć pozdrowił ich, aby zatrzymać, otrzymał tylko mruczenie w odpowiedzi. Zdało mu się, iż widocznie unikali zbliżenia się do niego.

Ponieważ wyszli od opata, gotów był to przypisać rozkazom jego.

Zachmurzony tą myślą stał jeszcze, gdy drzwi celi się otworzyły i sam Opat ukazał

się w progu wzywając go do siebie.

Dotąd ksiądz Petrek prawie był pewnym, iż miał całe jego zaufanie, sprawa Jaksów coraz mocniejsze budziła w nim podejrzenie, iż mógł je postradać.

Milcząco pozdrowił swojego zwierzchnika i smutnie spojrział ku niemu.

— Co mi ksiądz protonotariusz przynosi? — zapytał Aron.

— Zda mi się, że dosyć pożądaną wieść — rzekł zwolna ksiądz Petrek, któremu dwaj mnisi nieznanymi stali ciągle na myśli, ale może przerwałem jaką ważniejszą sprawę? — Widziałem wychodzących, zapewne...

— To są moi bracia, benedyktyni, których do sieciechowskiego sprowadziłem klasztoru — odezwał się opat spokojnie — nowych sił potrzebujemy, tyle jest do czynienia, nim się światło wprowadzi, nim pole zasieje.

Ksiądz Petrek, choć tłumaczeniu nie bardzo ufał, przyjął je za dobre i oczy pobożnie podniósł do góry.

— Wasza Przewielebność — odezwał się — lepiej wiecie zapewne, skąd ludzi ściągać i jakich wybierać. Powążyłbym się jednak odezwać za niemieckimi księżmi, którzy bliżej kraju naszego siedząc, lepiej go znają i łacniej sobie przyswajają język i obyczaje Polan.

Aron nic nie odpowiedział.

— O jakiejże to sprawie mówić mi chcecie? — spytał po krótkim milczeniu.

— Jestem posłem markgrafówny Ody, która chce do ojca powracać —

odezwał się podnosząc oczy, aby wrażenie nowiny pochwycić ksiądz Petrek — zdaje mi się, że nic pożądanym być nie może, gdyż markgrafówna, nie wszystkim tu jest miłą, nie dla wszystkich pożądaną. Może się mylę, ale oczy jej i chęci wysoko sięgają. Pozbyć się więc niebezpiecznej niewiasty.

Opat patrzył w okno, nie przeczył ani potwierdzał.

— Wasza Przewielebność zechcecie może o tym powiedzieć Panu

Miłościwemu. Mnie to poselstwo nie przystało.

— Jeśli to, jak sądzicie, stałe postanowienie czy niewieścia tylko próba? —

rzekł opat.

— Nie potrafię osądzić o tym — odezwał się pokornie ksiądz Petrek.

Zdawałoby mi się jednak, że w istocie chce się stąd oddalić.

Ksiądz pisarz miał wielką ochotę przeciągnąć rozmowę, lecz opat zamyślony był dziwnie i milczący; nigdy zimniejszym się nie okazał dla niego. Ksiądz Petrek stał wywołując jakieś słowo, zwierzenie się, poufałego coś, co by poświadczyło, że łask nie stracił. Opat milczał zadumany.

— Zaprawdę — dodał nieśmiało — byliśmy świadkami rozrzewniającego widoku. Cudu dokazała świątobliwość pani naszej. Co za radość powszechna!

Opat milczał jeszcze.

— Boli mnie tylko jedno — kończył pisarz — że mi nie było dopuszczono do dzieła miłosierdzia ręki przyłożyć, że nie zasłużyłem na zaufanie i wierne moje usługi zyskać mi go nie mogły. Budzi się we mnie wątpliwość, czy ja Przewielebności Waszej jestem użytecznym, gdy do niczego używać mnie nie raczysz?

— Jak to do niczego, mój bracie? — przerwał opat. — Król powierzył wam przecie poselstwo najtrudniejsze, najważniejsze, najbliższą serca swojego sprawę?

Wasza podróż do Magdeburga przekonać by was powinna, jak wielkie posiadacie u pana naszego

zaufanie. Ale też takiego jak wy człowieka do poślednich posług używać by się nie godziło.

Skłonił się ksiądz Petrek.

— To pewna — rzekł — iż nikt gorliwiej dla dobra kościoła i króla nie pracuje nade mnie, nieudolność tylko moja skutku nie dozwala osiągnąć. Robiłem, com mógł.

— Wiemy to — dokończył opat i natychmiast jakby odwracając rozmowę

począł żegnać pisarza, który rad nierad wysunął się, mocno rozszalony i gniewny.

Nazajutrz rano poczet, który miał w podróży towarzyszyć markgrafównie, sposobił się już do drogi. Oda milcząca, ale zarumieniona i podrażniona, wybierała się niecierpliwie. Kobiety jej wiązały swe przybory i sposobiły juki na konie. Wozy oprócz tego zatoczono pod izbę i już je ładować zaczęto. Markgrafówna na próżno usiłowała się dowiedzieć, jak król przyjął wiadomość o jej postanowieniu, dziwując się i złościąc, że ją tak łatwo wypuszczano. W istocie nikt na dworze nie okazywał

najmniejszego żalu i ochoty powstrzymywania jej.

Jeden tylko Bezprym, który był późno powrócił wczoraj z łowów,

dowiedziawszy się o wyborze Ody, pospieszył do niej z dobrym słowem. Na widok jego twarz się jej rozjaśniła, a nawyknięcie do zalotności uśmiezek wymuszony ściągnęło na usta. Bezprym więcej oczyma mówił do pięknej dziewczyny, niż po trafił ustami. Oboje wejrzeń nie szczędzili. Słowa nie szły długo osamotnionemu królewiczowi, zwłaszcza gdy się znalazł wobec niewiasty. Dopiero w końcu rzekł.

— Żal nam będzie was, bo takiego hożego lica nieprędko dwór doczeka!

— Macie tu ich dość! — odparła Oda, a mnie do swoich czas.

I znowu oczy mówiły tak wyraziście, że się markgrafówna zarumieniła, a Bezprym jak krwią stał oblany i wyrwał się do pożegnania, przyznając Ghezie, że Oda prawie mu się tak wydała piękną jak Ryksa. W istocie wszystkie niewiasty młode piękne dlań były, a szczególnie te, które na niego spoglądały mile.

Pożegnanie z królową było ze strony Ody zimne, a prawie czułe od Emmildy, która wdzięczną jej była, że dwór opuszczała, i tłumaczyła to sobie dobrą wolą.

Obdarzyła więc odjeżdżającą i uściśnęła błogosławiąc. Ryksa także okazała się przy pożegnaniu czulszą, niż była zwykle dla Ody.

Od króla przyniesiono podarki wspaniałe, na których widok zarumieniło się radością lice Niemki. Bolesław też sam wyszedł w podwórcę ku odjeżdżającej.

— Szkoda nam pięknej dziewoi — rzekł uśmiechając się do niej — ale kiedy ojciec woła, słuchać trzeba. Jużci też może kiedy do nas powrócicie?

Oda spojrzała na króla jakby z wyrzutem, coś szepnęła niewyraźnego, zwykła jej śmiałość opuściła ją w tej chwili, spodziewała się coś więcej nad podarki i obojętne słowo. W duchu sądziła może, iż jej Bolesław nie puści. Król popatrzywszy na nią wzrokiem pożądlwym, mrugnął powiekami, uśmiechnął się, ale wnet zeszedł

nazad do dworu i nie ukazał się więcej,

W progu izby Panicha i inne niewiasty dworskie kłaniały się odjeżdżającej, okazując niby żal wielki; w ogóle jednak więcej się spodziewała piękna pani.

Wprawdzie poczet, dodany jej, okazały był, dobrany i odpowiedni dostojęństwu, nie zbywało na niczym, wracała z orszakiem godnym niemal królowej, lecz czci jej nie oddano, której duma pragnęła. Widocznie pozbywano się prawie radośnie. Oda wyjechała otoczona rycerstwem, sama jedna z swym małym dworem, w sercu żywiąc mściwe uczucie. Ostatnie wejrzenie Panichy mówiło jej coś, co ona jedna rozumiała i co w przyszłości obiecywało wiele.

Ksiądz Petrek, za którym goniła oczyma, wcale się nie zjawił. Wyjechali już za okopy i podzamcze, gdy na gościńcu ukazał się z kijem w ręku ksiądz pisarz, jak gdyby z pieszej jakiejś powracał wycieczki. Ujrzawszy jadącą zatrzymał się niby zdziwiony, pozdrowił ją i rzuciwszy okiem po orszaku, który się składał z ludzi oswojonych z pograniczem a rozumiejących Niemców mowę, zawahał się zrazu z przystąpieniem do markgrafówniej, która się zobaczywszy go zatrzymała.

— Źleście uczynili — rzekł prędko — iż stąd ustępujecie. Czasem, gdy sprawa zdaje się przegraną, jest najbliższą końca. Cóż król?

— Nie szczędził podarków, ale mi słowa dobrego nie powiedział — szepnęła Oda. — Królowi wszystkie niewiasty równe.

Ksiądz Petrek się szydersko uśmiechnął.

— Ja nie żegnam — dodał — pięknej markgrafówniej. Dali Bóg życie,

spodziewam się ją tu widzieć jeszcze i w świetniejszym orszaku.

To mówiąc przybliżył się ku niej.

— Jedzcie do Niemiec — rzekł żywo — zawieźcie ten zwitek ode mnie do magdeburskiego arcybiskupa. Dostojny ojciec wasz niech mu go prześle. Zda mi się, że opat chytry chce oszukać wszystkich, ale i ja mam wzrok bystry i słuch czuły... —

Niech Bóg szczęśliwie prowadzi! — dodał głośno żegnając ją krzyżem na drogę i odstąpił wnet, puszczając się ku zamkowi.

Orszak markgrafówniej ruszył się wnet i dalej gościńcem po ciągnął.

Ksiądz Petrek już był od wczoraj zabiegając, podsłuchując, łapiąc poszlaki pewne doszedł do tego, iż poselstwa do Rzymu się domyślił, wiedział, że jeden z Jaksów jest do boku posła przeznaczony.

Choć opat taił przed nim i przed wszystkimi, co przedsiębrał, miał on swoich donosicieli, a Niemcy ze dworu Ryksy i nie którzy z posługi króla tak samo jak on niemieckim panom służyli.

Niewidzialną siecią opasanym był ten pan, który sam też starał się przebiegłością i złotem mieć zawsze wieści z nieprzyjacielskiego obozu.

W księdzu pisarzu oprócz przywiązania do Kościoła, którego sprawie służyć pragnął, prócz miłości dla cesarstwa, które za połączone nierozzerwalnym węzłem z Rzymem uważał, chęć pomszczenia się za rodzaj chłodnej wzgardy i nieufności, jaką mu okazywano, budziła się żywa. Zdało mu się, że opat ma go za poślednie stworzenie, niegodne i niezdolne, by mu coś ważniejszego powierzono. Obrażona miłość własna pragnęła zemsty.

Zaraz po wyjściu wczorajszym od opata ksiądz Petrek pobiegł się dowiadywać zrećnie o owych dwu mnichów przybyłych, którzy być mieli do Sieciechowa przeznaczeni. Znano go jako podręcznego pomocnika opata Arona, nie wszyscy więc usta przy nim trzymali zamknięte. Tegoż wieczora wiedział już, iż dwaj benedyktyni nie przyjechali zza granicy i do Sieciechowa nie zostali naznaczeni. Oba ściągnięci zostali z Tyńca, a jak mówiono, podróż jakąś mieli przed sobą. Nie wpadł na myśl dwu poselstw ksiądz Petrek, ale się jednego domyślił. Był go już prawie pewien, jak również, że jego do Magdeburga wysyłano dla zmylenia Niemców i zbicia ich z tropu.

Szczyścieło się dosyć przebiegłemu przyjacielowi cesarstwa, a umiał też każdą najmniejszą zrećność wyzyskać. Tegoż rana Andruszka miał polecony wybór koni i przysposobienie się do podróży. Spotkał się z nim w podwórcach ksiądz pisarz i wnet z czułością wielką począł mu szczęścia, jakie go spotkało, winszować, unosząc się nad królową.

Andruszka, przejęty jeszcze dobrocią królewską, szanując duchownego, wiedząc, iż do dworu należał i opatowi służył, nie bardzo miał się na ostrożności.

Wiedział już, dokąd go wysyłano, i nakazaną miał tajemnicę, ale zachowywać jej tak ściśle względem księdza pisarza nie czuł się obowiązany.

— Konie rozpatrujcie — rzekł mu uśmiechając się porozumiewająco ksiądz Petrek. — Potrzeba je dobrać tak, aby długą, ciężką, niebezpieczną wyprawę mogły wytrzymać.

Oczyma dawał mu do zrozumienia, że on o wszystkim był uwiadomiony.

Andruszka też nie wąpił o tym.

— Życie bym dać gotów, aby miłościwemu panu jak najlepiej usłużyć, odezwał się.

— Niebezpieczna, trudna wyprawa, gorzej niż przeciw jawnemu

nieprzyjacielowi — rzekł ksiądz wzdychając — na bacznosci się mieć będzie potrzeba od niespodzianych zasadzek!

Andruszka potwierdzał to ruchem głowy.

— Kraj nieznan, ludzie obcy a wielce przebiegli. Daj Boże podołać temu.

— To już nie moja rzecz, odezwał się Andruszka, ale tego, co lepiej znając, wszystko prowadzić będzie. Ja w obronie tylko i na posłudze mu stawać muszę.

— Mamli dać radę? — szepnął ksiądz Petrek dla lepszego zbadania. Nie szukajcie manowców, nie schodźcie na małe drożyny, wielkim gościńcem najmniej się was będą spodziewać. i jechać najbezpieczniej. Powiedzcie to, ale od siebie, przewodnikowi, nie domyślą się ludzie, kto jesteście, widząc, że się nie kryjecie z sobą.

— Rozumna rada! — potwierdził Andruszka.

— Ku południowi i w cieplejsze dążycie kraje — z uśmiechem dodał w końcu Petrek, kozuchów i opończy nie nabierajcie, ciężar to daremny.

Andruszka potwierdzająco się uśmiechnął, a ksiądz pisarz pewnym już będąc swojego, zbiegł natychmiast do celi, na zryнку ostrzeżenie napisał, Woskową je pieczęcią i sznurem opatrzył, wyszedł na miasto i oddał markgrafównie, aby je do arcybiskupa wysłano.

Na gościńcach więc większych, którymi jechać doradzał, pewnym był

rozstawienia pilnych straży i pochwycenia królewskiego posła. Szczęściem jednego tylko odgadywał, gdy w istocie dwu ich być miało.

Rad z siebie, że kościołowi oddał i cesarstwu posługę, przejęty radością pobożny ksiądz pisarz wprost potem udał się do tumu i pokłękłszy przed ołtarzem gorąco modlić się zaczął. Zdradzał on w dobrej wierze, pewien, że na swe zbawienie pracuje.

Rozdział 4

Coraz cieplejsze szły po sobie dni wiosenne. Królowa też często wychodziła z dworem swoim, odbywając pobożne pielgrzymki do wystawionych w okolicy krzyżów, które teraz zastępowały dawne bożyszczka i słupy pogańskie.

Jeden z księży z tumu poprzedzał zwykle pobożną niewiast gromadkę,

śpiewając pieśni, które duchowni czescy pierwsi na swój język przekładali, a te się łatwo spolszczyć dawały. Śpiewano i po czesku nie czując zbyt dużej różnicy.

W kilka dni po wyjeździe Ody tak samo wyszły niewiasty wszystkie na

pobożną przechadzkę. Królowa przodowała. W dworcu jej, jak zwykle, wszystko stało otworem, okna poodślaniane były, drzwi odemknięte, choć żywa dusza w izbach się nie znajdowała. Straży też w wewnętrznych dziedzińcach nie stawiano.

W chwilę po wyjściu królowej na jednym z podwórców zjawiała się

rozglądając ostrożnie Panicha. Nie widząc nikogo po cichu drzwi otworzyła i zamknęła je za sobą. Oczywiście śledziła wszystkie kąty, krokiem wolnym jakby bez celu posuwała się ku oknom izb Emnildy, a gdy i tu nikt się nie pokazywał, podeszła do nich blisko. Nierychło ośmieliła się głowę włożyć w otwór i wpatrzeć w pańskie komnaty. Ciekawość czy inna jaka myśl ją prowadziła? Zajętą się być zdała silnie i jakby przestraszona tym, co czyniła, a szła jednak.

We wnętrzu było pusto. Od okna odstąpiwszy powlokła się obejrzawszy kilka razy ku drzwiom, te stały otworem. Mogła więc wniknąć, nikt jej nie widział. Wsunęła się po cichu i znikła. Dobra chwila upłynęła, a z powrotem jej widać nie było.

Gdy nareszcie wyszła blada, jakby prana i wystraszona, musiała się o ścianę oprzeć na czas jakiś, by nie upaść, bo nogi trzęsły się pod nią. Oczywiście wodząc obłąkanymi ręką wychudłą tarła czoło oblane potem, jakby z niego myśl jakąś natrętną zetrzeć chciała. Potem z przestachem nagłym odbiegła prędko ku furcie, którą weszła, wysliznęła się nią i nie odetchnęła aż na drugim podwórku, gdzie pod ścianą upadła na pół omdlona. Widocznie coś się z nią stało nadzwyczajnego, bo twarz i postawa jej cała zmieniły się strasznie. Targała się jakby chcąc i nie mogąc powstać, wreszcie płachtę zsunęła na oczy, niby nie chcąc, by jej kto z twarzy wyczytał myśli, i tak pozostała skulona, uszpięta, póki ją głos Zyga nie zbudził.

Karzeł stał nad nią i wykrzywił się dziwnie.

— Stara ty czarownico — wołał — co ty tu ścianę królewską walasz ocierając się o nią. Jeśli ci czas przyszedł zdychać, idź do psiarni.

Tym głosem obudzona, Panicha podniosła nieco głowę, zasyczało jej coś w ustach, ale głosu rozeznąć nie było można.

— Upiłaś się gdzieś na podzamczu — śmiał się karzeł — a przyszłaś tu piwo wydychać. Że cię też psy nie zjedzą.

Panicha ręką go odganiała, ale karzeł był złośliwy i sprawiało mu przyjemność dręczyć tych, co mu się bronić nie mogli, jak osa opadł babę i brzęczał jej nad uchem.

— Żal ci znać twojej pani, do której chodziłaś czary dla niej sposobić.

Pojechała, nie wróci. Trzeba się było zabrać z jej dworem, tam by ci lepiej było.

Zyg przechylił się zęby wyszczerzając i począł cichym głosem.

— Ty, co umiesz czarować — zawołał szydersko, toć byś i mnie powinna jaką dziewczkę przyciągnąć, a to od ilu lat jestem na dworze, żadna, nawet niewolnica i chłopka, królewskiemu słudze się nie uśmiechnęła.

Panicha zaczęła wstawać, aby się od zjadliwego karła uwolnić, lecz siły ją opuściły i opierając się oburącz na ziemi zaledwie podnieść się potrafiła, gdy Zyg popchnął ją śmiejąc się i znowu padła

przeklinając go, odgrażając się, nareszcie kij chwyciwszy, by mu się obronić. Zygowi tego tylko było potrzeba, i on też kij miał

pod ręką, stanął z nim jak z mieczem do walki.

Gawiedź w drugim końcu dziedzińca stojąca zbiegła się ze śmiechem patrzeć na to osobliwe widowisko. Panicha nareszcie rzuciwszy kij dźwignęła się z ziemi i klnąc Zyga rzuciła do ucieczki. Karzeł i gawiedź gnali za nią i tak ze wrzawą wypędzili ją z dziedzińca wśród powszechnego śmiechu. Psy, obudzone hałasem, pognały za nią szarpiąc odzież jej, przyprawiając niemal do szaleństwa.

Temu wypadkowi przypisywano, że nazajutrz Panicha była obłąkaną i w

kruchcie kościelnej śpiewała, skakała, plotła tak od rzeczy, iż ją z zamku precz wygnać kazano.

Miała ona przyjaciół na podzamczu i do nich się schroniła. Od dawna zwykła była u dalekich jakichś krewnych w ubogiej chacie Drapaczów nocować i składać swe łachmany. Tu gdy teraz wpadła z rozczochranym włosom, płachtami rozrzuconymi, jakby pijana, Drapacz o mało nie zamknął drzwi przed nią, tak się nastraszył. Wparła się siłą do lepianki, wołając.

— Co to wy mnie nie znacie, ja królowej pani sługa? Ja chodzić będę we złocie i w szkarłatach. Nie wiecie nic. Będziemy mieli nową panią. Tej już niedługie panowanie. Co ja wiem — nie powiem. Weszłam do komnaty, nikogo nie było. Com zrobiła? Co komu do tego? Co? — Ze ściany mi jakaś twarz okropnymi oczyma zaświeciła, grożąc. Albo ja się boję? Nie boję się.

Mówiła przerywanymi słowami, a Drapacz ręce łamał milczeć jej każąc i spać ją chcąc położyć. Nic to nie pomogło. Panicha po swojemu bredziła do nocy, a nazajutrz rano wstała z tym samym śmiechem i szałem.

Chciała się wyrwać z podzamcza i wniknąć na zamek znowu, lecz od wrót ją odpędzono i Drapaczowi nakazano surowo, aby zamknął ją i pilnował. Trzeciego dnia uspokoiła się nieco, nie wychodziła już ku grodowi obawiając się chłosty, lecz bredziła zawsze jedno, o królowej nowej, o swej przyszłości, o oczach, które na nią ze ściany patrzyły.

We dworze mało kto postrzegł nawet, że Panichy nie stało. Trzeciego dnia właśnie, gdy miano jednego z Jaksów wyprawiać, z rana rozeszła się wieść, że królowa Emilda zachorowała.

Na całym zamku, w mieście, gdziekolwiek się o tym dowiedziano, żal, boleść wielka i przestach ogarnął ludzi; królowa bowiem była matką ubogich, orędowniczką wszystkich u króla, opiekunką biednych, co się do niej czasem z kończyn kraju ściągali. Nie odmawiała nigdy opieki nikomu, a król rzadko prośbę jej odrzucił.

Z dawna już na znużonej twarzy świętej niewiasty widać było, jak jej życie ciążyło wielkim brzemieniem, często mówiła, iż się czuła słabą, i nie obiecywała sobie długiego wieku. Nie spoczywała jednak i nie zamykała się u siebie. Co dzień przychodziła zająć swe miejsce przy panu, trwała na nabożeństwie, karmiła wciąż ubogich.

Dopiero dnia tego po raz pierwszy strwożyli się wszyscy dowiadując, iż królowa leży i wyniść nie może. W przededniu wróciwszy z kościoła Emmilda zażądała napoju, złoty jej kubek stał na stole, kazała sobie weń nalać wody, wypiała ją i stawiając go szepnęła, że woda dnia tego dziwny jakiś smak miała.

W godzinę potem ómami zaczęły jej zachodzić oczy, uczuła ból w głowie i musiała usiąść naprzód, potem się położyć. W nocy stan ten się pogorszył. Z

cierpliwością wielką boleści znosiła królowa, Bogu za nie dziękując.

Nazajutrz, gdy nie wyszła do jadalni, i Bolesław, nawykły od lat wielu widzieć ją u boku swojego, nie zobaczył tej twarzy, co mu pokój i pociechę przynosiła, posłał

zaraz niespokojny, a wnet i sam szedł do komnaty żony.

Zastał ją leżącą, bladą, z oczyma straszliwie jaśniejącymi jakimś życiem potężnym, w gorączce, z usty spalonymi, lecz przytomną i modlącą się. Rozmaite rady niewieście, którymi ją leczyć chciano nie pomagały. Z każdą godziną stan się pogarszał.

Nie było naówczas lekarzy. Jedynym, co słynął szeroko, był biskup praski, starzec sparaliżowany sam, którego rady z dala zasięgnąć nie było podobna, a jego przywieść niemożliwe. Rzucono się więc o pomoc do lekarza jedyne go w niebiesiech, który mógł skinieniem życie przywrócić i uleczyć chorobę. Po kościołach wszystkich nakazano nabożeństwa. Z tumu przyniesiono relikwie świętych, rozesłano do klasztorów, aby uroczystymi modłami błagano Boga o zachowanie życia królowej.

Na królu widać było smutek wielki, jakiego od utraty Pragi nie pamiętano.

Milczący siedział, posyłając się dowiadywać co chwila, obiecując ofiary szczodre duchowieństwu, jeśliby królowej zdrowie modlitwy jego przywróciły. Dzień też i noc nie ustawały ofiary i pieśni w kościołach.

Królowa Emmilda, przy której łożu Ryksa zajęła miejsce, otoczona całym swym niewieścim dworem przywiązany do niej jak do matki, leżała cierpiąca, choć nic nie zdawało się zwiastować pogorszenia. Osłabłą była, skarżyła się na boleści, lecz uśmiechała się do otaczających.

Dzień i dwa całe przeszły bez żadnej zmiany prawie wstępowała więc nadzieja we wszystkich, iż się choroba sama przesili i królowa ocaloną zostanie.

Ona sama nie okazywała ani trwogi, ni zbytniej o życie troski.

Trzeciego dnia zażądała duchownego, spowiedzi i przygotowania na podróż wielką. Potem zdała się już spokojniejszą i mniej cierpiącą, sen łagodny przymknął

jej powieki. Na dworze dziękowano już Bogu za ocalenie, które się pewnym zdawało.

Król ślubował złoty krzyż do Gniezna.

Lecz gdy się obudziła Emnilda, zażądawszy widzieć syna i wnuka, ledwie miała siłę pochylić się ku nim, aby ich ucałować.

— Nie trwóście się mówiła, nie płaczcie. Godzina moja przychodzi, idę na lepszy świat do najdobrotliwszego z ojców, pełnego łaski. Tu jestem już niepotrzebna, tam spoczynek mnie czeka i szczęśliwość. We śnie widziałam anioła Pańskiego, który mi zwiastował, że powołuje mnie ku sobie Ojciec niebieski.

I sługom nakazała się przybrać w białe szaty, a potem po cichu modlić się zaczęła.

Płakali wszyscy, strach ogarnął znowu dwór. Przebyła jednak królowa i tę noc, i dzień następny. Zaczęto się pocieszać nadzieją. Zwolna uchodziło jakby wyczerpujące się życie, siły ubywały, nikły, ale uśmiech spokojny z ust jej nie znikał. Jak w jednej części wiernych choroba ta przestraszała i obawę o przyszłość, tak w drugich dziwne z nią rosły nadzieje. Bezprym, choć królowa Emnilda była dlań zawsze łaskawą i wielokroć ojca starała się dlań serce ukoić uśmiechał się dziko na wiadomość o chorobie. Gheza musiał chodzić nieustannie na zwiady i przynosić mu wieści, które w podwórcach mógł pochwycić.

Tak samo niespokojnie wyglądał ksiądz Petrek końca choroby, którą zawczasu osądził śmiertelną. Było mu równie jak wszystkim przyjaciołom cesarstwa na rękę doczekać zgonu królowej. Znali oni Bolesława i spodziewali się albo Odę, lub inną Niemkę na dwór wprowadzić, a z nią tajemny wpływ Niemców ustalić, który miał

przyszłość podkopać.

Ksiądz Petrek posługiwał się Harnem i innymi; powierzchownie smętnego wielce udawał, przed opatem z uwielbieniem mówił o świątobliwej pani, lecz z niecierpliwością wyglądał jej zgonu. Na przemiany to radując się w duszy, to troskając, gdy wieści lepsze przychodziły, spędzał znaczniejszą część dnia na czatach około dworu królowej, nie zwracając na siebie uwagi wśród tłumu, który go otaczał

ciągle. Dzień i noc niemal całą stali ubodzy ludzie u ścian spoglądając na wrota, cisnąc się, gdy komornika zobaczyli. Ksiądz pisarz z innymi chodził na nabożeństwa błagalne i pokazywał się na nich jawnie, aby go tam wszyscy widzieli.

Dnie te, w trwodze przebyte, wydały się wiekami.

Królowa gasła widocznie, a otaczający jej łożę łudzili się jeszcze nadzieją.

Czasem orzeźwiona zdawała się silniejszą, przemówiła słów kilka, uśmiechnęła do Teodory Sieciechównej, przemówiła do Ryksy, zbladłą ręką pogłaskała wnuka, potem opadała senna, znużona i powieki jej zamykały się zsiniałe. Dzień jeden nie przyjmowała już pokarmu, zaledwie mogąc do ust spiekłych wziąć kroplę wody.

W nocy przebudzona, ujrawszy u stóp łoża Sieciechównę, skinęła na nią.

Noc to była ostatnia...

— Teodoro moja — rzekła — czas się zbliża, nie łudźcie się i modlitwami nie wstrzymujcie duszy mojej. Jej się tak pragnie ulecieć na łono ojcowskie. Któż wie, czy doczekam rana. Idź proszę, powiedz ojcu swojemu, że raz jeszcze chcę króla i pana pożegnać mego, niech przyjdzie ku mnie.

Zapłakana pobiegła Siciechówna, zbudzono Bolesława, który natychmiast wieść się kazał do królowej. Zobaczywszy go, wysiłkiem ostatnim podniosła się Emmilda ręce wyciągając ku niemu. Kazano się wszystkim oddalić, król padł na siedzenie.

— Panie mój — odezwała się silniejszym niż wprzód głosem królowa. —

Panie mój, mnie Bóg powołuje, chciałam cię pożegnać i za lata strawione z tobą dziękować. Przed oczyma moimi widną jest przyszłość, niech ci Bóg da siły do dźwignięcia jej, bądź szczęśliwym! Nie zapominajcie o duszy mojej.

— Przyszłość widzisz? — zapytał król. — Powiedz mi ją.

— Nie wolno mi jej odkryć tobie, i ty widzieć ją będziesz, gdy przyjdzie godzina. Mężnym bądź. Pomnij tylko, że ta, którą weźmiesz po mnie, ciebie, pana mego, winna być godną. Nie patrz na młodość, nie daj się zwieść wdziękowi, abyś nieprzyjaciela nie posadził w domu twym u stołu twojego.

Umilkła królowa, nie rzekł też słowa Bolesław. Przyszły mu na myśl lata przeżyte z córką Dobromira, nie zamącone niczym, pogodne, czyste, w ciągu których stokroć on potrzebował przebaczenia, a nigdy nie miał przebaczać powodu. Żal niezmierny ścisnął męskie serce jego, zdało mu się, że z tą niewiastą odchodzi szczęście, które mu jej modlitwy u Boga wyjednywały. Zbliżył się ku niej, usta szeptały jeszcze modlitwę, lecz gdy całował raz ostatni, uczuł je jak lód zimnymi, i rysy okryły się bladością śmiertelną. Z rękami na piersiach złożonymi, w których ścisnęła krzyż, z tą na ustach modlitwą przy pożegnaniu męża cicho i spokojnie królowa Emmilda skoła.

Na krzyk dziki, który się wyrwał z ust króla, nadbiegł dwór cały i padł

rozławiony u łoża widząc martwą królowę.

Sieciech natychmiast zbliżył się do pana, aby go od smutnego oderwać widoku. Wyprowadzono króla, a z drugiej strony drzwiami wszystkimi biegli ludzie z płaczem i jękiem do ciała. W mgnieniu oka rozeszła się po dworcu i dziedzińcu wieść straszna.

— Królowa umarła! Emmilda nie żyje.

Była to chwila, gdy dzień się robić począł, ubodzy ludzie budzili się do pracy, gdy żałobny dzwon ozwał się na tumie i ksiądz Petrek porwał się ze snu.

Zrozumiał on głos ten poranny i drgnął. W chwili już był odziany, na nogach i wybiegł ze swej izdebki. Ludzie zawodząc i płacząc snuli się w dziedzińcach, tłum czarny widać było koło dworca. W powietrzu latały słowa "królowa umarła!

Dziwny uśmiech skrzywił mu usta i w mgnieniu oka twarz przyobłókł żalobą.

Naprzeciwno niemu biegł Harno, nie od palatium pańskiego, ale z podzamcza, przestraszony jakby i nad miarę pomieszany. Ksiądz zobaczywszy, nie mówiąc doń nic począł go ciągnąć nazad do jego mieszkania. Ksiądz Petrek mógł się łatwo domyśleć, iż coś innego mu niósł niż wiadomość o zgonie, o którym już wszyscy wiedzieli.

— Ojczy mój, zawołał w progę. Byłem posłany na podzamcze przez Sieciecha (pochwycił się za głowę). Ojczy mój, com słyszał, co widziałem. Z chaty Drapacza wystawiwszy głowę rozczochraną krzyczała Panicha, ta straszna baba, co się do markgrafówny włóczyła, krzyczała, że ona będzie nową królową, Oda i że nie kto, tylko ona, Panicha, wszystko to zrobiła.

Ksiądz Petrek rzucił się usta mu gniotąc ręką.

— Milcz, przeklęty głupcze! — krzyknął. — To obłąkana, sama nie wie, co prawi. Milcz! Chceszli być pewien głowy na karku. Nie śmiej mówić o tym nikomu.

Idź, rozkaż Drapaczowi, by zabił okno, aby jej nie wypuszczał, by nikt nie śmiał tego powtarzać.

Chociaż wolą było zmarłej, ażeby pogrzeb jej odbył się tak, jakby w zakonie życie skończyła, choć kazała się pogrzebać w sukni mniszej, jako pokorna służebnica Chrystusowa, król o tym słuchać nie chciał. Bolesław nakazał, aby oddano cześć zwłokom królowej największą, ze wspaniałością je grzebiąc obok Mieszka, tam gdzie on sam też chciał spoczywać. Rycerstwo, panowie, duchowieństwo natychmiast zwołani zostali. Z Gniezna i Trzemeszna mieli przybyć kapłani, a mnogi lud i tak już gród oblegał.

Trzeciego dnia po zgonie odbył się więc z przepychem owych czasów

niezmiernym, z jałmużnami i darami, z nabożeństwem uroczystym, pogrzeb pobożnej pani, za którym szło, co żyło w mieście i okolicy.

Gdy nazajutrz potem rozpląnęły się tłumy i powszednie życie wróciło w zamku nad Cybiną, choć jak zwykle nie brakło ludu na nim i gwaru, pustka, którą po sobie zostawiła Emmilda, dała się czuć wszystkim. Młoda Ryksa, równie pobożna, zajęta dziecięciem swym i mężem, żyjąca w zamknięciu, mniej dostępna, nie mogła jej zastąpić. Królowi brakło tej towarzyszkii wiernej, której siedzenie pokryte czarnym suknem stało próżne.

Opat widząc go chmurnym i niepokieszonym starał się naprzód skłonić do zgodzenia się z wolą Bożą, potem odwrócić myśl jego od tej żałoby, przypominając mu dwa poselstwa, które wyprawione być miały. Oba one powstrzymane zostały z powodu choroby królowej. Na wzmiankę o tym król w istocie odzywać się zdawał.

— Jaksowie oczekują i moi dwaj księża na pańskie rozkazy — odezwał się opat.

— Niech jadą — odparł król.

Naówczas opat obszernie począł kreślić plan podróży i opowiadać, jakimi listy do Rzymu miał ich

opatrzyć. Listy te, przeciw zwyczajowi, nie ksiądz pisarz Petrek przysposabiał, ale benedyktyn, którego umyślnie dla sporządzenia ich sprowadzono do tumu, skąd wcale nie wychodził. Szło następnie oznaczenie wagi złota, jakie z sobą dwa poselstwa zabrać miały. Bolesław oznaczył ją bardzo wysoką, lecz za branie takiego skarbu dla wagi jego w podróży było prawie niepodobieństwem.

Wszystkie te szczegóły, o których musiał król mówić, myśli jego nieco oderwały od wspomnień królowej.

Dla tym pewniejszego omamienia księdza Petrka, którego się opat obawiał, kazał mu wygotować list do arcybiskupa nowy, polecający modlitwom jego duszę królowej, przy czym dar dla duchowieństwa u progu świętego Maurycego miał być dołączony, a razem prośba nagląca o pośrednictwo u cesarza w sprawie korony. Tym listem jakby mocno zajęty, opat spędził kilka godzin razem z księdzem Petrkim.

Pisano go i przerabiano, przy czym i o wielkim żalu króla a smutku jego mowa była.

— Przewielebny ojczy — odezwał się ksiądz Petrek — w końcu wszystkim nam wiernym sługom miłościwego, wielkiego pana naszego idzie o utrzymanie go w najdłuższe lata. Niech mi więc będzie przebaczone, jeśli się odezwę w tej rzeczy.

Opat spojrzął ciekawie.

— Na smutek miłościwego pana nie ma ratunku innego, tylko tę świątobliwą panią, nieodżałowanej pamięci królowę, zastąpić inną u boku jego niewiastą. Lepiej stokroć jest, aby świętym związkiem małżeńskim został z inną połączony, niżby miał

pokątnej szukać pociechy w lada jakich miłostkach.

Opat Aron słuchać się zdawał z uwagą, nie przecząc wcale, czym ośmielony nieco ksiądz Petrek mówił dalej.

— Myśmy do poskramiania naszych namiętności nawykli, lecz królowie a rycerze hamować ich nie umieją. Królowej potrzeba.

— Nierychło o tym mówić się będzie godziło— przerwał opat.

— Lecz potem za późno być może, gdy król zakosztuje swobody, do której czasu swych wojen był nawykły — mówił pisarz. — Im krótsze będzie

wdowieństwo jego, tym dla duszy jego zbawienniej.

Tu zatrzymał się nieco i zawahawszy ciągnął dalej.

— Pomiędzy ludźmi we dworze mowa jest, iż za pobytu markgrafówny Ody rzucał na nią miłościwy pan pożądliwym okiem. Niewiasta nieco płocha dla dostojności królewskiej młodość by swą poświęciła chętnie. Ludzie mówią, że wcale nie patrzyła krzywo na miłościwego pana.

— Samiście rzekli, że niewiasta płocha — wtrącił opat.

— Lecz ustałaby płochosc w stadle małżeńskim — mówił ksiądz Petrek. — A skądże miłociwemu panu żonę weźmiemy, jeżeli nie spomiędzy chrześcijańskich rodów... niemieckich, z którymi połączenie wojnom też zapobiec może.

— Rada wasza — odparł opat Aron — może być pożyteczną, chociaż wybór zdaje mi się niedobry. Król towarzyszy nowej zapragnie, a nikt mu jej nie może odmówić, bodaj jednak wybrał inną.

Uśmiechnął się ksiądz Petrek.

— Z tego, co po dworze chodziło wnosząc — dodał — zda mi się, że innej nie zechce, a nie byłoby lepiej dla tego, kogo wezwie do swej rady, by mu to przyniósł

właśnie, co ma na myśli?

Rzuciwszy tak od niechcienia to, co chciał zdać na opata, ksiądz pisarz przez czas jakiś zajął się mocno aktem, który miał przysposabiać, potem, niby sobie coś przypomniawszy, rzucił trzcinę, którą pisał.

— Zapomniałem też donieść waszej przewielebności, jak to powinienem był z obowiązku — odezwał się — jakie tu nedorzeczne chodzą plotki. Wiem przecie z ust waszych i z własnego poselstwa, iż innych starań o koronę nie ma, tylko przez cesarza i arcybiskupa, a są płosi ludzie, co utrzymują, że wprost do Ojca świętego, do Rzymu, ma być poseł stąd wyprawiony. Jużciż, gdyby tak być miało, ja bym coś o tym wiedział. Baśń jest sklecona lichu.

Opat posłyszawszy to poruszył się niezmiernie, mimo mocy, jaką miał nad sobą, zbladło mu lice i wybuchnął gniewem.

— Że ludzie plotą takie baśnie, nie dziwię się, ale dziwno mi, że mi je wy, ojcze, powtarzacie.

— Z obowiązku — rzekł zniżając głowę ksiądz Petrek. — Wasza

Przewielebność o wszystkim musi być zawiadomioną. Nedorzeczność plotą, ja wiem najlepiej, com nieco po świecie bywał i znam moc cesarską, a czujność tych, co mu służą. Do Rzymu się dostać stąd., gdyby nawet stokroć się przebrał ktoś, nie potrafi, ani ja, co znam drogi i ludzi, ważyłbym się sam, aniby radził komu.

Szedłby na zgubę pewną.

W oczy spojrzął opatowi, mówiąc ksiądz Petrek, lecz już Aron, uspokojony, przybrał szyderski wyraz twarzy.

— Zaprawdę — odezwał się — baśń godna tych próżniaków, co na dworze nie mając się czym zabawiać z palca sobie wykręcają niebywałe rzeczy. Mój ojcze, ani słuchać tego, ani na to zwracać uwagę. I ja nieraz słyszę, czemu gdybym chciał dać ucha, przyszłoby zwątpić o ludziach, i co gorzej, o stanie naszym kapłańskim. Alboż myślicie, że mnie nie usiłowano wmówić, iż wy, którzy jesteście

prawą ręką moją, służycie arcybiskupowi magdeburskiemu i cesarzowi, a na dwór ich donosicie, co się u nas mówi i dzieje?

Ksiądz Petrek siedzący nad pulpitem zatrzęsł się cały; głowa jego spuszczone nad pergaminem nierychło się podniosła i głos nie dobył się z ust, aż gdy ochłonął.

— Niepocziwa to potwarz — rzekł cicho i drżąc — niegodna, by mówić o niej.

Opat się podniósł z siedzenia.

— Toteż — odparł spokojnie — widzicie, że o niej nigdy wam nie

wspomniałem, choć od dawna mnie nią karmiono, ani się zmniejszyła dla was ufność moja.

W milczeniu posunął się pisarz szybko do ucałowania ręki opata, który z postawą pewną siebie i dumną niemal, wyszedł z izby.

Pisarz odprowadziwszy go do progu z pokorą wrócił chwiejącym się krokiem.

Za progiem zaraz stanął nieruchomy, osłupiały, jak wryty, i z oczyma w ziemię wlepionymi, długo, długo, zapominając o wszystkim, co go otaczało, pozostał.

Słowa opata Arona jak rozpalone iskry latały mu po głowie. Był więc

zdradzonym, odgadniętym, on, co sądził, że schwytanym być nie może i jest bezpiecznym.

Co miał radzić na to, nie wiedział sam. Z głową w dłonie ujętą poszedł do stołu, zapatrzył się w pergamin, odepchnął pulpit i padł na swe siedzenie.

— Kto mnie mógł zdradzić? — pytał ciągle. Więc chytry ten wąż i tam może ma swoich, co mu donoszą, co szli za mną, co podsłuchiwali?

Strwożony trząść się zaczął jak w febrze.

— Jeżeli opat słyszał o tym, król wie, a król, rzucić może do ciemnicy, zesłać do benedyktynów, którzy mnie zamkną jak więźnia na wieki! ... Uciekać!... Jak i dokąd? Niepodobieństwo!

Męczeństwo, na które mógł być skazany, pomimo gorliwości dla sprawy kościoła, przerażało go. Nie był na nie przygotowany. W myślach powstał zamęt niewysłowiony i wreszcie ksiądz Petrek nie umiejąc go pokonać padł na kolana do modlitwy, szukając w niej ratunku. Ale i modlić się nie umiał. Usta powtarzały wyrazy, myśl biegła gdzie indziej. Przypominał sobie, iż pisma arcybiskupie miał w izbie, że je u niego znaleźć było łatwo teraz, gdy go już miano w podejrzeniu.

Skończywszy więc krótką i roztargnioną modlitewkę, wstał, drzwi zaryglował i zajął

się wyszukiwaniem kartek, które natychmiast chciał zniszczyć.

I w tym trudność była wielka, bo spalenie ich mogło być dostrzeżonym, a skóra nie łatwo się pali. Postanowił je więc zakopać gdzieś w miejscu bezpiecznym.

Co prędzej, zebrawszy zwitki, wysunął się ostrożnie na podwórze i wyszedł krokiem szybkim za okopy. Tu wszędzie było ludu tak wiele, iż w pobliżu miasta nie mógł

zrobić nic, musiał wniknąć w las, gdzie, jak mu się zdawało, nikt go już postrzec nie mógł. Pod starego dębu korzeniami naprędce wykopawszy dołek ksiądz Petrek wrzucił, co przyniósł z sobą, zasypał ziemią, zakrył liśćmi, udeptał nogami i lżej odetchnął, gdy się ta czynność szczęśliwie dokonała. Obejrzał się jeszcze dokoła, nie było nikogo, żadna gałązka się nie poruszała, las i okolica milczały.

Spokojniejszy wziął za kij wracając ku miastu powoli, zacząwszy się modlić na nowo. Zbierał myśli, aby coś postanowić na przyszłość. Co miał uczynić?

Ucieczka byłaby przyznaniem się do winy, której żadnego dowodu nie miano. Ktoś go zapewne z pogłosek, na dworze magdeburskim pochwyconych, mógł oskarżyć, ale gołe słowa łatwo było odeprzeć. Opat Aron prawdopodobnie może im nawet nie wierzył. Ksiądz Petrek chciałby był móc zajrzeć w jego duszę, lecz czuł, że to jest niepodobieństwem. Ze wszystkiego jednak wypadało mu pozostać na dawnym stanowisku, starać się na nowo obudzić zaufanie i służyć, jak dawniej, sprawie kościoła i cesarstwa. Postanowił być ostrożniejszym, ale niemniej gorliwym.

Cierpliwość i pokora była najlepszym lekarstwem na podejrzenia.

W tych myślach zbliżył się ksiądz Petrek do miasta.

Uszło baczne oko jego w chwili przestachu, jaki zrazu go ogarnął, iż przy zakopywaniu zwitków pargaminowych miał świadków. Traf chciał, że się dwaj Jaksowie przed rozstaniem swym chcieli na osobności rozmówić po bratersku.

Wyszli więc godziną wprzód do lasu i położyli się na ledwie oschłej ziemi nie opodal od miejsca, w którym stał dąb stary. Szelest nadchodzącego spiesznie pisarza zwrócił ich uwagę, zamilkli i byli mimowolnymi świadkami zakopywania jakiegoś, jak się im zdawało, skarbu. Zaraz po odejściu księdza Petka, którego mało znali, Andruszka zaczął się śmiać z nieostrożności księdza i wniósł, żeby go nauczyć większej baczności w ważnej sprawie. Śmiejąc się poszli na miejsce, które dobrze widzieli, i począwszy grzebać dobyli z łatwością ukryte zwitki. Zdziwiło ich to, dlaczego ksiądz potrzebował taić się z nimi.

— Nieczysta to rzecz — rzekł Andruszka — a może właśnie Pan Bóg chciał, byśmy jaką zdradę niebezpieczną odkryli. Czytać z nas nikt nie umie, idźmy do opata.

Opat Aron znajdował się w tumie; gdy ich zobaczył nadchodzących, sądząc, że coś o podróży mówić mu mają, począł od tego, aby spokojni byli i oczekiwali na rozkazy.

— My tu nie z tym przychodzimy — odezwał się Andruszka — ale ze śmieszną sprawą, która może ma jaką wagę.

I począł opowiadać, jak się rzecz miała. Na twarzy Arona odmalowała się radość i zdziwienie,

sięgnął po zwitki chciwie i pocałował w głowę Andruszkę.

— Istotnie — rzekł, rzucając oczyma na kartki — oddaliście królowi przysługę, choć wypadkiem. Proszę was, milczcie o tym.

Skłonili się Jaksowie.

— Księdza Petrka, mimo że od dawna wiem, iż nas zdradza, dla tego trzymam właśnie, aby go innym nie zastąpiono. Źle by było, gdyby się czegoś domyślał. Nie mówcie nic, i nikomu.

Gdy opat z pomocą z drugiej celi przywołanego mnicha zabierał się do czytania, Jaksowie wyszli uradowani.

Ksiądz Petrek wróciwszy do swej celi, choć znacznie w duchu ukojony, niemniej jeszcze z myślami gorączkowymi całą noc przepędził. We śnie zdało mu się, że zakopane nieostroźnie zwitki ktoś dobył z ziemi. Obudził się w potach zimnych, ogarnęła go trwoga, bo naówczas i długo potem jeszcze w sny wierzono.

Jak świt więc, pędzony niepokojem, pobiegł w las w zamiarze wydobycia pergaminów i ukrycia ich bezpieczniejszego gdzie indziej.

Jakiż go przestrach ogarnął, gdy ujrzał już z dala rozrzuconą ziemię i próżny dołek. Błady upadł u stóp dębu, prawie utraciwszy przytomność. Ktoś musiał więc go podpatrzyć, dobyć i zanieść do grodu te świadectwa zdrady, które były dlań wyrokiem potępienia.

Nie mogąc długo przyjść do siebie siedział ksiądz pisarz na ziemi z oczyma osłupiałymi, sam już nie wiedząc, co poczynać. To, co dla bezpieczeństwa uczynił, zgubiło go albo zgubić mogło co chwila. Na zwitkach stało jego nazwisko, wyprzec się ich było niepodobieństwem.

Prawie do południa przesiedziawszy tu, w ostatku uciekł się ksiądz Petrek do modlitwy i drżący, odmawiając, co za najskuteczniejsze uważał, machinalnie się powłókł na zamek, gdyż ucieczka była niepodobieństwem bez przygotowania.

Gotów już był na nieuchronne męczeństwo. Jednakże wróciwszy do drzwi swej celi znalazł u nich wiadomość, że go do opata wzywano. Poszedł do niego natychmiast.

Ani z twarzy, ni z mowy nie mógł się wcale domyśleć, aby tajemnica jego odkrytą została. Opat Aron żądał spisania jakiegoś nadania nowego, które król czynił dla Sieciechowa.

Gorliwie się wziął do niego ksiądz pisarz i nieco uspokojony wrócił do celi, aby tam wykaligrafować akt, który mu spisać polecono.

Podróż do Magdeburga, od dnia do dnia odkładana, zaniechaną została, ksiądz Petrek został ze swą trwogą na dawnym stanowisku.

Rozdział 5.

Dni kilka upłynęło bez żadnej na królewskim dworze zmiany. Większe tu jednak teraz panowało życie, ruch dawny powrócił z Jaksami i ich powinowatymi, którzy się znowu do króla garnęli. Starzy towarzysze bojowi dopomagali Bolesławowi do znoszenia smutku i ożywiali nieco pustkę, którą po sobie zostawiła zmarła Emmilda.

Ksiądz Petrek, widząc, że się w obejściu z nim nie zmieniło nic, nabrał jakiejś otuchy.

Uchwalono pierwszego wysłać Andruszkę z ojcem Romualdem benedyktyńcem i kilku czeladzi dobranej między wiernymi królowi Niemcami. Pozorem ich wyprawy być miało poselstwo do cesarza. Ojciec Romuald, mający prowadzić tę gromadkę, znał dobrze kraje, które miał przebywać, i o ile się to skutecznie dało, zamierzał jechać od klasztoru do klasztoru, spoczywając u swej braci i u niej zasięgając wiadomości o bezpieczeństwie gościńców. Andruszka powierzona miał

straż i obronę, zwierzchnią władzę nad czeladzią i pilnowanie złota, które wieziono w podarku dla papieża.

Chociaż wszystkie środki bezpieczeństwa obmyślane były jak najbaczniej, a opat Aron bystrym umysłem przewidywał, co i gdzie się stać mogło, nie tajono przed sobą, że tej wyprawie groziło pojmanie, niewola, przeprawa ciężka. Z rezygnacją zakonnika i spokojem podwładnego, spełniającego rozkazy przełożonych, jechał

ojciec Romuald, Andruszka gotował się choćby na śmierć. Ostrożność w grodzie była tak wielka, iż dla niezwrócenia uwagi pojedynczo wyprawiono ludzi należących do pocztu i kazano im się zebrać na oddalonym stanowisku. Aż do granicy niewidzialna straż prowadzić miała jadących i dopiero przebywszy Łużyce opuścić ich za Łabą. Tu grozić mogło niebezpieczeństwo od włóczących się gromad Wendów, dotąd niezupełnie poskromionych. Przejazd jednak do sąsiedniej Marchii bez żadnego wypadku, napełnił księdza Romualda otuchą. Na ostatnim noclegu wszyscy przywdzieli suknie i wzięli oręż taki, jaki był między Niemcami najpowszechniej używany. A że z języka rozpoznać było trudno różne plemiona Słowian, dalej opowiadać się mieli jako Czesi w poselstwie do cesarza wyprawieni.

Księdzu Romualdowi przykrym było, iż został zmuszony do fałszywego o sobie świadectwa, lecz przełożony go rozgrzeszył i rozkazów jego słuchać musiał.

Od granicy do pierwszego opactwa, w którym by bezpiecznie stanąć mogli, dosyć było daleko. Kołowano więc tak, aby jak najmniej z ludźmi się spotykać, a noce spędzać w zaroślach i miejscach pustych.

Nie był ten kraj jeszcze tak zamieszkałym ani tak ludnym, jak się stał później, zawsze jednak uderzała podróżnych odmienna cała postać jego, z dala widne grodki, wieże, osady i kościoły liczne. Starano się omijać najznacześniejsze miasta.

Podróżni już się byli dostali szczęśliwie za Magdeburg i posuwali spieszenie dalej, gdzie się coraz bezpieczniejszymi być sądzili, gdy jednego wieczora znaleźli się nad sporą rzeczulką, jeszcze wiosennymi wody wezbraną. Dla podróżnych był tu przygotowany prom, stojący u drugiego właśnie brzegu. Niedaleko tego przewozu widać było na wzgórzu oblanym wodą znaczny zameczek z wieżą

okrągłą i mnogimi budynkami. Gościniec szedł pod samą górą.

Andruszce zdało się, mimo nadchodzącego mroku, iż na brzegu przeciwnym dojrzał kupkę jezdnych ludzi. Wskazał ją zaraz ojcu Romualdowi, ale ten uspokojony już nie widział w niej nic, co by ich zastraszać mogło. Gdy na zawołanie ruszył prom, aby ich przewieźć, uderzyło i to Jakse, iż jezdni się nań nie zabrali, a więc jakby na czatach tam stać musieli. Benedyktyn zaś utrzymywał, iż właśnie spoczywali może po przewozie.

Dosyć długo dla rozlanych wód czekać musieli na przewoźników, którzy wpatrując się pilnie w gromadkę przybili i milcząc zabrali ich na pokład lichy zbity, a zaledwie mogący pomieścić ludzi i konie.

Andruszka, który na wszystko miał oko, niespokojnym był widząc, jak bacznie się im przypatrywano. Owa kupka ludzi na przeciwnym brzegu wcale nie ustępowała. Na pół rzeki już mogli dojrzeć, że to byli uzbrojeni pachołkowie, którym na przedzie stojący pokaźniejszy wąsal zarosły czarno dowodził. Stał on twarzą zwrócony ku promowi i bacznie się zbliżającym przypatrywał. Nic już nie mówiąc ojcu Romualdowi, Jaksę sposobił się do obrony i ludziom oczyma dał znak, aby się na baczności mieli. Gdy prom już się zbliżał do lądu, pachołkowie stojący u brzegu na skinienie dowodzącego kołem obstąpili miejsce, do którego przybijać miano.

Ojciec Romuald zaręczał, iż to nic innego nie znaczyło nad okup od przewozu i przejazdu, który wszyscy naówczas właściciele zamków na swoich ziemiach, często z największą uciążliwością podróźnych lub i z napaścią na nich rozbójniczą, pobierali. Puszczono księdza naprzód, którego suknia duchowna najlepszą była obroną. W chwili, gdy koń jego na ląd stąpił, dowódca gromadki kazał się jadącym zatrzymać. Dosyć hałaśliwie i butno pytać począł wpatrując się w ludzi, co byli za jedni, skąd i dokąd jechali. Naówczas ojciec Romuald spokojnie odpowiedział mu, iż od czeskiego króla jechali z listami do cesarza, a za prawo przewozu i przejazdu za płacą, co potrzeba.

— Dużo się — zawołał — włóczy takich ludzi po świecie, co się opowiadają od królów, a jeżdżąc, aby kupczyć, ludzi oszukiwać, a drugim chleb odbierać. Mnie wy nie oszukacie. Okazać trzeba listy i pieczęcie. Na burg pojedziecie.

Oparł się benedyktyn okazując suknię swą duchowną.

— Albo to łotry i sukni cudzej nie mogą włożyć! — zawołał krzykliwie dowódca. — Na burg! Tam się rozprawimy.

Tuż ponad głowami ich prawie wznosiła się góra, na której stał zameczek. Z

daleka we wrotach jego widać było wypatrującą skinienia ludzi gromadę; więc choćby Andruszka ze swoimi przebił się przez tych, co mu drogę zastępowali, niepodobieństwem było zbiec od licznej pogoni. Musiano się więc zgodzić na zwrócenie do burgu, a tuż i pachołkowie dokoła ich obstąpili. Ładowne jukami konie zwracały łakome ich oczy, dowódca się uśmiechał i pędził, ludzie szydersko patrzali na schwytyanych. Benedyktyn jednak nie stracił nadziei, że się na burgu rozmówi, okupić i uwolnić potrafi.

W milczeniu jechali ku górze kamienistą drogą. Widać było na niej mnogą kupę ludu zbrojnego, która we wrotach pierwszych oczekiwała. Andruszka, który nawet miecza w obronie dobyć nie mógł, zżymał się jadąc z przecuciem smutnym.

Zwlekli się tak do pierwszej bramy, a dowodzący kazał im jechać wprost na drugi podwórzec. Ten otoczony był dokoła murami i obszerny bardzo. Zameczek wyglądał pusto i miał na sobie znaki niedawnej pogorzeli, po której go połatano.

Zaledwie się tu znaleźli, gdy we drzwiach ukazał się silnej budowy mężczyzna w kaftanie skórzanym, który wprost podszedł do księdza. Ze śmiałego jego obejścia się i postawy poznać w nim było można pana domu.

Nie mówiąc nic, naprzód koniom, ludziom, jukom, księdzu bacznie się przypatrywać począł, obchodząc dokoła. Szczególną uwagę zwracać się zdawał na konie, ludzi jakby na później zostawując.

Ojciec Romuald po razy kilka zaczynał doń mówić na próżno, zdawał się nie słuchać czy nie słyszeć; z największą bacznością rozpatrzywszy się w całym orszaku graf podszedł do benedyktyna z brwią namarszczoną i spojrział mu w oczy. Mnich począł mówić tłumacząc mu, skąd i za czym jechali.

Nie przerywając wysłuchał go, uśmiechając się tylko pan domu. Na twarzy jego malowała się radość coraz wzrastająca. Gdy ojciec Romuald skończył, rozśmiał

się głośno i uderzył go po rękę.

— Co to za mowa! — zakrzyknął, mnichowi, jeżeli istotnie nim jesteście, kłamać się nie godzi. Jam was poznał po koniach! My tu na was już czekamy dawno.

Wiem ja lepiej, skąd jedziecie i dokąd. Posłani jesteście od Bolka polańskiego, aby mu, mimo cesarza, koronę kupić w Rzymie, o was już na wszystkich wiedzłą drogach i czatują. A mnie się szczęśliwie udało łakomą tę zdobycz zagarnąć.

Ksiądz chciał mówić.

— Z koni! — krzyknął graf. — Wiązać ich, loszek mam już przysposobiony!

Spodziewam się, że z próżnymi nie jechaliście rękami, a mnie właśnie tego potrzeba... po spaleniu na odbudowanie,

Andruszka chciał się bronić, czterech go ludzi chwyciło i ściągnęło z konia, miecz wyrwano z ręki. Toż stało się z innymi w mgnieniu oka. Nie uszedł od zniewagi i ksiądz. Ogromna kupa włóczyła się w podwórce i już pochwyconych odzierali jedni, drudzy z koni odwiązywali juki. Graf stojąc, śmiał się uradowany, Listy przeznaczone do Rzymu miał ojciec Romuald wszyte w kapturze, a że mu jako duchownemu suknię zostawiono, te więc ocalały. Choć dowodu nie było nad poznanie koni i w jukach pochowane szaty i uzbrojenie, starczyło to grafowi.

Ciężar worów skórzanych, w których było bryłami po części umieszczone złoto, naprzód na nie

zwrócił oczy; znalezione skarby, powitane radosnym okrzykiem, dowiodły grafowi, iż się nie omylił.

Bądź co bądź, gdyby nawet niewinnych napadł i ograbił, łup tak znaczy wart był, aby się ważyć na wszystko. Na widok złota zawrzało w całym zamku niesłychana radością. Z górnych okien wyglądające niewiasty w białych czepcach i obcisłych sukniach długich zaczęły zbiegać na dół zaciekawione, lecz graf je groźnym słowem precz odpędził i znikły.

Więźniowie, ani słuchając, ani patrząc, kazano wiązać i do lochu prowadzić.

Pędzono ich, popychając i bijąc, a dziedzińce poza nimi rozlegały się szyderskimi krzykami.

Andruszce krwawe niemal łzy gniewu z oczu się sączyły. Gdyby nie zbyt ufny benedyktyn, byłby prom ze środka rzeki zawrócił, rozbił go i przy mroku wieczornym uszedł może. Tak sobie mówił w duchu. Lecz narzekanie było próżnym.

Rozdzielonych na dwie kupki, wpędzono ich szyją do głębokiego podziemia i zaryglowawszy je bezpiecznie, ludzie do łupów wrócili. Ojciec Romuald ukląkł się modlić. Andruszka włosy rwał z głowy.

Graf Zeno, siedzący na burgu, był arcybiskupa magdeburskiego lennikiem; po krótkiej więc naradzie ze swymi przybocznymi, natychmiast ubezpieczywszy zabrane złoto, siadł na koń, aby panu swemu wesolą zawieść nowinę.

Gdy nazajutrz rano dowiedziano się u arcybiskupa o pochwyce polskich posłów, radość była wielka. Zrodził się jednak spór o zabrane złoto, do którego całej ilości graf się nie przyznał, a wszystko za własność swą uważał. Arcybiskup co najmniej połowy zażądał i posłał z groźbą do grafa. Zatarg się z tego wywiązał tak żywy, z obu stron tak uparty, iż końca nie było można przewidzieć.

Zagrożony uwięzieniem graf, którego ostrzeżono zawczasu, nie widząc się z arcybiskupem, natychmiast uszedł do swojego burgu, na którym w ostatnim razie bronić się nawet był gotów.

Arcybiskup i doradcy jego nie bez przyczyny domyślali się, iż znany z hojności Bolesław znaczne bardzo dary wysłać musiał do Rzymu. Dopominano się ich od wasala, jako własności arcybiskupa, który strażę te i czaty kazał postawić.

Radość z wypadku zmieniła się w gniew i niepokój.

Graf Zeno poprzysięgał, że nie da prószyny pochwyconego złota, które mu za przysługę cesarstwu wyświadczoną należało. Gniewny i rozsierdzony powrócił do zamku, kazał na wszelki wypadek postawić strażę i do obrony się gotować.

W radzie arcybiskupiej, posądzając grafa o łup znaczny, postanowiono naprzód dojść, ile to grzywien złota wieźli posłowie. Zadanie było trudne dosyć, lecz wysłańców zręcznych miano zawsze pod ręką. Uradzono wyprawić do księdza Petrka z zapytaniem o objaśnienie, i to nie zwlekając chwili. Suknia duchowna była najlepszym do Polski listem bezpieczeństwa. Braciszek Makary z ustnym poleceniem wyruszył do Poznania. Celem podróży miał być pokłon u grobu męczennika w Gnieźnie.

W kilkanaście dni po wysłaniu Andruszki, gdy opat Aron właśnie się zabierał

innymi drogami drugie poselstwo wyprawić, do celi księdza Petrka o zmroku zapukał brat Makary.

Ciągle ścigany myślą niebezpieczeństwa własnego, przestraszył się, ujrawszy go przed sobą, ksiądz pisarz. Oniemiał prawie w pierwszej chwili. Nierychło rozpoczęły się szepty potajemne. W godzinę potem poseł arcybiskupi,

przeprowadzony przez Harne, na podzamcze szedł nocować, a ksiądz Petrek, namyśliwszy się długo i bacznie, pomodliwszy się, przeżegnawszy, krokiem śmiałym zmierzał do tumu. Gdzie spodziewał się zastać opata. Zdało mu się, iż nastręczyła się zřęczność pozyskania zaufania, jeżeli ono było zachwiane.

Widząc go wchodzącego z twarzą wesołą jak nigdy i niemal triumfującą, opat Aron, który miał u siebie dwu ojców świeżo przybyłych z Francji i przygotowywał

ich do wielkiego posłannictwa, jakie w tym kraju spełniać mieli, zobaczywszy księdza Petrka natychmiast ich pożegnał. Z twarzy jego widział już, że darmo nie przychodzi.

— Wasza Przewielebność — odezwał się pisarz osłaniając się pokorą —

rzuciłeś raz słowo, które mi serce przebiło. Mam tu nieprzyjaciół, co mnie czernią.

Bóg łaskaw, że mi daje zřęczność dowieść, jak szczerze służę panu mojemu. Złą wiadomość przynoszę, ale zła lepsza niż żadna, gdy o takiej wagi rzecz idzie.

Opat zmilczał.

— Mnich wędrowny zza Magdeburga był dziś u mnie — mówił dalej ksiądz Petrek. — Staralem się go wybadać. Utrzymuje on, iż graf Zeno, mnicha i kupkę ludzi pochwycił wysłanych jakoby z Poznania do Rzymu.

Spojrzał na opata Arona, który pobladł i drgnął widocznie.

— Zrodził się, jak on powiada, spór pomiędzy wasalem a panem o znaczny łup przy posłach pochwycony, którego ceny nie chce powiedzieć graf Zeno.

Aron się namyślał, co powiedzieć, i westchnąwszy, spokojnie już rzekł.

— Byłem przeciwnym wyprawieniu wszelkich posłów, znając i wiedząc, jak tam na nich czatować będą, lecz woli króla oprzeć się nie mogłem. Nie moją to było sprawą. Król, pan nasz miłościwy, raz chociażby próbę chciał uczynić. Stało się, co Bóg przeznaczył, niech będzie pochwalone imię Jego.

A po małym przestanku dodał opat.

— Gdzież jest mnich ten?

— Spiesznie powędrował do Gniezna, zatrzymać go nie było podobieństwa.

Nastąpiło milczenie, ksiądz Petrek stał domagając się choć słowa.

Opat mu chłodno podziękował.

Powtórzywszy zapewnienie o swej wierności i gorliwości pisarz zabierał się już niby do odejścia, ale wprzód spróbował jeszcze, azali mu się nie uda dowiedzieć, jak znaczną była zdobycz schwytana. Wtrącił więc ubolewanie nad poniesioną przez króla stratą pytając, jak była wielką.

— Stało się to — odpowiedział opat — bez woli mojej i prawie bez wiedzy.

Król sam wyznaczył, co wieść mieli. Zapewne podarek, przeznaczony dla Ojca Świętego, znacznym być musiał, gdy u stóp jego miał być złożony.

Dwoma westchnieniami zakończyła się rozmowa. Zaledwie drzwi za księdzem Petrkiem się zamknęły, gdy opat zawołał braciszka, który przy nim był zawsze, i po Jurgę go wyprawił. Chwila ta zdała mu się najsposobniejszą do wysłania wnet drugiego poselstwa, którego się ani w Magdeburgu, ni gdziekolwiek bądź

spodziewano.

Przygotowanym był Bolesław i doradca jego do straty i niepowodzenia, a gdyby i trzech posłów mieli po drodze Niemcy obedrzeć, król postanowił słać ich poty, dopóki ktoś szczęśliwy do Rzymu się nie dostanie i korony poświęconej mu nie przywiezie.

Jurga z towarzyszem swym duchownym, czekał tylko na rozkazy. Jak brat tak on gotowym był na to, co go spotkać miało, chociaż do życia wiązała go piękna Teodora i przyrzeczenie jej ojca, że za powrotem do ślubu stanąć mają. Zbudzono go nocą nie dając mu ani się żegnać, ani dać znać o sobie, i w godzin kilka po doniesieniu księdza Petrka już orszak drugi wyruszał furką od tumu na niebezpieczną wyprawę.

Następnego poranku, gdy w jadalni, pełnej jak zawsze gości i panów,

Bolesława oko nie dojrzało młodszego Jaksy, domyślił się łatwo, iż opat musiał go wysłać za bratem. Sieciechówna także, nawykła do pozdrowienia z daleka, zadrzała nie widząc go, lecz pytać nawet nie śmiała. Szepnęła tylko ojcu, że Jurgi nie było.

Ku końcowi uczyty, przy której król siedział posępny pijąc tylko, aby utopić swój smutek, zbliżył się opat do niego.

— Wyprawiliście Jakse? — zapytał Bolesław cicho.

Skinieniem głowy potwierdził Aron.

— Nie ma wieści o pierwszym?

Nie doczekawszy się odpowiedzi król spojrział. Opat oczy miał spuszczone, stał dziwnie zachmurzony. Łatwo było odgadnąć, że mówić nie chciał, bo dobrego nic nie przynosił. Bolesław nie spytał więcej.

Tego dnia gościł na dworze niezwykle przybysz. Był to powinowaty jakiś króla raczej do połączenia z nim przyznający się Niemiec, zrodzony z drugiego Ody Mieczysławowej małżeństwa. Stosunek ten z Bolesławem czasem go zbliżał do niego, niekiedy jednak nie przeszkadzał do zatargów i napaści. Chwilowo zgoda panowała pomiędzy Guncelinem a królem.

Z małym orszakiem przybył graf w gościnę, wysłany na zwiady, choć się tylko do przyjaźni przyznawał i z drużbą przechwalał. Bolesław go przyjmował pańsko, obdarzał po cesarsku, lecz w przyjaźń i szczerłość nie wierzył.

Samo przybycie Guncelina dawało się domyślać, iż Niemcy knuć coś musieli.

Tak było w istocie, lecz tym razem nie szło im o wojnę, której prowadzić nie myśleli doświadczwszy oręża Bolesławowskiego. Dowiedziano się o zgonie Emnildy, wchodziło w rachubę sąsiadów, aby królowi z Niemiec wyswatać małżonkę i wpływ swój zwiększyć na dworze. Na rękę im było, aby dwojokie potomstwo jeszcze się trzecim zwiększyło, by po zgonie ojca więcej się dzieci o spadek waśniło. Szczęśliwe narzucenie Ody pierwszej, danej Mieszkowi, kazało drugą podobną Bolesława obdarzyć. Guncelin nie mówiąc nic jechał tu potajemnym swatem. Oda

markgrafówna gotowa była zająć opróżnione miejsce Emnildy.

Na ten związek czyhali nieprzyjaciele Bolesławowi; był im koniecznym, a łatwym się zdawał. Oda była piękną, zalotną, śmiałą, król bohater starzał, przewidywano, że nad słabnącym miała łatwą uzyskać przewagę. Znając króla nie wątpiono, iż za nową żoną wkrótce tęsknić będzie.

Chociaż się i na polach bitwy spotykali z Guncelinem, pod dachem króla był

to gość, którego przyjmowano z wystawą i ochoczo, starając go się uczcić i rozerwać. Król też zarazem trochę smutku zbywał się, zmuszonym będąc do wesela zachęcać.

Czas schodził wedle obyczaju na ucztach, na łowach, gonitwach w podwórku i przy dzbanach, które ciągle pełne stały. Guncelin, wojak w polu, z miodem też prowadził walkę zwycięską i nie odpychał kubka o żadnej dnia porze. Baczny był, pomimo to, na wszystko, co się koło niego działo, na słowo każde, ruch i zmarszczenie brwi tego, którego poufale bratem nazywał.

Rad mu był król jak wszystkim gościom swym, a szczególnie Niemcom,

przed którymi lubił okazywać i możność swą i siłę. Kazał wyjeżdżać strojnym pocztom swoim, każdy w inną barwę przyodzianym, pancernikom, których żelazne łuski na słońcu błyszcząły, tarczownikom, biegającym zręcznie z oszczepami i toporami, dworowi występować w szatach bogatych, niewiastom odzianym w złoto i drogie tkaniny. Guncelin spoglądał na to okiem zazdrosnym, ale się od podziwu wstrzymać nie mógł.

— Cesarz Otto — rzekł mu raz Bolesław gdy siedzieli sami — cesarz Otto, błogosławionej pamięci,

uznał mnie godnym królewskiej korony, włożył własną, cesarską na skroń moją; dostali z Rzymu korony Węgier dziki, Duńczyk ledwie ochrzczony, bratobójca Bolko czeski, a mnie, com szerokie ziemie zawojował, mnie jej dotąd Ojciec rzymski odmawia. Sprawiedliwie to, Guncelinie?

Niemiec milczał długo, wąsa zakręcił.

— Bracie — rzekł szydersko — Węgrów potęga złamaną została nad Lecha, Duńczyków się nigdy nie lękało cesarstwo ani Czechów, tyś strasznym dla nas.

Rzym nie da ci korony, bo Rzym idzie z cesarzem ręka w rękę.

Bolesław z kolei milczał też i spuścił oczy na ziemię.

— Nie da mi jej Rzym — odezwał się ponuro — to wezmę ją sam, poświęcę mi ją i namaszcza biskupi moi, tegoż Chrystusa słudzy, co najwyższy biskup rzymski.

Ręką jakby w miecz zbrojną powietrze przeszył król i zamilkł.

Guncelin spoglądał na niego.

— Mocen jesteś w domu uczynić, co ci się zda — odparł — ale cię nie uzna cesarstwo!

— Mieczem sobie wyjednam uznanie — śmiejąc się odezwał król.

— A potomkowie twoi? — spytał Guncelin.

Na to wspomnienie chmurą zaszła skroń Bolesławowa, lecz opamiętał się rychło.

— Mieszko dał się wam przecie we znaki, wojakiem jest nie pośledniejszym ode mnie.

— Nie przeczę — zawołał Guncelin — ale Bolesławem on nie będzie.

Pochlebstwem tym nie rozbroił króla, który się wstrząsł i posunął od niego na siedzeniu.

— Wszystko w mocy Bożej — dokończył. — Bogu Chrystusowi służę wiernie i tuszę, zem u Niego na łaskę zasłużył.

Nie odpowiedział na to Niemiec, lecz wkrótce rozmowę na weselszy tor prowadzić zaczął.

— Tobie we wdowieństwie nie żyć, bracie — odezwał się. — Żony ci potrzeba.

— Emnildy drugiej nie znajdę — rzekł król.

— Ani jej szukać nawet — począł żywo Guncelin. — Na dojrzalsze lata innej ci trzeba. Same z siebie smutne to dni, gdy przychodzi siwizna, odmładzać się musisz młodością cudzą. Ja ci swatem chcę być.

Pytającym okiem rzucił na króla, lecz Bolesław z siedzenia wstał i jakby rozmowa niemiłą mu była, począł inną.

— Jak ci się zda, obosieczny miecz lepszy czy nasz?

Pomyślał Guncelin.

— Obojgiem nie gardzę — rzekł — jeden u prawego, drugi u lewego wieszam boku... Zdadzą się oba.

— Cóż o toporze powiesz, który Frankowie noszą? — wtrącił król.

— Chwałę go równie jak okutą żelazem całą dzidę — mówił Guncelin. —

Wszelki mi oręż dobry, ale żaden niewart nic, gdy człek słaby.

I poszła rozmowa na wojenne sprawy, a Niemiec ze swatami umilknąć musiał.

Rzekł w duchu, że źle dobrał porę.

Po wieczerzy siedzieli u dzbanów, nalewano miód stary i wino i pili oba milczący, gdy w końcu napój serca począł zagrzewać. Guncelin okiem rzucił po izbie, w której sami wojacy i dwór męski widać było.

— Bracie — rzekł smutno — u ciebie, niewieściej twarzy nie widać!

— Tęskno ci? Idź do dworca, gdzie siedzą białogłowy, nie bronię.

Rozśmiał się Guncelin.

— Mnie was żal — ciągnął dalej. — Żonę przecie weźmiecie, jużci się niewolnicami nie będziecie obchodzić, aby was księża łajali? Po cóż ściągacie z tym?

Ja wam mówiłem, swatem będę.

Bolesław spojrział nań ciekawie.

— Dziewka pańskiego rodu, młoda, krew z mlekiem, płąsa jak łania, śpiewa jak słowik, śmieje się, że zmarły by do niej wstał, ogień dziewczyna.

— A jam próchno! — odparł król. — Ale któż ona? Mów.

— Znacie ją dobrze! — zaczął, oczu z niego nie zdejmując Guncelin. —

Markrafa córka, co na waszym bawiła dworze. Oda.

Mimowolnie królowi wzrok zajaśniał.

— O! Znam ją — zawołał — bo mnie kusiła okrutnie, płocha i zalotna niewiasta, kusiła i innych, a zdała się ludzi wołać do siebie. Dobrzeście rzekli, czarownica jest ale dla mnie straszna, spokoju bym z nią nie miał godziny.

Rozśmiał się Guncelin.

— E! — krzyknął wesoło — kipiątek prędko stygnie. Niechby tylko czepiec włożyła, zaraz by jej głowa oziębła, a byłaby tak dobrą żoną, jeśli nie lepszą jak druga, co oczy opuszcza, a o złem myśli.

Zadumał się Bolko, a wkrótce szepnął.

— Pletli o niej dużo, wianek pono postradała.

Guncelin ręką dziwnie pokręcił i cynicznego coś szepnął do ucha bratu.

Bolesław się rozśmiał i jakby zapominając się, począł wnet.

— Dziewka hoża, na królowę wyrosła, w koronie by jej pięknie było i na białych ramionach płaszcz purpurowy zawiesić nie żal. Gdy się uśmiechnie —

prawdę rzekłes — jakby napój lała z ust, co upaja, gdy spojrzy, zimno się robi, ale boję się, by w niej siły nieczystej nie było.

— Toć ją u ołtarza księza wygnają — rzekł Guncelin — i dzika łania rzuca się swobodnie po lesie, póki wolną jest, gdy ją złapią i obłaskawią, za ręką idzie.

Król znowu rozmowę odwrócił, nie nalegał Guncelin, prawil o innych

dziejach, które się po Niemczech działy, a Bolesław słuchał go bacznie. Przyszło do pogańskich krajów nie nawróconych i nie podbitych, do których sobie prawa rościli Niemcy, namarszczył się Bolesław.

— Ci moi być muszą — rzekł. — Nie będę pytał, czy mi ich da Rzym, podbiję ich i nawrócę. Mowę mają naszą, z ciałem moim się zrośli, nie dam ich!

— Idą przecie z nami na was! — odezwał się Guncelin.

— Pójdą ze mną przeciw wam! — rzekł Bolesław. — Adalbertów mi tylko trzeba, co by krwią tę ziemię ochrzčili dla mnie.

Niemcowi rozmowa była niemiłą, począł pić i do kubka nucić piosenkę. I tak dosiedzieli do nocy patrząc sobie w oczy, a do ładu przyjść nie mogąc. Co król zagaił, Guncelin odpierał, co ów począł, tego nie chciał Bolesław.

Gościna się przeciągała. Na dworze pańskim zawsze ona długą była, teraz w smutku swym i niepokoju choć takiemu gościowi rad był król. Guncelin się wybierał

i przysiadł, o podróży mówił, a nie wyjeżdżał.

Co dzień na ustach miał Odę a rzadko mu się powiodło dłużej nią zająć króla.

Uważał jednak, że wstręt do tej rozmowy coraz mniejszy okazywał, a raz już nawet sam o nią zagadnął mówiąc, że w płasach piękniejszej dziewczki nie widział nigdy.

Potwierdził mu to Guncelin chętnie, lecz wnet o czym innym zagadano.

W ostatku dzień już do odjazdu był przeznaczony. Nikt ze dworu nie jechał

bez podarków i Guncelinowi więc król wspaniale wydzielił, futrami, sztukami sukna i złotogłowu i naczyniem go obdarzwszy drogim, przeciw zwyczajowi tylko ani oręża, ani zbroi nie dał żadnej.

— Żelaza ci nie dam — rzekł klepiąc go po ramieniu — wolę złoto, bo pewny nie jestem, czy byś miecza znowu kiedy przeciw mnie nie użył. Głupi, kto sam na siebie broń daje.

Spod brwi spojrział Guncelin na niego dziękując.

— Bracie mój — odezwał się — ja cesarstwu służę i wiernym być muszę, anim winien, gdy na ciebie oręż podniosę.

— Ani ja winien będę, gdy z cesarstwem wojując głowę ci utnę! — odparł

Bolesław. — a dziś rozstańmy się w pokoju. Niech mnie Henryk nie wyzywa, ja go też napadać nie myślę, a gdy bronić się trzeba będzie...

Na wyjezdnym spytał jeszcze Guncelin żartobliwie czy swatem mu być ma do Ody?

— Czas no mi dajcie — mruknął Bolesław — a nuż tęsknica doje? Nie wiem.

— Ja i bez waszej woli — odparł Niemiec — zawiążę targ o nią, bo lepiej niż wy wiem, co wam potrzeba.

Na tym się skończyło i Guncelin wybrał się w drogę. Król tegoż wieczora przywołał do siebie opata.

— Kusił mnie ten człowiek — rzekł mu — abym żony szukał.

Aron zwlókł z odpowiedzią.

— Miłościwy panie — odezwał się — komu Bóg dał raz taką niewiastę, jaką była święta zmarła pani nasza, nie łącno mu inną dobrać po niej.

— W grzechu żyć nie chcę — odezwał się król — a w powściągliwości nie umiem.

Na próżno długo czekał Bolesław słowa. Aron w okno się swoim obyczajem zapatrzył i nie mówił już nic. Nie śmiał król nalegać. Każdego dnia niemal coś musiał wspomnieć o koronie. Kazał sobie

liczyć dni podróży do Rzymu i opowiadać drogi, domyślał się, jak posły będą przyjęte i kiedy przywieźć mogą odpowiedź.

Naówczas opat cierpliwość wmawiał, malował trudności podróży i

niebezpieczeństwa, osładzał przypuszczeniami, że oba posłani, mimo ostrożności, w ręce czujnego nieprzyjaciela dostać się mogą. Jednego dnia przerwana rozmowa nazajutrz znowu się rozpoczynała niemal taż sama, a opat z wytrwałością zawsze ją w tenże sposób rozwiązywał.

W istocie nie tylko przez Niemcy całe sięgała władza cesarska, obejmowała Włochy, podlegały jej wszystkie kraje sąsiednie. Doradca pański niemal był pewien, że i drugi poseł wpaść może w ręce nieprzyjaciół lub tylko złota chciwych rabusiów, którymi wszystkie gościńce były pozastawiane. O losie Andruszki nie spieszo uwiadomić Bolesława, nie upominali się benedyktyni o uwięzionego ojca Romualda, ale po kilku dniach z wielkim podziwieniem swym, gdy raz wieczorem wracał do celi swej przy tumie, opat ujrzał kupkę ludzi zebraną około dwóch pieszo przybyłych pielgrzymów, których ani z sukni, ani z postawy zrazu poznać nie mógł.

Zbliżywszy się dopiero zdziwiony wielce Aron ujrzał swojego benedyktyna w odartej sukni, a obok niego nędznie odzianego Andruszkę. Właśnie przygody swe opowiadać zaczęli byli zgromadzonym, gdy Aron nadszedł przyspieszając kroku.

Ojciec Romuald rzucił się do jego ręki, przystąpił do niej i wymizerowany Andruszka, na którego twarzy więzienie daleko dobitniej malowało się niż na licu benedyktyna.

— Bóg miłosierny! — zawołał opat. — Uwolniono więc was?

Mnich się odwrócił ku Andruszce i na niego wskazał jako na zbawcę.

— Jemu winienem, zem wolny — rzekł.

I opowiadać zaczął, jako do lochu rzuceni zostali zrazu, jak potem przez litość córki więziennego stróża, która młodości Jaksy się użaliła zawdzięczała przeniesienie do izby ponad ziemią. Z tej Andruszka, siłą i zręcznością kratę żelazną wyłamawszy, nocą się spuścił w podwórze, wyjścia na wał wyszukał skrytego i mnicha za sobą wyciągnąwszy, przez bagnisty przekop, otaczający zamek, na plecach go przeniósł i ocalił. Nim zaświtało i ucieczkę odkryto, zbiegi już byli w lesie i łowieckim instynktem się w nim kierując potrafili o głodzie i chłodzie dobić się do Łaby, gdzie pomoc już jakąkolwiek za obietnicę nagrody znaleźli.

Uradował się opat ściskając brata, o którego losie zwątpił, dano odpoczywać obu. Lecz nazajutrz Andruszka, któremu wstyd było, iż tak nędznie wpadli w ręce zasadzce, a straty wielkiej byli przyczyną, do nóg przyszedł paść opatowi, aby go raz jeszcze wysłano. Tego jednak bez wiedzy króla uczynić nie było można. Ojciec Romuald także oświadczył się z gotowością, całą winę pierwszego nieszczęścia biorąc na siebie.

Rozdział 6.

Jednego dnia polujący z sokołem Bezprym, gdy czekał stojąc na koniu, aby pies sokolniczy ptastwo wytropił, a noszony dobrze ptak, na rękę mu siedząc, niecierpliwie trzepotał skrzydłami, zamiast innej zwierzyny ujrzał obok siebie z kijem w rękę stojącego księżynę, którego na dworze widywał, acz z dala.

Duchowny go pozdrawiał uprzejmie życząc łowów pomyślnych, lecz że

naówczas już spotkanie księdza równie jak baby z wiadrami próżnymi za złą uważano przepowiednię, skrzywił się Bezprym gotów będąc na gród powracać, pewien, iż i tak łowy nic nie przyniosą.

Ksiądz uparcie przy nim stał; czy ciekaw był tych łowów, czy go tam co innego trzymało. Uśmiechał się ku Bezprymowi zwracając oczy.

— Rozrywka to pańska— odezwał się głosem schrypłym i bojaźliwym — ale synowi królewskiemu wojna by i władza lepiej przystała.

Bezprym, choć się poddawał woli ojca, o sobie mówił nie kryjąc bólu.

— Albo to wy nie wiecie — odezwał się — jakim ja jestem synem

królewskim? Mieszkowi mnie za sługę przeznaczono. To wolę z ptakiem jechać niż za panem bratem nosić mieczyk lub tarczę.

Pokręcił głową ksiądz.

— Wszystko się to — rzekł — zmienić może!

— A jak? — wtrącił Bezprym, który psa już z oka tracił.

— Byle wola i odwaga— szepnął ksiądz cicho. — Prawa przecie nie

straciliście, pierworodnym jesteście. Dziś czy jutro możecie się o nie upomnieć.

Był to może pierwszy człowiek na dworze, który w ten sposób mówił do Bezpryma. Duchownego suknia wyrazom dodawała znaczenia. Królewicz słudze ptaka na rękę przesadził i sam zsiadł z konia.

— Mnie zawsze patrząc na was z daleka— odezwał się duchowny— żal było miłości waszej.

— Bóg zapłać — rzekł Bezprym.

— Nie rozpaczalem ja nigdy o przyszłych waszych losach — dodał. — Jeżeli chcecie pomówić ze mną, może wam posłużę dobrą radą, ale... wszak mnie nie zdradzicie?

Bezprymowi wzrok się zaognił.

— Mnie zdradzono — odparł — ja nikogo...

Odeszli nieco na stronę; stała olcha stara nad błotem, Bezprym rzucił się na zieloną murawę miejsce przy sobie wskazując księdzu, który przysiadł się skromnie.

— Tak — powtórzył, prawiście się nie wyrzekali, możecie się upomnieć o nie.

Bezprym dwie szerokie nagie dłonie otworzył.

— Z czym, gołymi rękami dwoma? — zawołał śmiejąc się. — Choćbym w nie wziął miecz, co jedno żelazo poradzi?

— Alboż sprzymierzeńców i opiekunów znaleźć nie możecie? — podszeptał ksiądz.

— W kim? Gdzie? — spytał Bezprym.

Nastąpiło milczenie. Ksiądz Petrek, gdyż on to był, ujął rękę Bezpryma i ucałował ją, choć się wrywała.

— Miłościwy panie; litość mnie do was prowadzi. Posłuchajcie mnie— mówił

— o sprzymierzeńca wam łatwo będzie.

Królewicz z natężoną uwagą słuchał, widać było, że serce żywiej w piersiach mu uderzyło i twarz blada oblewała się rumieńcem.

— Mówcie, gdyście poczęli! — zawołał. — Tu nas nie posłyszysz nikt.

— Król Bolesław — ciągnął dalej ksiądz Petrek— myśli się oderwać od cesarstwa i być sam panem. Mogłoby to lat parę trwać, ale na wieki trwać nie może.

Synowi Mieszkowi zostawi przykazanie, aby tak czynił jak on. To go zgubi. Wy się powinniście udać pod opiekę i łaskę potężnego pana, co całym światem włada, poprzysiąc mu przymierze wieczne jak inni królowie, a otrzymacie tę koronę, o którą Mieszko na próżno się będzie kusił.

Skończył, a Bezprym ważyć się zdawał jego słowa.

— Cesarz, co nas ma w nienawiści — odezwał się — zechceż losem moim się zająć? Wziąć mnie w opiekę? A wzięwszy, czy nie wygna mnie, aby sobie kraj przywłaszczyć?

— Dlaczegożby to miał czynić? — począł ksiądz Petrek — dlaczego? Dostyc mu hołdu! Sam rządzić nie chce, ale władzę swą z Rzymu daną ma nad światem, musi rozciągać ją na wszystkie kraje.

I pomilczawszy trochę, dodał ciszej coraz.

— Jam mały człeczek, ale maleńka mrówka sypie kopce wielkie. Cóż byście rzekli, gdybym ja zapewnił wam opiekę cesarską, w zamian za przysięgę z waszej strony?

Bezprym zerwał się jak oszalały z ziemi, a że ksiądz wstał za nim, uchwycił go i w ramiona zaczął całować.

— Jak to! — zawołał. — Ja bym tego nienawistnego Mieszka mógł precz wygnać? Żonę mu wydrzeć, panować? Koronę wdziać? Pomścić się? ... ja? ja?

— Możecie uczynić z pomocą cesarza wszystko, bez niej nic— rzekł zimno ksiądz Petrek. Oni są nieprzyjaciółmi jego. Wy bądźcie mu wiernym, a wy panowanie otrzymacie.

— I wy zdołacie mi to zapewnić? — zapytał chwytając go Bezprym.

— Ja? Jam człowieczek mały — powtórzył Petrek — lecz litość zawsze

czułem wielką nad wami. Pragnąłem się zbliżyć, szukałem miłości waszej i uczynię, co przyrzekam, jeżeli poprzysiężecie wierność cesarstwu.

— A cesarz mi da koronę... i wypędzi Mieszka...i pomści krzywdę moją!

Głowy skinieniem potwierdził to ksiądz Petrek. Bezprym chodzić począł pod olchą, na miejscu ustać nie mogąc. Chwila rozmowy uczyniła go innym

człowiekiem, wstąpiło weń życie, krew krążyła gorętsza, w oczach ogień pałał.

Ksiądz Petrek schwycił go, gdy tak krążył zamyślony.

— Gdybyście wydali tajemnicę — szepnął przestraszony zmianą, którą

widział w Bezprymie — życie mnie to kosztować może.

— A mnie królestwo — zawołał Bezprym — i zemstę! Zemstę! O! Nie bój się, nikt się nie dowie, nie pozna po mnie nikt, z jakim skarbem chodzić będę. Idź, jedź, posyłaj, daj znać cesarzowi, że ja mu się poddaję, że jego będę...

wiernym...korony tylko chcę i zemsty...zemsty...Mieszko zginie.

Ledwie, zalecając mu spokój, potrafił uśmierzyć ksiądz Petrek.

— Uczynię, co przyrzekłem — odezwał się. — We dworze ściany słyszą, ludzie zdradzają, zejdziemy się tu, lub na podzamczu, gdy będzie potrzeba. Teraz siadajcie na koń, łowy kończcie, ja iść muszę. Wasza Miłość nie znacie mnie, ni ja was.

I skłoniwszy się ksiądz pisarz szybko puścił się zaroślami ku Cybinie.

Bezprym stał jeszcze jak upojony, rozśmiał się do siebie sam, skoczył do konia, odebrał sokoła i popędził dalej.

Tak sobie cesarstwo umiało za życia wielkiego króla gotować już przyszłość.

Bezprym miał przyobiecana koronę, Ryksę ujmowano z ręcznie i powoli, stręczono Odę, która z sobą Niemców przyprowadzić miała. Podkopywano to państwo cudem wyrosłe i rozwielenione, ze wszech stron gotując mu upadek.

Nie był na to ślepym Bolesław, trapiły go przecucia i mimo miłości wielkiej dla syna Mieszka, mimo dzielności jego, wąpił w godzinach rozwagi, by wielkie dzieło utrzymać się mogło. Naówczas bolała dusza jego i szedł pociechy szukać u grobu Wojciecha w Gnieźnie, jemu polecając to królestwo i ufając już tylko w opiekę niebios, gdy siły ziemskie przeciw niemu staną.

Pobożny ksiądz Petrek w złym i dobrym razie zwykł był się modlić, teraz uczyniwszy krok tak stanowczy i śmiały wprost się udał do kościoła, a z natury swej będąc do obłudy skłonnym, im bardziej się cieszył z postępu swego, tym umyślnie smutniejszą przybrał i wielce zbiedzoną postać. Patrząc z dala rychlej by odgadł

jego twarzy, że mu się jakieś przytrafić musiało nieszczęście.

Potrzeba było obmyślić środki oznajmienia o tym przez arcybiskupa

cesarzowi. Pisać nie śmiał, jechać nie mógł, posłać nie miał kogo. Nim z kościoła doszedł do izby swojej, wpadł na myśl, iż opata by należało skłonić znowu do wysłania go raz jeszcze w sprawie korony do Magdeburga, wedle pierwszej myśli.

Obawy, jakie miał po odkopaniu zwitków, zupełnie były ustały, pewien był, że zwierz jakiś czując świeżo poruszoną ziemię mógł ją odrzucić i poszarpać zrzynki skóry, skłonny był nawet przypuścić cud za wstawieniem się świętych uczyniony dla ocalenia go i zniknięcia tych świadectw zdrady, nadziemskimi siły zniszczonych. Nie mógł tylko odgadnąć, że się dostały w ręce opata, który obchodził się z nim tak, jak był zwykł, nie okazując mu ani nieufności, ni gniewu. Przy pierwszej więc z ręczności postanowił rzucić słowo. Ta się wkrótce trafiła. Oprócz spisywania aktów, których naówczas niewiele potrzebowano, ksiądz Petrek, który był

znakomitym kaligrafem, dla opata Arona przepisywał Rabana Maura komentarz o Jeremiaszu. Szła praca bardzo powoli, a opat często się o to wielce pożądane dowiadywał dzieło. Brakło mu nie tylko kopii, ale tęsknił za oryginałem, z którego była robiona.

Jednego dnia przyszedł się dowiedzieć, o ile postąpiła robota. Ksiądz Petrek skarżył się na oczy. Nie miał, jak mówił, nikogo, co by mu trzciny zacinał, farby dostarczał, sam musiał gładzić pargamin, sam ciągnąć rubryki, dlatego tak szło opieszale. Mówił o tym szeroko i bardzo przekonywająco. Wtrącił na swe uniewinnienie, że i droga do Magdeburga dosyć czasu zabrała, choć mimo gorliwości największej żadnego owocu nie przyniosła.

— I nie dziw — dodał — tam nie raz jeden, ale nieustannie kołatać potrzeba i darami nie jednego Gerona, ale wszystkich ujmować. Miłościwy Pan nasz hojnym jest wielce, tam tylko zaniedbuje dary słać gdzie one najpotrzebniejsze...

Mowy tej słucał opat pilnie, nie uszło to jego uwagi, iż ksiądz Petrek musiał

mieć potrzebę jechania inną i dlatego znowu do podróży nakłaniał. Dowiedzieć się o tym, co było pobudką, nie mógł opat inaczej, jak wysyłając go i stamtąd zasięgając wieści. Myślał więc, czy nie należało w istocie wyprawić pisarza, aby dojść tajemnicy; lecz na razie nie dał żadnej stanowczej odpowiedzi.

— Mój ojciec — rzekł — być to może, iż tam kołatać potrzeba, ale ja ani tam, ani w Rzymie się nie spodziewam dobrego dla nas nic. Król koronowanym był przez Ottona III bez namaszczenia. Chcieli go i zażąda, azali arcybiskup nasz gnieźnieński dać mu go nie może?

Po raz pierwszy usłyszawszy tę myśl tak zuchwałą, ksiądz Petrek nie mógł się powstrzymać i wykrzyknął.

— *Anathema* ściągnęlibyśmy na głowę pańską! Zamiast błogosławieństwa, Rzym cisnąłby klątwę. W prawa jego wdzierać się...

Opat Aron z lekka ramionami poruszył.

— Ja też — dodał, nie jestem za tym, chociaż arcybiskup mógłby myśl tę popierać. Słowo to jest dziś, a nie czyn jeszcze.

Ksiądz Petrek widocznie się uspokoić nie mógł, usta jego powtarzały ciągle:

— *Anathema!*

Wyszedł opat Aron nie ciągnąc dłużej rozmowy. Pisarz zamiast tego, o co się kusił, przestraszu tylko i niepokoju zażył, z którego długo ochłonać nie mógł.

Doniesienie o tym wszystkim do Magdeburga stawało się niemal koniecznością.

Opat nie bez myśli groźbę tę rzucił w uszy niewiernemu słudze, wiedział

dobrze, iż o niej doniesie, a trzeba mu było może na straszyć, aby z dwojga wybierając złego cesarz lub Rzym nie odmawiał korony. Złą czy dobrą była rachuba, zdało się i królowi, jego doradcy, iż środka tego użyć mogli.

Gdy ksiądz Petrek dręczył się szukając sposobu porozumienia z arcybiskupem, swatanie Ody szło nieprzerwanie rozmaitymi drogami. Stara ochmistrzyni Niemka, którą Ryksa sprowadziła, zjednaną była przez markgrafa, a że często z wnuczęciem chodziła do króla, który rad z nią żartował, ona też na swój sposób stręczyła piękną Odę.

Stara ta Adelhejda nie lękała się żartów pańskich, często mogących rumieniec wywołać, którego już na żółkłej twarzy nie miała. Bolesław, wnuka pieścąc, dawał jej prawie sobie, co chciała. Obyczaj naówczas i na królewskich dworach więcej do panów i poufalej zbliżał prostych ludzi niż późniejszymi czasy. Tak jak na Wschodzie, człowiek podlegał ślepo temu, co miał władzę, lecz czuł się mu równym i nie tracił wobec niego odwagi. Adelhejda chwaliła królowi piękną markgrafównę, rozpowiadając o jej wdziękach, które oku męskiemu dostępne nie były, dodawała przy tym.

— Biedna dziewczyna dla miłości Waszej miała wielką cześć i rozlubowała się w niej. Co za dziw! Któż niewiasta takiego pana by nie kochała!

— Stary dla niej jestem — odparł król.

— Stary? Tego oczy ludzkie nie widzą — mówiła Adelhejda — niewiasty najlepiej sądzą mężczyzn. Przecie Oda odjechała płacząc a mówiąc, że chyba umrze z tęsknoty za królem naszym.

— Mówiła to?

— Sto razy! — potwierdziła Adelhejda. — Słyszeli wszyscy, nie tała się z tym wcale. A co się tam też wylało i leje. Miłościwy pan już by litość nad nią mieć powinien.

Mówiła tak długo i więcej niż swaty Guncelina, niż namowy innych

pochlebców ostrożne, wzruszyło króla to, że Oda piękna i młoda serce doń miała.

Począł myśleć, zagadnął opata, ten zmilczał znowu. Nie w smak mu były królewskie swaty, wybór mniej jeszcze; lecz Bolesław wolę miał we wszystkim upartą, a walczyć z nim mógł on sam tylko. Każda inna walka próżną z nim była.

Opat Aron modlił się o odwrócenie tej plagi, która domowi królewskiemu groziła.

Oko jego widziało już sieci, które snuto dokoła, do rozerwania trudne, przybywało nowe ich pasmo z Odą, która niemiecki wpływ miała powiększyć. Bolesław nie chciał widzieć tego, a raczej gardził niewiasty znaczeniem; namiętność go zaślepiła.

Sam powtórnie zagadnął Adelhejdę o markgrafównę, łajac ją, że go

kłamstwem karmiła, ale kobieta zaklęła się na wszystkie świętości, iż mówiła prawdę i że Oda z wielką była dla króla miłością.

Gdy w kilka dni potem opat się znalazł u króla znowu, oświadczył mu wprost Bolesław, że postanowił pojąć żonę i wybrał markgrafównę Odę.

— Miłościwy panie — odparł spokojnie duchowny — woli waszej nikt nie śmie się sprzeciwić, lecz wierni słudzy twoi boleć będą nad nią.

— Boleć? Dlaczego? — zawołał król porywając się z siedzenia.

— Nie mówię o młodości markgrafówny — kończył Aron — ale o jej

zalotności, lecz z nią razem przybywają Niemcy i stosunki z tymi, którzy miłości waszej dobrze życzyć i szczerymi druhami być nigdy nie mogą.

Bolesław pogardliwie się uśmiechnął.

— Niewieści wpływ strachu mi nie czyni — rzekł — pójdzie ona za mężem i zapomni swoich. Stanie się królową pokocha kraj, który ją przysposobi.

Opat skłonił głowę. Król mówił wiele nie wywołując już odpowiedzi; chciał przekonać i na swą stronę przeciągnąć opata, ale czuł, że tego dokazać nie potrafi.

Nazajutrz powołał Bolesław syna Mieszka, który już ze słuchu wiedział o zamiarze ojca.

Rykxa zżymała się na samą myśl macochy Ody, z którą nigdy nie były w zgodzie. Mieszko też obawiał się niewiasty dumnej, chciwej władzy, mogącej owładnąć królem. Gdy stanął przed ojcem odgadując już, po co został wezwany, znać było z twarzy, iż się gotował na niemiłą nowinę.

— Tęskno mi samemu — odezwał się Bolesław — postanowiłem swaty

posłać do markgraфа i Odę zaślubić. — Nie masz się czego obawiać, bym cię dla młodszych dzieci, jeżeli je Bóg da, z praw twoich wyzuł. Dostaną działą, ciebiem przeznaczyl do panowania.

Spojrzał na syna, który stał z głową spuszczoną, milczący. Wybierzesz orszak świetny i niezwłocznie wyruszysz w drogę z podarkami. Mieszko milczał.

— Miłościwy królu — odezwał się widząc brew jego zmarszczoną — do nóg waszych upadnę prosząc, byś mnie uwolnił od tego. Jechać nie mogę.

Zwrócił się popędliwie Bolesław ku niemu z twarzą zaognioną.

— Kiedy ja rozkazuję?

— Błagam cię.

— Śmiesz mi się opierać?

— Nie mogę jechać — odezwał się Mieszko — czyń, co chcesz ze mną, nie pojedę...

— Mów, dlaczego?

— Łacno to pojąć: macochy nie chcę, abym na Bezpryma nie wyszedł.

Strasne milczenie poprzedziło wybuch straszliwszy jeszcze. W pierwszej chwili Bolesław rzucić się był niemal gotów na syna, ale się powstrzymał.

— Idź — rzekł — uchodź ode mnie! — jestem w gniewie. Krwi własnej mogę nie oszczędzić. Z oczów mi idź!

Nie mówiąc słowa Mieszko wyszedł, Bolesław, pozostawszy sam, czasu potrzebował, by ochłonać.

Od dnia, gdy Bezpryma do łaski przypuścił i co dzień mu się nakazał

pokazywać na dworze, dając mu poczet świetniejszy, mało z nim jednak obcował

Bolesław. Widywał go z dala, zawsze z twarzą ponurą i wejrzeniem kosym, stroniącego od siebie. W gniewie na Mieszka, Bezpryma przypomniał. Zawołał na komorników i kazał mu natychmiast się stawić przed sobą.

Było to tak nadzwyczajnym, iż całe otoczenie króla przerażone zostało ujrzawszy, jak błady odszedł Mieszko i natychmiast po ustąpieniu jego kazano wołać zapomnianego.

Choć znacznieszą część dnia Bezprym spędzał na łowach i włóczędze po okolicach, tego wieczora znajdował się w domu, gdy Gheza z twarzą rozjaśnioną nadbiegł dać mu znać, żeby natychmiast do króla spieszył, który nań czekał.

Komornik z tym przybyły, który pode drzwiami królewskimi podłuchał z Mieszkiem rozmowy, szepnął staremu Węgrowi, iż Mieszko naraził się ojcu i dlatego Bezpryma wzywano. Wiadomość tę na ucho udzielił mu wierny sługa i królewicz, odziawszy się, prędko pobiegł z postanowieniem mocnym korzystania z wypadku.

Gdy podjąwszy zasłonę we drzwiach stanął przed Bolesławem, znalazł go z gniewem i niecierpliwością na twarzy wyrytą. Zmierzył go okiem król.

— Słuchaj — rzekł wprost i nie tłumacząc mu się wcale. — Wyzaczyłem cię, abys jechał w poselstwo i przywiózł mi markgrafównę Odę. Biorę ją za żonę. Dam rozkazy, aby ci poczet i podarki ze skarbcza wydzielono. Jedź jak syn królewski i ojcowskiego mienia nie żałuj. Nie wracaj bez dziewczki, chcę ją mieć, rozumiesz?

Bezprymowi twarz się rozjaśniła.

— Co rozkazujesz — spełnię — odezwał się. Kiedy mam ruszyć w drogę?

— Jutro — rzekł król. — Jedź spiesźnie, wracaj prędko. Zapomnij, żeś był u mnie w niełasce, zyskasz tym serce moje.

Miłościwy królu i ojczy — rzekł Bezprym żywo i wesoło — zrobię, jako potrafię najlepiej. Przywiozę markgrafównę.

— Wybieraj się w drogę! — przerwał Bolesław — w drogę!

Wskazał mu drzwi i Bezprym uradowany wyszedł.

Od pierwszej rozmowy z księdzem Petrkiem widywali się i naradzali często; zrozumiał Bezprym, że poselstwo to dawało mu najlepszą zręczność zetknięcia się z Niemcami i zawarcia umowy. Pisarz bolał ciągle, że pewnego nie mógł znaleźć człowieka, co by przewiózł listy jego. Bezprym sam teraz mógł je wziąć z sobą.

Skoczył więc do Ghezy, by mu wydać rozkazy, a sam, niepostrzeżony, poszedł

szukać swojego współnika. Nierychło jednak wynaleźć mu się go udało wśród dworzan, między którymi chodził na połów jakichś wiadomości wedle codziennego swojego zwyczaju.

— Ojciec mój — chwytając go odezwał się Bezprym, — Spotkało mnie raz w życiu szczęście. Zdaje się, że Mieszko odmówił ojcu jechać po markgrafównę Odę.

Ja jestem w poselstwie wyznaczony. Jutro jadę.

Ręce z radości załamał Petrek, aż mu kości w stawach chrząstnęły.

— Możeż to być?

— Tak jest.

Wnet oddalili się od ludzi.

— Pisz listy — rzekł Bezprym — ja je powiozę i odprawię.

— Lepszym nad listy wszystkie ty sam jesteś, miły panie — wołał ksiądz pisarz. — Nie mów im wszystkiego, ale daj do zrozumienia wiele, zaskarb sobie przyjaciół, zjednaj ludzi. Moje listy ukryj pilno, o wasz los chodzi, dziś jeszcze mieć je będziecie.

Ledwie tych słów domówił, gdy stary Sieciech i podskarbi króla, Domorad Zeleziec, przyszli szukając Bezpryma. Niespodziana łaska króla dla niego zdumiewała wszystkich, lecz posłuszni byli. Z nimi miał poseł królewski umówić się o wybór dworzan, konie i przygotowania niezwłoczne do drogi.

Zbliżyli się doń z ciekawością ludzi, co po raz pierwszy stykają się z odepchniętym, oniemiałym i pogardzonym, którego łaska pana nagle podniosła.

Ponury i stroniący dotąd od wszystkich Bezprym nagle stał się nowym człowiekiem.

Czuł się silnym i duma, długo tłumiona, od razu objawiła się w wydanych śmiało rozkazach. Spojrzeli po sobie. Nie ustępował Mieszkowi i stanął przed nimi jak prawy syn królewski, który krew czuje w sobie. Tak łącznie mu przychodziło wydawać rozkazy, jak gdyby nigdy nie przestał rozkazywać. Posępna twarz niemal była groźną, rysy przybrały podobieństwo do Bolesława, z jakąś barwą dzikości, której król nie miał nigdy. Gniewliwy był i zapamiętały, lecz coś szlachetnego i rycerskiego czuć w nim było nawet w chwilach roznamiętnienia; Bezprym miał w oku chciwość panowania i krwi razem, żądze zemsty i okrucieństwo. Szczęście czyniło go straszny.

Stary Sieciech w duszy uląkł się go ujrawszy po raz pierwszy rozpowitym z niewoli i przymusowego upokorzenia.

We dworze całym wiadomości o postanowieniu króla najrozmaitsze obudzała uczucia, niepomiernie cieszyli się jedni, rozpaczali niemal drudzy. Ryksa, żona Mieszkowa, chodziła blada i milcząca.

Przyszłość przewidywała groźną, lecz miała siłę spojrzeć jej w oczy. Mieszko był przygnębiony, gniewny, a nie wiedział, co czynić więcej. Ufał, że ojca przebłaga, i lękał się o siebie.

Niemiecki dwór i słudzy radowali się wielce. Adelhejda przyznawała sobie część zasługi i obiecywała wiele od młodej królowej. Ksiądz Petrek pisał zamknięty i cieszył się powodzeniem podziemnej roboty swojej. Zdało mu się teraz, że sprawa Bezpryma już na pół jest wygraną. Opat chodził zasmucony. Starzy słudzy króla i rycerstwo niewesołe mieli twarze. Młodzież cieszyła się młodej królowej, która wesele wnieść na dwór miała. Znali ją tu śmielsi z wejrzeń i szeptów, którym była rada do zbytku, a nie jeden wiele sobie po łaskach jej obiecywał.

Wieczora tego nigdzie nie było spoczynku. Szeptano, chodzono, rozmawiano, wybierali się jedni do drogi, drudzy im pomagali.

Na podwórku Bezpryma zwykle spokojnym, gdzie tylko psy i sokoły

gospodarowały, a odartych garstka służalców, teraz ruch był i wrzawa jak nigdy, kręcili się komornicy i urzędnicy królewscy, znoszono juki i wory, szaty i oręż. Cała wiosenna noc upłynęła bez snu na przygotowaniach. Bezprym kazał się stawić ludziom, co towarzyszyć mieli, sam ich opatrzył, aby wstydu nie miał, zbrakował

kilku, rozporządził pochodem i okazał, że rozkazywać potrafi. Gheza chodził, a raczej biegał jak upojony, dumny, uszczęśliwiony, a ile razy wrócił do królewicza, ścisnął go za nogi szepcząc mu do ucha.

— Ty, sokole mój złoty, panować będziesz, nie on, nie ten...ty, tobie przeznaczono królować, a mnie tego doczekać... i umrzeć.

Nie tyle gniew króla, co wybór Bezpryma zasmucał Ryksę i królewicza. Był to już drugi znak łaski dla niego obudzający obawę. Żałował nieledwie Mieszko, iż przemóc się nie zdołał, lecz teraz już było za późno. Sam on do tego zwycięstwa syna Judyty się przyczynił.

O świcie wszystko było gotowym. Bezpryma nie poznawali ludzie, tak go nowe zmieniły losy.

Ociągał się jeszcze z wyjazdem, bo nocą nadbiegłszy doń ksiądz pisarz objawił mu myśl, którą pisząc dopiero był uderzony. Dlaczego by go Bezprym jako tłumacza i pomocnika nie miał z sobą wziąć i u króla prosić o to?

Posłuszny Bezprym zgodził się i czekał z Bolesławem rozmowy.

W podwórku czekała już na koniach ustawiona drużyna doborna, świetna, z ludzi najokazalszych złożona, rżały konie, śmieli się wojacy. Wstał i król chcąc widzieć poczet jadący po narzeczoną. a w przedsienu znalazł opata, który niepokojem jakimś gnany spieszył do niego. Zbliżył się właśnie Bezprym do ucałowania ręki ojcowskiej.

— Gotówem, Miłościwy Panie — odezwał się — lecz schowany byłem od

ludzi daleko, na posła sam nie bardzo przydatny, gdybyście mi księdza Petrka raczyli w pomoc

dodać, śmielszy bym był.

Jeszcze się król nie miał czasu odezwać z odpowiedzią, gdy opat Aron wtrącił.

— Właśnie mi jak prawa ręka jest potrzebny ksiądz protonotariusz. Aniby go umiał kim zastąpić. Lecz jeśli miłościwy pan innego duchownego, równie mu pomocnym być mogącego, życzysz, znajdziemy go łatwo.

Król nie miał nic przeciwko temu. Bezprym pochwycony zniemacka nie wiedział jak postąpić.

— Z nieznanym mi trudniej będzie — rzekł cicho.

— Każdy usłuży wedle sumienia i obowiązku i będzie na wasze rozkazy — dodał opat.

Tak, zamiast tego, który mu miał być pomocą, Bezprym niespodzianie

otrzymał stróża i dozorcę w osobie benedyktyna, którego natychmiast przywołano.

Z dala stojący i wyczekujący już skutku ksiądz Petrek zmieszał się, gdy mu po chwili znać dał nasadzony Harno, iż zamiast niego inny duchowny towarzyszyć miał

Bezprymowi.

Oprócz niego dwu poważnych mężów, zaufanych z rady swej, Leliwę i

Sreniawę, dołączył król do orszaku dla dodania mu okazałości. Ci z sobą osobne brali orszaki. Bezprym zaledwie już miał czas pod jakimś pozorem zbiec dla zabrania pisma księdza Petrka, który go zaklął, aby dodanemu duchownemu nie zwierzał się i nie zawierzał i przed swoim orszakiem z niczym się nie wydawał.

Słońce już było podeszło na niebie, gdy wszyscy na konie siadłszy

przeciągnęli przed królem pokłon mu składając. Orszak był prawdziwie dla panny młodej dobrany, młódź najpiękniejsza, zbroje najświetniejsze, szaty od złota i barw jasne, pióropusze u hełmów, błyszczące miecze, tarcze malowane, włócznie kute żelazem. Wodzowie w złotych łańcuchach, pasami sadzonymi przewiązani, czeladź

nawet i służba królewska.

Gdy ruszyli z podwórców, gromady stały patrząc, okna pełne głów były i ponad drogą stały ciekawych kupy. Wiedziano już, dokąd i po co jechał Bezprym, który na czele po raz pierwszy jako królewicz i wódz występował z powagą i dumą, jakiej w nim nikt nigdy nie widział.

Stary Gheza wmodlił się do orszaku, trzymając na ręku ulubionego sokoła zakapturzonego. Szły też i psy, bo bez tych się w podróży nawet obejść Bezprymowi było trudno i konie powodne i ładowne wozy okryte sukniem czerwonym. Dwóch trębaczy towarzyszyło pochodowi. W środku w czarnej sukni jechał ojciec Wolfram, który miał czas od opata wziąć instrukcję, aby na każdy krok królewicza był

ważnym. Samo żądanie zabrania z sobą księdza Petrka, podejrzenie w nim obudziło.

Rozdział 7.

Nie będziemy iść w ślad za dwoma poselstwami, które zdążyły do Rzymu po koronę. Jurga wyprawiony z ojcem Gerbertem, był szczęśliwszym. Udało im się przebyć całe Niemcy bez wypadku, chociaż kilkakrotnie zatrzymywani byli. W

początku podróży garstka ta przyodziła się tak i przybrała, aby jak najmniej zwracać oczu na siebie. Zamiast szerokich gościńców, wybierano drożyny nie wygodne, puste, lecz od straży i czatów bezpieczniejsze. Klasztory, do których zajeżdżali, dostarczały ojcu Gerbertowi dokładnych wskazówek i co lepiej, dawały mu braciszków znanych w okolicy, którzy się opowiadali jako prowadzący własność klasztorną od opatów miejscowych. Tak od jednego do drugiego przeprowadzali ich mnisi, a gdy wypadkiem spotkali łakomego a głodnego zdobywczy rycerza, czatującego na gościńcu, co naówczas było zwyczajnym, bronili się tym, że kościelne prowadzili mienie.

Podróż po Europie w tym wieku, w którym na małych oddziałach siedzący wasale świeccy i do duchownych należący nieustannie z sobą wiedli spory i orężnie występowali w obronie praw i uroszczeń, nie była ani łatwą, ani przyjemną.

Nieustannie trzeba się było mieć na pieczy, dzień i noc czuwać i bronić, często opłacać jeszcze, aby ujść cało.

Mimo uznawanych praw innych, silniejszego prawo było niemal jedynym; szanowano duchowieństwo, ale i ono od przemocy nie było wolnym. Cesarstwo miało zwierzchnią władzę, a i tę prawie ciągle popierać siłą było zmuszone.

Buntowali się wasale nie tylko przeciwko sobie podnosząc, lecz i przeciw najwyższej potędze. Wojna była niemal stanem naturalnym, a pokój wyjątkowym. Synowie walczyli przeciw ojcom, bracia z braćmi, księstwa i królestwa z sobą. Wyłamywali się podwładni, zagarniali ziemię silniejsi, a w podróży nic nie broniło, chyba szczególne szczęście i nadzwyczajna zręczność. Równie jak Niemcy, Włochy też podzielone były, a tu saraceńskie napady, które energia papieża Benedykta odeprzeć potrafiła, ciągle nabawiały niepokojem...

Zwolna więc i pod ciągłym strachem szła podróż Jurgi z księdzem Gerbertem aż do samych wrót wiekiściego grodu. Gdy tu nareszcie dotarła gromadka owa skwarne dnia, wśród wycia wichru, który kurzawą napełniał powietrze, wszyscy padli na kolana z dziękczynną modlitwą, czując, że tylko cudem się dostać mogli do celu podróży. Była to połowa dopiero wielkiego i trudnego dzieła. W Rzymie papieskim miał cesarz swoich zwolenników i stróżów, wpływ jego był potężnym.

Należało z oględnością wielką przedsięwziąć kroki i nie wydawać się z sobą i z celem poselstwa, dopóki drogi przygotowane nie były. Przybyć do Rzymu trudnością było wielką, dopięcie celu nie mniejszą, na ostatek, gdyby się to udało, odwieźć poświęconą koronę, o której wieść musiała dojść cesarza, stawało się zadaniem ze wszystkich najcięższym.

Czuł to ojciec Gerbert, lecz wybór jego dowodził, jak opat Aron znał ludzi i umiał posługiwać się nimi. W średnim wieku, wypróbowany życiem mnich benedyktyn był żelaznym mężem, na pozór chłodnym jak żelazo i jak ono twardym, ostrym, gdy przecinać trzeba było węzły, milczącym i przebiegłym. Przez całą drogę modlił się ojciec Gerbert, mówił mało, zaszępioty jechał, nie skarżył się nigdy, chociaż i głodu, i niewygód nadzwyczajnych doznawać było potrzeba. Jurga wpatrując się w niego starał się naśladować. Kierował gromadką i w karność ją trzymał. Sam widok nowych zupełnie krajów i ludzi starczył mu, aby opłacić wszystkie podróży ciężary i niebezpieczeństwa. Z krajów, w których człowiek był

stosunkowo młodym przybyszem, wjeżdżając w świat na każdym kroku ruin obalonej przeszłości pełny, zdumiewającej olbrzymimi dziełami swymi, Jurga się czuł

upokorzony dzikością i pustynnością swych pól i lasów.

Mury te, kolumny, obalone sklepienia, sterczące resztki świątyń

pozmienianych na kościoły, zdały mu się dziełami nie ludzkiej ręki i ducha, ale zgasłego jakiegoś plemienia istot nadziemskich. Wszystko tu świadczyło o przeszłości skończonej, o narodzie wielkim, umarłym, pogrzebionym, który długie musiał żyć wieki, by tyle dokonać. Rzym w ruinach na połę, na pół w stojących jeszcze budowach wieków chwały i potęgi, przybylcowi z kraju drzewa i szafasów snem się wydawał jakimś niezrozumiałym, niepojętym.

Ojciec Gerbert, pomodliwszy się u wjazdu do bramy miejskiej, opowiedział

się tu jako mnich benedyktyn przybywający w sprawach zakonu. Nie zwracając oczów na siebie przesunęli się za Tybr do benedyktyńskiego klasztoru. Tu byli bezpieczni. Listy i świadectwa dawały im opiekę. Gdy furta otwarła się dla nich i zawarła za nimi, ojciec Gerbert odetchnął raz pierwszy swobodniej i wprost poszedł

do otwartego kościoła powtórnie dzięki złożyć Bogu. Orszak jego umieszczono zaraz w gospodzie dla obcych przeznaczonej, która osobno od klauzury u wrót była urządzonej. Jurga tak ciekaw był, zdumiony i przejęty, tak rad, że straszna podróż skończoną została szczęśliwie, iż spoczynku nie potrzebował. Ulice, które przebywali, rojące się świetnymi orszakami, wśród których piękne niewiasty, bogato poprzybierane, otoczone dworami strojnymi, przesuwały się z dziwną swobodą i zalotnością spoglądając na tłumy; duchowni z pocztami zbrojnymi, sami też nie bez oręża; panowie w jasnych szatach i świecących na piersiach pancerzach, sam lud tak odmienny od tego, do jakiego był nawykł Jurga, nęciły ciekawość podróżnego.

Na Zatybrzu około klasztoru wprawdzie dosyć było cicho, a mury dokoła nic widzieć nie dozwalały, lecz to, co przejazdem dostrzegli, twierdza owa okrągła basztami otoczona, wysokie grody mury okólne najeżone wieżami, sterczące jak olbrzymich drzew pnie, marmurowe kolumny, gmachy

rozległe, przesuwwały się jeszcze przed oczyma zdumionego.

Pan tego grodu, ojciec całego chrześcijaństwa, wydał mu się najpotężniejszym świata mocarzem. Rozdawał korony, obdarzał królestwy słał rozkazy, gdziekolwiek dolatywało ludzkie słowo. Wszystko co dotąd widział Jurga w życiu swym i podróży, obok tego wydało mu się drobnym i małym. Sam cesarz w oczach jego mniejszym się okazał, gdy nań stąd spoglądał.

Ojciec Gerbert zniknął mu zupełnie dnia pierwszego. Nazajutrz znaleziono słowiańskiego rodu braciszka, który z Jurgą mógł się rozmówić, kazano mu się odziać tak, aby oczów na siebie nie ścierał i dozwolono mu pójść po mieście, którego widoku był ciekawym.

Ojciec Gerbert chodził tymczasem około wielkiego dzieła, które przygotować było potrzeba. Dary we złocie, jakie przywieźli z sobą, ułatwiały nieco zadanie, bo skarb wojną z Saracenami był wyczerpany, lecz wkrótce dowiedział się wysłaniec opata, iż o żądaniu Bolesława wcześniej dano znać do Rzymu, a cesarz się sprzeciwił

posłaniu korony. Oprócz tego rościł papież prawa do kraju Polan, szczególnie Gniezna, które z sąsiednimi ziemiami Oda, żona Mieszkowa, zapisała darem Apostolskiej Stolicy. Bolesław trzymał więc tę własność prawem oręża tylko, dziedzictwa i rozporządzenia Polany dopominano się tutaj.

Przewidując to Bolesław król, polecił zapewnić w Rzymie, iż będzie się uznawał lennikiem i chętnie grosz do świętego Piotra skarby składał rocznie, chociaż Oda ofiarowała to, czego nie miała i czym rozporządzać nie mogła.

Sam nie waząc się na wyjednanie u papieża Benedykta żadnej korony, ojciec Gerbert posłał innych na zwiady. Powoli toczyły się same rozprawy o środkach, jakich użyć było potrzeba, aby dostąpić celu.

Jurga tymczasem patrzył, uczył się, dziwował, modlił, a braciszek dodany mu karmił go owym tysiącem legend, które tu do murów przyrosły, powsiąkały w ziemię, w powietrzu unosić się zdają. Kilkanaście dni spłynęło, a nic jeszcze nie uczyniono. Ojciec Gerbert milczał i nie tłumaczył się nawet ze zwłoki.

Jednego dnia, gdy dla nieznośnego skwaru w ciemnej izbie na matach we dnie spoczywał Jurga i zdrzemnął się znużony, szelest jakiś posłyszawszy nad sobą otworzył oczy, a zdało mu się, że śpi jeszcze, gdy ujrzał tuż stojącego Andruszkę, który otworzywszy ręce czekał na uścisk braterski. Jurga się porwał i dwaj bracia, nim słowo do siebie wyrzec mogli, powitali się pocałunkiem. Młodszy oczom swym nie wierzył prawie, bo się takiego szczęścia nie spodziewał.

W istocie było to nadzwyczajnym trafem, iż drugiemu wysłańcowi przebrać się udało tymi samymi torami i drogami w ślad za pierwszym. Ojciec Gerbert i Romuald nabrali oba otuchy, gdyż podwójne dary dawały im możność tym skuteczniejszego działania. Z Andruszką przybyła więcej niż nadzieja, niemal pewność pozyskania korony dla króla.

Zaraz nazajutrz wiedzieli o tym bracia, a opowiadając sobie o podróży i jej niebezpieczeństwach naradzali się wcześniej o powrocie.

Naówczas Jurga, który był umysłu żywszego, wpadł na tę myśl szczęśliwą, ażeby z powrotem rozdzielić się i oprócz namaszczonej korony drugą wież podobną fałszywą, aby nią Niemców czatujących na tę zdobycz oszukać. Ta mniemana korona dla większej pewności pójść miała przodem, tak ażeby wpadła w ręce cesarskiej straży, która zadowolniona zdobycia już by na przewiezienie prawdziwej nie zwracała tak pilnej bacności.

Nazajutrz opowiedziano o tym ojcu Gerbertowi, który uśmiechnął się i zdumiał, a że miał obok siebie drugiego brata, odezwał się doń po łacinie.

— Zważcie, jaka u narodów dzikich wrodzona jest przebiegłość. Oto żaden z nas nie wpadł na tak wyborny środek zabezpieczenia namaszczonego daru Ojca Świętego.

Pochwaliwszy wielce Jurgi pomysł szczęśliwy ojciec Gerbert, który już przed przybyciem Romualda rozpoczął umowy, ciągnął je dalej, teraz podwoiwszy ofiarę.

Nalegał on na to, że Bolesław był w rzeczywistym posiadaniu państwa tak rozległego i potężnego, że je w jedności z kościołem koniecznie należało utrzymać, a to najłatwiej można było utwierdzić ofiarą namaszczonej korony, która wierną i kościołowi, i cesarstwu zostać miała.

Przeciągnęły się jednak owe umowy, którym na drodze stawali Henrykowi cesarzowi posłuszni w otoczeniu papieskim. Na ostatek, ujęty wymownymi prośby i zaręczeniami ojca Gerberta, papież Benedykt przyrzekł koronę, którą sam miał u grobu ksiąźęcia apostołów pobłogosławić. Nie trzeba było wytwornej sprawować, której robota wiele by czasu zabrała. Złoty obręcz, kilku kamieniami oszlifowanymi nasadzony, wystarczał. Błogosławieństwo dawało mu wartość całą, a im łatwiejszą była do ukrycia korona, tym mniej na niebezpieczeństwo narażoną. Inną podobną naprędce ukuć kazano, którą przodem i niezbyt się wystrzegając wież się ofiarował

mężny Andruszka. Wiedział on i towarzyszący mu benedyktyń, że zatrzymani i do więzienia może wtrąceni zostaną, lecz oba dobrowolnie chcieli tą ofiarą okupić bezpieczne przybycie poświęconego wieńca do Poznania.

Wielki to był dzień dla gromadki polskich wysłańców, gdy im oznajmiono, że się mogą znajdować w krypcie u grobu Piotrowego, aby być świadkami obrzędu. Tu oni mieli po raz pierwszy oglądać poważne, męskie a rycerskie niemal oblicze Benedykta, który pod skromną suknią duchowną zachował w sobie coś z charakteru rodu wojowniczego i pańskiego hrabiów tuskulańskich. Widać w nim było władcę, a króla razem i głowę kościoła, surowego sędziego i stróża obyczajów duchowieństwa, które po prawy i karności potrzebowało. Dostatki, w jakie opływały klasztory i biskupstwa, ziemskie Ich posiadłości rozległe, stosunki bliskie z rycerstwem rozwiązłym, nadwerężyły obyczaje. Papież je do nauki Chrystusowej i pierwotnej czystości zwrócić usiłował.

Przy mszy świętej leżała korona na ołtarzu dotykając relikwii apostołów, poświęcił ją sam Ojciec Święty i po uroczystym obrzędzie wraz z listem oddał

posłom, którzy w imieniu króla podległość Stolicy Apostolskiej zaręczyli. Tegoż dnia, nim się ruszyli posłowie z Rzymu, już goniec potajemny wyprzedzał ich na apijskim gościńcu biegnąc zapowiedzieć podróżnych, których wraz z koroną pochwyć miano nieochybnie.

W klasztorze naradzano się dnia tego i nazajutrz jawnie, w oczach mnogich świadków ruszył ze znaczniejszym poczetem Andruszka z ojcem Romualdem, wioząc fałszywą koronę.

Dopiero w dni kilka potem potajemnie wyjechać miał ojciec Gerbert z Jurgą ukryty wioząc ów obręcz poświęcony, który przeznaczony był do uwieńczenia skroni królewskich. Wszystko się stało, jak obmyślano.

Pierwszy poczet przebył Włochy bezpiecznie, lecz śledzony i miany na oku.

Jechali w tropy za nim wysłańcy, którzy go u granicy Niemiec wskazać mieli i dać pochwyć. Ojciec Romuald umyślnie prawie nieostrożnym był i stawał w miejscach, gdzie mógł być postrzeżonym, nie tając się z tym, że z Polski jechał do króla w poselstwie, choć niby zamilczał, co ono miało na celu.

Na drugim noclegu niemieckim znaleźli się posłowie otoczonymi w gospodzie przez tak liczną gromadę zbrojną, iż o oporze ani myśleć było można.

Z urąganiem i przechwałkami pochwycono ich, niby usiłujących tłumaczyć, zaprowadzono do najbliższego zameczku i gdy zaczęto przetrząsać juki, z radością nadzwyczajną znaleziono koronę. Natychmiast wysłano gońców z oznajmieniem, iż zdobycz się w ręce cesarskie dostała. Radość była niezmierna i triumf wielki.

Szukano listów papieskich rozpruwając suknie, trzęsąc wszystko na próżno, nie umiano ich znaleźć, a naglony ojciec Romuald przyznał, że w obawie pochwylenia zniszczone zostały w pierwszej chwili.

Gdy się to działo na głównym gościńcu, z bacnością nadzwyczajną od

klasztoru do klasztoru przemykał się ojciec Gerbert i Jurga. Wioząc tak drogi klejnot musieli nadzwyczajnymi otaczać się ostrożnościami. Najgorsze dni do podróży, słoty i wichry były im najpożądańsze, przekradali się nocami i rankami po niedostępnych ścieżynach i manowcach. Podróż też trwała długo. Jurga czuwał, prawie nie kładąc się na spoczynek, chyba gdy do którego z klasztorów przybyli, gdzie zupełnego pewni byli bezpieczeństwa.

Przez niemieckie kraje jadąc podwajano czujność, choć pochwylenie

pierwszej korony uspokoiło zupełnie cesarskich, a wieść o tym już się była wszędzie rozeszła. Gdy na ostatek po tylu napróżnych krążeniach dnia jednego ujrzeli rzekę, którą im jako Łabę ukazano, radość niezmierna odmalowała się na twarzach wszystkich. Przeprawili się przez nią pochmurnego ranka jesieni, a czeladź

towarzysząca im już tu była jak w domu. Przyspieszono więc koniom biegu.

Jurga chcąc królowi prędszą sprawić radość najrzęczniejszego z pacholców wyprawił przodem nocą i dniem do Poznania. Tu niepokój był wielki. Wprawdzie opat Aron przez benedyktynów miał wiadomość o przybyciu Jurgi do Rzymu, lecz potem nic już o obu wyprawach słychać nie było. Król niecierpliwił się i narzekał, były dni zwątpienia i gniewu.

Gdy Andruszkę z ojcem Romualdem pochwycono, rozgłos był tak wielki i radość taka, że się wnet wiadomość rozeszła daleko i doszła do Trzemeszna naprzód, nareszcie do Poznania.

Tu nie wiadziiano wcale o podstępie, którego Jurga był sprawcą. Opat był w smutku wielkim. Nie ośmielił się natychmiast o tym Bolesławowi zwiastować.

Zwlekał. Nie można jednak było długo ukryć nieszczęśliwej wieści. Ksiądz Petrek, który ją miał pierwszy, chodził z nią pozornie zasmucony dzieląc się ze wszystkimi, aby doszła do uszu króla.

Już naówczas piękna Oda, którą Bezprymowi z chęcią wydano, przybyła do Poznania i niezwłocznie małżeństwo pobłogosławione zostało. Zjechało się na wesele tłumnie rycerstwo domowe i niemieckie, król hojnie przyjmował i zdawał się wesół a szczęśliwy.

Od pierwszego dnia nowa pani nowe tchnęła w dwór życie, nową wesołością ożywiła trochę spoważniałych towarzyszy króla. On sam musiał się powodować niewieście, która z zuchwalstwem nadzwyczajnym, nie obawiając się groźnego pana, rządziła nim samowładnie. O dziwo! Król dawał się prowadzić posłuszny wpatrując się w piękne oczy i zdał zapominać o wszystkich swych troskach, gdy mu Oda szczebiotała.

Mieszko i Ryksa nie mogąc się ani oddalić, ni wyłączyć stali na uboczu.

Oda lekceważyła mężowską synowę nie dbając, że jątrzy cesarskiej krwi panią, a Bezprymowi nad Mieszkiem dawała w łaskach swych pierwszeństwo. On był jej najmilszym sługą, król też nabral trochę serca do Bezpryma i więcej teraz upatrując w nim zdolności, obiecywał mu też na przyszłość świetniejsze stanowisko.

Na pozór nie było nic odmienionego gwałtownie, przecież jednej niewiasty przybycie zmieszało dawny porządek, wwiiodło jakiś zamęt, napełniło niemal strachem dawne sługi.

Pytano się siebie cicho, co będzie z tego panowania Niemki zalotnej nad królem, chwilowo zaślepionym. Nikt się jednak nie ośmielał rzec słowa. Opat milczał i stronił nieco od dworu. I na to Bolesław uważać się nie zdawał.

Były to pierwsze dni roznamiętnienia krewkiego pana, całe oddane

niewieście, która umiała oderwać go od wszystkiego i zawojować dla siebie.

Z tego czaru i upojenia nie wyszedł król Bolesław, aż gdy jednego wieczora Zyg nie przyniósł mu korony skręconej ze słomy i nie położył jej u nóg jego. Karzeł

był głupawy, iż się na żart taki ważył.

— Miłościwy Panie — rzekł śmiejąc się — trzeba będzie słomianą się kontentować, bo złotą cesarscy porwali.

Bolesław nierychło go zrozumiał, a znaczenie słów pojawiaszy chciał go kazać wyrzucić precz i osmagać. Zyg do nóg mu upadł wyznając, że w całym dworze mówiono o tym.

Burza powstała sroga. Chciała Oda króla uśmierzać, odepchnął ją po raz pierwszy, wejrzawszy na nią tak, że pobladła i cofnęła się przelękła.

Na wołanie pańskie, które grzmiało jak burza rozhukana, zadrzało, co żyło, biegło wołane, co zasłyszało tylko. Skupili się wszyscy, król patrzył po twarzach i mówić nie mógł z gniewu.

Sieciechowi wskazał Zyga, aby go wnet pochwycono, pytał głosem drżącym i zachodzącym się, kto mówił o pochwyconej koronie, kto i skąd słyszał o niej. Zyg strwożony księdza Petrika imię wybełkotał. Kazano natychmiast go przywieść.

Dwóch komorników wnet go niemal gwałtem przyciągnęło przed króla, wystraszonego, bez duszy. Zagrzmiął nad nim głos, skąd i od kogo słyszał o tym.

Pisarz umiał powiedzieć tylko, że w całym dworze było to wiadomym, że koronę wiezioną cesarscy na granicy schwycili.

Słano wnet po opata, który idąc dowiedział się o królewskim gniewie, lecz nie ulękłszy się go, spokojnie i bez najmniejszego przybył pośpiechu; król miał czas nieco ochłonąć, a ujrzawszy wypogodzone, zimne, poważne, surowe oblicze idącego naprzeciw sobie, zawstydził się tej gorącości, z jaką wybuchnął.

Czekał, aż się Aron przybliżył.

— Ojciec, prawdali to? — zawołał. — Wszyscy aż do najędźniejszego błazna wiedzą tu o tym, o czym ja nie wiem nic?

Wieści chodzą o tym, lecz pewności nie ma, dlatego płochych pogłosek do uszu twych podawać nie było potrzeby.

Ksiądz Petrek, któremu szło o to, aby się dobrze uwiadomionym okazał i nie został zatarty, przerwał kłaniając się opatowi, iż z cesarstwa przybywający od marchii pogranicznych jednozgodnie to poświadcza, iż w górach, poblizu włoskich granic, koronę i posłów pochwycono, a radość stąd była wielka.

Pisarz, który potajemnie miał posłanie, a do niego przyznawać się nie chciał, mógł zaręczyć, iż wieść fałszywą nie była. Wiedział nawet, w którym hrabstwie i miasteczku posłowie schwyceni zostali. Opat wołał króla w niepewności trzymać.

Na próżno potem obrażona Oda tym, że poślednie zajęła miejsce na chwilę, starała się Bolesława pociągnąć i rozerwać. Król nie spojrzawszy nawet na nią z opatem poszedł na osobność. Zmieniony był i gniewny, chciał natychmiast trzecie już poselstwo wysłać.

Dał mu wszystko wypowiedzieć Aron, słuchał cierpliwie i znowu wielkim swym spokojem nieco rozgorączkowanego upamiętał. Gniew, gdy nie zarazi sobą tych, wśród których wybucha, musi zawsze przygasnąć i w sobie zawarty trawić się powoli.

Ochłódł Bolesław nieco.

Opata zdaniem było, aby nie poczynać nic, dopókiby wieści nie nadeszły pewne i ostateczne. Wszakci jedne posły pochwycone być mogły, a drugie wrócić szczęśliwie.

Jakkolwiek mała była nadzieja, Bolesław dał się tym ukołysać. W sprawach niewojennych nawykł był ufać opatowi, którego rozum i baczość nie zawiodły go nigdy. Pozostał jednak król posępnym i zachmurzonym i Oda postrzegła po raz pierwszy, iż władza jej nad nim nie była tak potężną, by wszystko inne stłumiła.

Szła dotąd przebojem i zuchwalstwem, z którym się jej szczęściło, teraz musiała użyć innych niewieścich sztuk: łzów, smutku i przypochlebiania, pokory i czułości. Nie kosztowało ją zmieniać się, choć nawykła być śmiałą, pokonywać się musiała stając pokorną. Dla króla te kameleońskie zmiany coraz nowy wdzięk jej nadawały.

Miłość w młodości, mówią, opanowuje i zaślepia człowieka, lecz w latach późniejszych, gdy się życie wymyka, gdy ostatkami goni, niebezpieczniejszą jest jeszcze, bo z niej ostygnąć nie można.

Oda traciła moc swą i odzyskiwała ją wprędce, a z tych walk wychodziła coraz silniejszą. W sercu jej nie było nic oprócz żądzy panowania i pragnienia życia.

Oczyma rzucała po dworze całym, Jakby wszystkich zakuć potrzebowała w te więzy, w których król chodził. Ksiądz Petrek był jej powiernikiem i ulubieńcem; dodało mu to siły i pewności siebie. Opat widział wszystko i cierpiał nie spuszczać go z oka.

Uszły tylko baczości jego stosunki z Bezprymem i umowy, które w cichości już aż do cesarskiego ucha sięgnęły. Cesarz zgodził się na żądanie królewicza, obiecywał

mu królestwo, pomoc orężną, poparcie przeciw Mieszkowi, z warunkiem poddania się cesarstwu.

Na Bezpryma twarzy czytać było można zmianę, lecz przypisywano ją

przypuszczeniu do łask ojca i odepchnięcia Mieszka.

Rykxa, z dumą rodowi swemu właściwą, znosiła upokorzenie swoje i męża, nie narzucając się i nie chcąc żebrać przejednania. Ona także może w duszy rachowała na to cesarstwo, z którego panującymi łączyła ją krew. Nie trwożył ją Bezprym, nie obawiała się Ody nawet, czując się tu niejako ogłoszoną następcy Bolesława żoną.

Mieszko był nim uznany. Dumna pani nie przypuszczała zmiany i trzymała się na uboczu. Oczy wszystkich zwrócone były na króla i jego rodzinę; radował się w duszy jeden ksiądz Petrek, widząc zamęt, nienawiść i walkę, która groziła przyszłości.

Wszystko, co gotowało ruinę, pożądanym dlań było, co ją przyspieszyć mogło, do tego ręki przykładał.

Posłuszny opatowi, król pozostał w oczekiwaniu niecierpliwym, rozjątrzonem, do gniewu skłonny.

Oda teraz na próżno usiłowała pierwszych dni zapomnienie na wszystko powrócić. Niekiedy Bolesław odprawiał ją do krosien i kądzieli. Szła z ustami zagryzionymi zamiast do swojej izby pomiędzy młodź rycerską i drażniła króla strojąc śmiechy, które uszu jego dolatywały.

Dnie płynęły chmurami i jasnymi promieniami przeplatane. U stołu król się ożywiał, ale noc przynosiła z sobą troskę i sny rodziły niepokoje.

Jednego dnia opat, który oko miał baczne na wszystko a pamięć niezmierną, idąc z tumu na dworzec spostrzegł na koniu zmęczonym wbiegającego w podwórze pachółka, którego twarz zdała mu się podobną do jednego z tych, co z Jurgą wyprawieni zostali. Wstrzymał się i skinął. Skoczył jezdny z konia i podbiegł ku niemu. Opat go poznał.

— Co wiesz? — spytał. — Wieść dobrą, ojczyźnie przewielebny. O dwa dni lub półtora za mną ciągną ojciec Gerbert z Jaksą i koronę wiozą.

Zdumiał się radośnie Aron.

— Bogu niech będą dzięki, lecz tu wieść się rozeszła...

Chłopak się rozśmiał.

— A! Tak, — zawołał — Andruszka Jaksy z księdzem wieźli umyślnie

falszywą koronę i dali ją w ręce cesarskim. Poświęcona jest już na naszej ziemi.

Opat się nieco zamyślił.

— Nie mów o tym, aż ci ja usta rozwiążę. Gdy cię spytają, powiedz, że wracacie próżno.

Skłonił się posłany i uszedł ku stajniom, a Aron do króla podążył.

Topiąc niepokój w kubku i rozmowie, Bolesław siedział otoczony radą swoją i rycerstwem. Dnia tego miał z rana do odsądzenia spraw wiele, do pogodzenia spory zajadłe znużony był karaniem winnych i jednaniem zwaśnionych. Niektórzy z nich stali jeszcze, bo Bolesław wyrok umyślnie odroczył, aby ich przywieść do upamiętania i zgody. Starzy wodzowie przypominali wyprawy swoje. Król słuchał

rad i uśmiechał się czasem. Gdy opat wszedł z tą twarzą, na której nigdy nic nie można było odgadnąć, zawsze jedną i poważną, król się obrócił ku niemu.

Przyjście jego zwiastowało zawsze ważną sprawę. Powstali wodzowie, witając go uchylił król głowę, pierwsze mu uczyniono miejsce. Aron stał.

— Przynosicie mi co, mój Przewielebny — odezwał się Bolesław — lub macie żądanie jakie do mnie? Wam zawsze i przede wszystkim należy

pierwszeństwo.

— Dziś mi ono należy w istocie — rzekł Aron — bo przynoszę wam,

miłościwy panie, to, czegoście najmocniej pożąдали — koronę!

Oczy Bolesława zajaśniały, powstał poruszony cały, wszyscy się skupili ciekawi.

— Objawienie mieliście? — spytał.

— Przybył posłaniec od ojca Gerberta, są o półtora dnia drogi.

— Więc niegodziwym kłamstwem było, na utrapienie moje zmyślonym, że ją pochwycono! Ukarać należy winnych.

— Nie winien nikt — odezwał się opat — koronę pochwycono i korona stanie tu jutro. Dano cesarskim tę, która poświęconą nie była, na łup, aby się uspokoili, namaszczona przybywa.

Na wszystkich twarzach odmalowała się radość, król podniósł ręce do góry.

— Nie ma — zawołał przejęty — czego bym nie uczynił dla tego, co tak przebiegle i rozumnie postąpić umiał!

Gwar się stał taki w izbie, a za nim poszły okrzyki tak głośne, iż po całym dworcu rozeszła się ta radość, której przyczyny nie wiedziano jeszcze. Zbiegali się ludzie podpatrując i podsłuchując. Król po namyśle wprost kroki skierował ku kościołowi. Szedł za nim Aron, szli panowie radni, ciągnął dwór, wlokła się ciżba.

Kazano w dzwon uderzyć. Na grodzie mało kto wiedział, za co dziękczynne odprawiać miano modły, lecz biegli, kto żył, i cisnęli się do tumu.

Przed wielkim ołtarzem u grobu ojca stanął Bolesław, jakby z duchem jego dzielić się chciał radością swoją.

Aron pospieszył do zakrystii, aby z poczem całego katedralnego

duchowieństwa wyniść zaraz przed oświetlony ołtarz i zanucić hymn dziękczynny.

Ksiądz Petrek siedział w celi nad pergaminem, gdy Harno wpadł doń wołając, że korona z Rzymu przybywała i że król z całym dworem w tumie już za nią Bogu dziękował.

Upewniony o pochwyceniu jej ksiądz Petrek osłupiał. Niepojętym to było dla niego. Triumf, którym się pocieszał, obracał się niepojętym sposobem w upokorzenie.

— Kłamiesz, niezdaro! — krzyknął. — Jak zawsze nierozumnym jesteś

stworzeniem, chwytającym na opak słowa.

Wtem dzwon coraz wyraźniej posłyszał bijący na tumie, chwycił na siebie płaszcz i wybiegł. Dokąd?

Nie wiedział sam.

Niewiasty i królowa nie wiedziały o niczym jeszcze, Mieszko, Ryksa,

Bezprym i ich dwory posłyszawszy okrzyki, słysząc bijący dzwon wybiegli we drzwi, ślali ludzi. Nie wszyscy wytłumaczyć umieli, co się stało, rozmaite obiegały wieści, wiedzieli tylko wszyscy, iż król z dworem na radosne jakieś do tumu pospieszył podziękowanie Bogu.

Ksiądz Petrek z twarzą wybladłą i zmienioną pierwszy przyniósł wiadomość, której nie wierzył i chciał jej zaprzeczać. Lecz tuż nadeszli od tumu inni, co ją potwierdzili. Ksiądz pisarz gniewał się i burzył, kłamstwem zowiąc i zwodnictwem, co głoszono. Nie śmiał się z tym wydawać, iż miał najpewniejsze doniesienia, burzyło go to, iż im zaprzeczać śmiano. Zbiegł więc wprost do zakrystii tumu i tam stanął oczekując na opata. Musiał przybrać twarz wesołą, choć się w nim zbierały gniewy i kipiała nienawiść.

Gdy po skończonym hymnie opat się ukazał w progu i ujrzał księdza Petrka, podszedł, jak stał, w kapie i infule ku niemu.

— Ciesz się, mój ojcie — rzekł — król dostąpił wreszcie, czego pragnął, poświęconej przez papieża korony. Wielkiego rozumu posłowie nasi umyślnie koronę niepoświęconą dali w ręce cesarskim, którzy ją zabrali, aby bezpieczniej panu namaszczonej przywieźli.

Ksiądz Petrek, który by był kłął, gdyby mógł, zbladł i skłonił głowę.

— Chwała ludziom rozumnym i przebiegłym! — odparł cicho. — Radość

mamy wielką!

Rzekłszy to, a lękając się, aby po nim nie poznano, iż utrapionym był wielce, natychmiast wymknął się spośród duchownych.

Nigdy może nie czuł się tak przybitym, tak upokorzonym jak w tej chwili.

— O, lisy chytre! O, węże złośliwe — mówił powracając zwolna do celi, — o, złodzieje zręczni, symoniacy przekłeci! Potrafiliście więc papieża oplątać, cesarza oszukać, strażę uśpić i postawiliście na swoim. Cieszcie się i śpiewajcie, radujcie i wynoście rozumy wasze! Nie ujdziecie mściwej ręki cesarskiej i kary bożej. Runie, rozsypie się, zniszczeje, w pył i proch obróci się dzieło wasze! Tryumfujcie! Krótkie będą tryumfy.

I śmiał się sam do siebie gorzko, dziko, złośliwie, a rzucając oczyma po podwórku, wśród którego rozlegały się okrzyki witające króla, co rychlej pośpieszył

zamknąć się w swojej celi, gdzie go ta nienawistna wrzawa nie dochodziła.

Rozdział 8.

Radość przepelniająca serce królewskie płynęła z niego na wszystkich; powołał do siebie Mieszka,

który się trzymał na uboczu, kazał przyjść Bezprymowi i obdarzył go, aby na dzień uroczysty wspaniale mógł wystąpić, uśmiechnął się synowej. Odzie ogłosił, że będzie królową na równi z innymi, nadał opatowi ziemię i lasy, Jaksom majątności kazał wykupić, sypał wkoło siebie dobrodziejstwa, był

szczęśliwym.

To błogosławieństwo, którego potrzebował dla dzieła życia całego, miało je utwierdzić na wieki.

W dniu, gdy korona upragniona nadejść miała, wysłano poczty naprzeciw posłom, co ją wieźli, aby z wspaniałością należną wprowadzoną została i złożoną na ołtarzu, dopóki by do Gniezna nie była przewieziona, gdzie koronacja odbyć się miała z uroczystością wielką, przy napływie wszystkich panów, wodzów, władyków i rycerstwa, których gońcy powołać mieli z kraju całego i najdalszych jego granic.

Rozesłano ich wcześniej naznaczając dzień dosyć odległy, aby wszyscy czas przybyć mieli.

Gdy w Poznaniu taka panowała radość, w Magdeburgu i na dworze cesarskim dowiedziano się z zeznań ojca Romualda, iż korona, oddana w ręce czatujących na nią, wcale nie była tą, jaką papież Benedykt poświęcił.

Wyczekawszy nieco, posłany benedyktyn oznajmił to i oświadczył, iż gotów jest stwierdzić przysięgą. Sama obojętność jego a szyderskie prześmiewanie się Andruszki dowodziły zresztą, iż tak być musiało. Od granic też wysłani na zwiady przybyli z oznajmieniem, że poświęcona korona, mimo wszystkich zabiegów, była w Poznaniu, a uroczysta koronacja odbyć się miała w Gnieźnie.

Niepodobieństwem jest opisać wściekłość, jaka opanowała arcybiskupa i nieprzyjaciół Bolesława, gdy się o tym przekonali, iż mimo nich osiągnął, czego pragnął.

Nie szczędzono Bolesławowi tych nazwisk, jakich mówiąc o nim użyli

kronikarze niemieccy. Teraz więcej niż kiedykolwiek był on dla nich lisem chytrym, wężem wykrętnym, oszustem złośliwym. Wzrosła złość i chęć zemsty przeciwko niemu, jak niegdyś opat Aron przepowiadał.

Tym się pocieszali cesarscy, iż mieli na samym dworze wroga tych, na których rachować mogli. U boku Henryka i pod jego opieką byli synowie Mieszka i Ody starszej: Ryksa Niemka, Oda markgrafówna, Bezprym, który szukał zawczasu opieki cesarza; były to narzędzia, których sobie w dogodnej porze użyć obiecywano.

Bolesław jeszcze im był strasznym, ale potomstwo jego mieli w ręku.

Czekali i czyhali.

Tymczasem mszczono się na niewinnych trzymając w srogim więzieniu

Andruszkę i ojca Romualda. Dano ich do odludnego zameczku w górach pod klucz stróża, który już

niejednego cesarzowi nienawistnego winowajcę zamorzył w lochu.

Na próżno opat Aron usiłował przez zakonników świętego Benedykta wstawiać się za nimi. Król też obstawał przy tym mocno, aby jakimkolwiek bądź środkiem tych, co dla niego cierpieli, oswobodzić. Naznaczono okup wielki. Ten by też może nie został przyjęty lub w ostatku trupy by zań tylko wydano, gdyby nie znaleziono w sąsiedztwie na lichym burgu siedzącego barona, który ofiarował się za opłatą na grodek wpaść, gdzie załoga była słabą, i więźniów dobyć siłą.

Stało się, jak przyrzekł. Nocą naszedł z kupą ludzi niespodzianie chciwy okupu obrońca na grodek, którego nie pilnowano wcale, schwytał dozorców, zagroził

im śmiercią, do więzienia wprowadzić się kazał i odbił nie tylko tych dwu, ale i innych, którzy w lochach gnili. Ci rozpierzchli się w górach, a rycerz uprowadził

Andruszkę i benedyktyna, którym bezpieczną wskazano drogę i opatrzone na nią.

Nim w Gnieźnie nastąpiła koronacja króla, już i tych dwu straconych wróciło do Poznania. Lecz obu ich trudno prawie poznać było, tak straszliwie niewola się znęcała nad nimi. Wybledli, schorziali, zgłodnieli, zmęczeni, wyschli, potrzebowali dłuższego spoczynku, by odzyskać siły. Jurga od chwili przybycia nie odstępował

brata, a król obu ich obsypawszy łaskami ojcowską troskliwością otaczał. Oba naówczas pokłonili się panu prosząc, aby im dozwolił spocząć na ojcowiznie.

Choć niechętnie puszczał ich Bolesław od swojego boku, choć ociągał zrazu zezwolenie, w ostatku zgodził się, aby jechali do domu.

Dowiedziawszy się o tym, pozdrowił Andruszka wnet i uczuł, że na koń sięść może. Jurga, któremu z Sieciechówną król sam obiecał sprawić wesele, szczęśliwy jechał gniazdo wyściełać.

Wiedzieli już, iż Bolesław majątności im wykupił, ale z cudzych rąk wyrwane, w jakim stanie odebrać mieli! Nadeszła była zima przypominająca ową smutną, która dla nich tylu nieszczęść była przyczyną. Tak samo znowu ziemia była całunem okryta, ogołoczone z liści drzewa, lodem zasłane rzeki i jeziora; wracali drogą tą pamiętną, którą ich królewski wysłaniec pod strażą na sąd prowadził. Wszystkie te wspomnienia, choć się nimi truć nie chcąc, nic o nich nie mówili, przychodziły im na myśl mimowolnie, a w miarę, jak się do pustki zbliżali, smutnieli oba i jakaś ogarniała ich obawa. Rycerskie ich serca miękły pod wrażeniem, które jako niemęskie wyrzucali sobie, chociaż mu ulegali.

Jechali w małym orszaku czeladzi, choć opatrzeni we wszystko, lecz nie tak świetnie i butno, jak niegdyś tu z kijowskiej powracali wyprawy. Andruszce na myśl też przychodziła nieszczęśliwa owa niewolnica grecka, którą ostatniego dnia przed przybyciem do Poznania w lesie zbłąkaną stracili i słyhać o niej nie było. Po powrocie z Rzymu mówiono im wprawdzie na dworze, iż się tam Antonia ukazała była, ale wkrótce potem znikła. Andruszka litował się nad jej losem.

Ostatniego dnia podróży, gdy się już do Jaksowych Borów zbliżali, gołoledź

się wzięła wielka, która jazdę utrudniała. Konie się ślizgały tak i padały, iż wpośród drogi musieli stanąć szukając kowala, co by im zaostrzył podkowy. Rzecz to pod owe czasy nie była tak łatwa. We dworach tylko i miasteczkach znajdowali się ci wysoko naówczas cenieni kunsztmistrze, którzy z żelazem rady sobie dawać umieli.

Znając dobrze drogę wiedzieli, gdzie się udać dla okucia koni na ostro, ale zmarudzili wiele czasu i co mieli stanąć przed wieczorem w starym dworze, ściągnęli do nocy.

Słońce już dawno było zaszło i gwiazdy się pokazały na niebie czystym, które ostry mróz obiecywało, gdy z lasów wynurzywszy się na szeroką polanę, grodek otaczającą, z bijącym sercem ujrzeni go z daleka. Zdumieli się mocno, zamiast ciemnej pustki widząc światło we dworze i dymy buchające ponad dachy. Andruszka i Jurga mimowolnie i razem popędzili konie żywiej. Wrota stały otworem, podwórzec pełen był ludzi i koni. U podsienia roiło się jakby gośćmi. Postrzegli, że na nich tu oczekiwano. Pachołkowie trzymali pochodnie smolne, przy których świetle poznali swoich stryjecznych, starego Tomka Jaksę, którego dwoje pacholąt pod ręce trzymało, i wszystkich swych krewnych i powinowatych. Na przedzie stał

dziedzic Komory, ten co króla u siebie krwi półmisią chciał przyjmować.

Zsiedli z koni uradowani gospodarze naprzód do najstarszej głowy rodu, do Tomka Jaksy, z pokłonem.

— Niech Bóg błogosławi zmartwychwstałym! — zawołał głosem drżącym

starzec. — Niech Bóg błogosławi, a pomnijcie, coście to przeszli za młodości bujność i że cudem ocaleni jesteście.

Wszyscy zatem ścisnąć się zaczęli i okrzyki zabrzmiały w podwórcu. Dawni słudzy i dwornia cisnęła się do panów padając im do nóg i całując po rękach, Niektórych brakło, ci już spoczywali na "Bożej roli". Z dała pod słupy drewnianymi w czarnej sukni Andruszka ujrzał Antonię, która z dawna tu widać czekała na niego; klasnęła tylko w ręce i zawstydzona uciekła.

Dom, który się pustym i ogołoconym zastać spodziewali, z rozkazu króla obficie był zaopatrzone we wszystko. W wielkiej izbie zastawione stoły czekały na gości. Gdzie zajrzeć, pełno było szat, oręża i dostatku.

Snem i cudem wydało im się to odrodzenie do nowego żywota po tylu

przebytych przygodach.

Wnet też służba z misami, dzbanami, ręcznikami, jadłem i napojem ciągnąć zaczęła i wszyscy u stołu mieścić się wesoło. A że był i duchowny, zesłany przez króla i opata dla poświęcenia domu na nowe życie, uroczystym błogosławieństwem rozpoczęła się uczta. Trwała ona do dnia białego, bo każdy i dawnych i nowych dziejów miał co opowiadać, a szczególnie Jaksowie oba o swej podróży, w której tyle cudów oczyma swoimi oglądali, a o tylu się nasłuchać mieli. Tym, co się nigdy poza granicę zachodnią kraju swego nie ruszyli, zdały się nie do wiary opisy krajów, jakie Jaksowie

przebywać musieli, i powieść o stolicy wielkiej, której na pół

zniszczone wspaniałości oglądali.

Cały dzień następny owi goście pozostali jeszcze, przesiedzieli i dzień trzeci, a Jaksowie się przekonali obejrzawszy po domu, iż zapasów na przyjęcie starczyło.

Było wszystkiego pod dostatkiem.

Czwartego dnia dopiero zostali sami, a że Jurga do wesela musiał się sposobić, a Andruszka szeptała coś, iż gotów też poślubić Greczynkę, bracia radzi nieradzi o rozłączeniu się pomyśleć musieli. Na obszernych ich ziemiach, które w ich posiadanie wróciły, była druga stara opuszczona siedziba, zwana Gródkiem Zielonym. Andruszka chciał tam osiaść, Jurga gotów mu był ustąpić Jaksowych Borów, lecz starym obyczajem Słowian ojcowskie gniazdo należało młodszemu i starszy zmusił brata, aby w nim pozostał!

Podzielono równo ziemię i dary królewskie, a Andruszka nie zwlekając pojechał zaraz na Gródek Zielony, aby się w nim zagospodarować. Jurga tymczasem w dawnym dworze krzątał się przyprowadzając go do porządku, ściągając służbę i gotując się na przyjęcie młodej pani. Niewiele wówczas wymagano, życie nawet po królewskich i pańskich dworach było bardzo proste i niewytworne. Kraj, na wojny narażony, cały był niemal wiekiustym obozowiskiem. Nawykły były i niewiasty w razie wieści o napadzie dosiąść konia, uchodzić w lasy i koczować w nich pod namiotami, często potem, gdy niebezpieczeństwo przeszło, wracając na zgliszcza.

Parę izb starczyło dla gospodyni i jej pracowitego dworu spędzającego dni całe u kądzieli i ogniska; a choć w uroczystości obwieszano się łańcuchami i odziewano złotogłowem, nie wstydziły się królowny prząść, a księżniczki gotować.

Oba Jaksowie pozostali pracując około domów, gdzie wiele do czynienia mieli aż do dnia naznaczonego na koronację królewską.

Bolesław chciał ją mieć tak świetną, tak wspaniałą, ażeby odgłos jej Niemców utrapił i rozszedł się po całym świecie. Szczególne mając nabożeństwo do świętego męczennika Wojciecha nazначył król dzień jemu poświęcony w kwietniu na obchód ten, na który zwołano ze wszystkich ziem podległych wojewodów, żupanów, starszyznę i co było najznaczniejszego. Na grodach tylko w obawie, aby nieprzyjaciel nie korzystał z ogołocenia ich, pozostawiono dowódców i załogi.

Wszyscy jechali z pocztami świetnymi pod znakami ziem, prowadząc lud przyodziany wspaniale. Ze wszystkich kościołów i klasztorów zwołano

duchowieństwo, aby liczbę jego pomnożyć. Zaprosił król i Guncelina, i markgraфа Ekarda, ojca Ody, i Niemców kilku, aby świadkami byli uroczystości, która wspaniałością królewską dorównać miała pamiętnemu przyjęciu w Poznaniu i Gnieźnie cesarza Ottona III.

Zamek gnieźnieński nie mógł starczyć na pomieszczenie ani połowy gości, jacy tu przybyć mieli, chociaż do starych dworców kilka wielkich izb stołowych przybudowano. Reszta ludu i panów pod

namiotami i szałasami nad jeziorem na Jeleniu, na podzamczu obozować miała. Już w połowie kwietnia z Poznania nieustannie szły tu wozy ładowne, a ostatnie miesiące zimy wszyscy łowcy królewscy polowali w lasach, aby mięso na te gody przysposobić dla pospolitego ludu.

Na tysiące liczyć było można spodziewanych gości, którzy wszyscy na koszcie i żywności króla utrzymani być musieli. Nie było to już pierwszą dla Bolesława, bo dwór cesarski także najpiękniejsze poczty pancerników barwionych, co najzwawszy tarczownicy stawać mieli w otoczeniu królewskim.

Siedział jeszcze na arcybiskupiej stolicy gnieźnieńskiej brat Wojciechów, Radzym, mąż świętobliwości wielkiej i ducha tego, co męczennika ożywił, starzec już w latach podeszły, przez króla na równi niemal czczony z tym, którego ciało na wagę złota wykupił. Jemu dano było jakby w imieniu Wojciechowym namaścić skroń królewską i od nikogo innego poświęconego wieńca nie chciał Bolesław przyjąć, tylko z rąk jego.

Na wzór obrzędu, z jakim koronowano cesarzów w Akwizgranie,

duchowieństwo ułożyło ceremoniał przysły. Korona z Rzymu przysłana, włócznia świętego Maurycego, dar cesarza Ottona, w berło oprawna, miecz błogosławiony, który Bolesław zawsze u boku nosił, służyć miał do koronacji. Jabłko dano ukuć z bryły złota niewielkim kunsztem, ale go tylko silna dłoń króla podźwignąć mogła, tak było ciężkie. Ciężkie jak władanie krajem, ciężkie jak odpowiedzialność zań przed Bogiem.

Na kilka dni przed Świętym Wojciechem na gościńcu z Poznania do Gniezna lud płynął tak gęsto, jechało wojsko, szło wozów tyle, iż się przecisnąć było trudno.

Z gości zagranicznych ojciec markgrafównej odmówił przybycia, składając się chorobą. Guncelina przyprowadziła ciekawość. Był tu posłańcem, co miał wypatrzeć wszystko i donieść dalej.

W Niemczech gniewy były srogie, zaciętość niesłychana, potwarze też rodziły się z niej najczarniejsze, nie wierzo w koronę z Rzymu ani w błogosławieństwo, zarzucano Bolesławowi samowolę i zuchwalstwo, bunt przeciwko władzy cesarskiej.

Bolesława mało się to zdawało obchodzić, wiedział, że raz włożona korona, siłą poparta, uznaną być musi i poszanowaną.

Dzień naznaczony, choć kwietniowy, wstał z jasną pogodą i słońcem.

Podwórce, wały, cały obwód zamkowy i łąki dokoła tysiącem ludu były pokryte.

Świątynia gorzała światłami, które grób i ołtarz wielki otaczały, cały blachami złotymi obity, z krzyżem olbrzymim ze szczerego złota, który Bolesław ofiarował.

Droga od zamku do tumu wysłana była sukniem purpurowym. W kościele, naówczas szczupłym, zaledwie dostojnicy i starszyzna pomieścić się mogła, reszta otaczała go, zajmując obszerne podwórce.

Gdy Bolesław, cały złocistą szatą odziany, w płaszczu purpurowym ukazał się w drzwiach dworca, rozległy się tysięczne okrzyki dokoła. Poprzedzał go, otaczał, za nim orszak ogromny, w sobolich kożuchach, w łańcuchach, sadzonych, z mieczami u boku, z laskami w ręku dostojnicy. Za królem szło jego radnych dwunastu, za nimi królowa z niewiastami swymi, w blasku młodości, dumna, wesoła, szczęśliwa... We drzwiach dwu biskupów, Radzym i poznański, powitali Pana błogosławieństwem i wodą święconą i ująwszy go pod ręce, wiedli ku ołtarzowi.

Wstrzymał się jednak Bolesław u grobu Wojciechowego, bo opiece męczennika przypisywał całe powodzenie swoje. Tuż niesiono na poduszkach oznaki władzy: poświęconą koronę, jabłko, berło i miecz, które na ołtarzu złożono.

Rozpoczęły się wśród ciszy modlitwy i śpiewy, a Radzym drżącym głosem przemówił do króla, opowiadając mu o władzy, obowiązkach i ciężarach.

Szły za tym owe uroczyste zapytania i odpowiedzi, ważące

jak przysięgi, i sama przysięga na Ewangelii, i przyjęte modlitwy,

psalmy, aż nareszcie namaszczenie, włożenie korony, oddanie berła, przypasanie miecza, który dobywszy król na cztery świata strony przeszył nim powietrze, i śpiewy rozległy się wesołe, zwycięskie, głośnie. Bolesław siedział już na tronie, spoglądając dumnie dokoła. U wielkiego ołtarza Radzym niekrwawą składał ofiarę.

W czasie mszy jeszcze ciągnęły się modlitwy dziękczynne. Już nabożeństwo ku końcowi się miało, gdy nagle dzień jasny zmienił

się w noc prawie. Czarnymi chmury okryło się słońce, wicher zawył wściekły, sypnęło gradem i ulewą.

Zbladł król siedzący na majestacie, zadrżeli wszyscy, kapłani tylko nie przerwali śpiewu, a Radzym ostatnią odmawiał spokojnie modlitwę. Słysząc było w okna i błony kościelne bijącą burzę, parę błyskawic białych przeszło powietrze, daleki grom rozległ się, długo odbijając i jakby tocząc po okolicy. Na chwilę ziemia, dachy, kielkująca zieloność wiosenna, wszystko okryło się szatą białą, zimową. Na obliczu ukoronowanego mimo męstwa widać było wrażenie tej przestrogi czy groźby niebieskiej. Czas jakiś nie ustawał wicher, zdając się wysilać na dach świątyni i jej ściany, które smagał i oblewał mroźnymi falami. Ostatnia modlitwa była skończoną, gdy burza gwałtowna z wolna uchodzić zaczęła. Niekiedy jeszcze ostatni szturm przypuszczała do świątyni i bezsilna, omdlała, zmieniła się w wiatr słaby, który zdarł

z niebios opony. Zza oszarpanych obłoków poczynał błękit przeglądać, ulatujące chmury zmieniły barwę i zbieleły, złocąc się promieniami słońca. Coraz szerzej ukazywał się lazur pogodny, coraz bardziej rozrywały się chmury i słońce w całym majestacie swoim ukazało się zwycięskie, w mgnieniu oka roztopiając białe krupy, którymi okryta była ziemia, susząc zmokłe pola i przynosząc ciepło wiosenne.

Tym słońca promieniem zdała się na nowo jaśnieć i twarz królewska, na którą wróciła pogoda i

zwycięski wyraz spokoju. Bolesław podniósł ukoronowaną głowę, aby natychmiast, wstawszy, unieść ją jeszcze przed ołtarzem i u trumny męczennika.

Gdy król, przeprowadzany przez duchowieństwo, ruszył nazad do drzwi

kościół, w podwórcach ozwały się trąby, rogi i wołanie wielkie, radosne. Całe zastępy pancerników, miecze dobywszy, stały jakby w obronie ukoronowanego.

Dzień to był wielkiego zwycięstwa po upokorzeniu wielkim i przeciągnionym długo, zwycięstwa odniesionego nad cesarstwem, wyzwania jakby i wypowiedzenia mu wojny. W tych tłumach, co było Niemcom przyjaznego, przez nich wysłanego, gryzło wargi i bladło gniewem tłumionym. Guncelin we zbroi wspaniałej, cały świecący od złota i klejnotów, szedł posępny w orszaku, nie umiejąc ukryć srogiego rozżalenia. Przepych ten niezmierny, seciny wojska, zbrojny lud, potęga nowego króla, jadły mu serce. Pomiędzy duchowieństwem nieznaczące miejsce zajmując, jakby się od oczu ukrywał, sunął się ksiądz Petrek z pokorą udaną i przejęciem kłamanym. I jego pierś ścisnęła się pod wrażeniem tego dnia uroczystego, zdającego się zwiastować dalszy szereg dni wielkości i potęgi. Niekiedy okiem i wejrzeniem bojaźliwym rzucił po tych tłumach, sięgnął daleko i wnet, jak oślepiony, wzrok na ziemię upuszczał. Czuł się zwyciężonym, gorycz mu zalewała usta i paliła wargi.

Twarz opata Arona, który był też w orszaku duchownych, otoczony mnichami swojego zakonu, nie zmieniła się wcale, nie widać było na niej ani uczucia tryumfu, ani obawy. Zawsze jeden, nie poruszony, spoglądał tylko na króla, jakby czytać chciał w twarzy jego. Ani burza nie uczyniła go trwożnym, ni słońce mu dało weselsze oblicze. Nie można było w nim poznać ni domyśleć się tego, którego sprawą i prawie wyłącznym owocem trudu był dzień dzisiejszy. Modlił się ze spokojem człowieka, dla którego wszystko, co świat dać i odjąć może, obojętnym się stało, spodziewanym i zwyczajnym. Wzrok księdza Petrka, ilekroć padł nań, zaogniał się, białka zdawały krwią zachodzić, oddychał ciężiej, piersi miał zemsty i nienawiści pełne.

Na dworcu wnet otoczyli króla wszyscy, niosąc mu dary i życzenia. Tu poznać było można, jak ten surowy i gwałtowny często król umiłowany był przez wszystkich. Wojacy szczególnie, którym w obozie był starszym bratem, zbliżali się doń jak do towarzysza broni, przejęci i poruszeni. Bolesław miał dla każdego uśmiech i wesole słowo.

Dnia tego królowa jedna była nieco zapomnianą, lecz twarzą wesołą kłamała uszczęśliwienie wielkie, czekając swej chwili. Jakoż król w ostatku do niej się zwrócił, a była dnia tego taką krasą przyobleczoną, że oczy wszystkich oderwać się od niej nie mogły. Siedzenie jej zgotowanym było przy królewskim.

U tegoż stołu cała zasiadała rodzina, dumna Ryksa, której piękność poważna o lepszą szła z zalotną Odą, Mieszko, Bezprym nawet, i w sukni duchownej skromny i pokorny Dobromir, syn Bolesława, który w Trzemesznie po dobrej woli z mnichami razem przemieszkiwał, a był tak szczęśliwy, że innego życia nie pragnął. Wziął on po matce i rysy twarzy, i przymioty duszy, pokorę, pobożność a łagodność.

Kochał go król, ale sercem litościwym tylko. Cóż mu było po synu, który orężem władać ani chciał, ani umiał?

Bezprym i Mieszko, których stół rozdzielał, siedzieli, niekiedy spoglądając ku sobie groźnymi oczyma; braterską w nich widać było nienawiść, od miłości braterskiej trwalszą.

Bezprym mierzył czasem oczyma Ryksę, czasem uśmiechał się do Ody. U

tegoż stołu dano miejsce starszyźnie duchownej i Guncelinowi, który na próżno usiłował udać wesołość. Król też nie patrzył na niego. Dnia tego zamknięty był w sobie.

Przepowiednia niebios ciążyła nad nim, słońce, co przyświecało pochodowi, burza i ciemność, która obrzęd zakończyła, powrót światłości i pogody.

Duchowieństwo nawet skłonne było w zjawiskach takich upatrywać, jak we wszystkim, znaki i przestrogi boże. Wierzyli w nieustanne mieszanie się potęg niebieskich w sprawy człowieka najpobożniejsi ludzie. Żadna czynność ważniejsza nie spełniła się bez zwiastowania jej znaczenia, bez upomnienia, bez groźby lub pociechy z góry. Burza też ta na umysłach pobożnych zostawiła wrażenie głębokie i pocieszano się tym tylko, że po niej znowu wróciło jasne słońce.

Gwarna biesiada przeciągała się bardzo długo, nie tylko na dworcu, lecz w przybudowanych izbach stołowych, pod namiotami, a dla pospolitego ludu pod gołym niebem. Ktokolwiek przyszedł dnia tego, został nakarmiony i napojony, nie odpychano nikogo, nawet najędzniejszego żebraka.

W jednej tylko oddalonej izbie na grodzie, której drzwi stały nie zamknięte otworem, radości ani biesiady, ni życia nie było. Zajmował ją od lat wielu oślepy Odyłon. W przededniu przybycia króla Stoigniew, obawiając się, aby zuchwalstwem swym uroczystego nie zamieszał obrzędu, zmuszonym był zamknąć go i straż postawić. Starzec zagniewany, oszalały, który wiedział, co się na grodzie gotuje, z gniewu i boleści miotając się zamknięty i bijąc o drzwi i ściany na próżno, padł

nareszcie dobity rozpaczą i konał.

Rankiem Stoigniew, któremu znać dano, przyszedł opatrzyć trupa; znalazł go skostniałym. Leżał na wznak z piersią obnażoną, z brodą rozwianą, z usty otwartymi, jakby w szyderskim ostatni raz rozdarły się uśmiechu, z pięściami zaciśniętymi, a u nóg jego chłopię, co go wodziło, skulone płakało rzewnie. W pustej izbie nie było więcej nikogo, na progu szczebiotały wróble, zbierając rozsypane chleba prószyny.

Niedaleko stąd rozlegało się wesele, tu była cisza śmierci i pustka niedoli...

Z tych gromad, które zamek przepelniały, niekiedy zbłąkał się człowiek jaki przypadkiem pod drzwi półotwarte, zajrzał w głąb, stanął przestraszony, popatrzał na starca, którego ciało zsiniałe czekało pogrzebu, na zachodzące się z płaczu chłopię

— i uszedł.

Gdy od stołów ruszać się poczęto, a wstawał, kto chciał, aby się zbliżyć do innych, podniósł się też Guncelin, bo mu tu ciężko było oddychać. Pił wiele, aby zalać gniew, i jakby oliwy do ognia dolewał, palił go on coraz mocniej. Sam nie wiedział prawie, jak się znalazł we drzwiach otwartych, aby powietrzem chłodniejszym odetchnąć, szedł tak rozmarzony, że psów płaczących mu się pod

nogami nie widział i kilka razy, skowyczeniem ich dopiero ostrzeżony, opędnąć się im musiał.

Już wychodził, gdy na progu nastęczyła mu się twarz znajoma. Stał przed nim ze skrzywionymi usty, sfałdowanymi dziwacznie, ksiądz Petrek. Znali się z sobą dobrze. Porozumieli się oczyma i wyszli w podwórze, ale i tu wrzawa mówić nie dawała, a ludu kręciły się gromadki wesole. Posunęli się dalej milczący, a idąc tak, coraz spoglądali na siebie, mówiąc oczyma, bo nie śmieli ustami. Guncelin pogardliwą twarz przybrał, Petrek — szyderską.

— Cesarski przepych! Niewidziana wspaniałość! Wielki pan nasz! — odezwał

się tak, iż rozpoznać było trudno, czy urągał się, czy podziwiał; czy szczerym był, czy obłudnym.

— Dzień uroczysty! Dzień wesela i zwycięstwa... Żal tylko, że Bóg go napiętnował groźbą i przestrogą. Słyszeliście tę burzę, co nasze pieśni zagłuszyła?

Guncelin głową tylko dał znak.

— Takie zjawiska nie przychodzą nadaremnie! Palec boży! Palec boży! —

mówił ksiądz Petrek, wzdychając. — Żal mi naszego Miłościwego Pana. Patrzałem nań, gdy grom się dał słyszeć, zbladł i zadrżał. Był to głos boży! Tak, wszyscy uczeni, iż to było wołanie z niebios do upamiętania.

— Ale po tej grozie — odparł Guncelin półgłosem — wróciło słońce i pogoda.

— Burza była straszna — przerwał ksiądz Petrek, jakby w burzę wierzył tylko.

Szli tak, unikając tłumów, coraz dalej, jakby przejść się chcieli tylko. Za ścianą dworu dopiero Guncelin stanął, ręką wskazał w stronę komnat królewskich i rzekł cicho:

— Kruche to wszystko budowanie. Nie potrwa.

Uśmiechnął się Petrek.

— Co najdłużej do końca żywota mniemanego króla. Siedzieliście, Miłościwy Grafie, u jednego stołu z Mieszkiem i Bezprymem, musieliście widzieć, jak się jedli oczyma. Tak się jeść oni będą o pierworodztwo i koronę. Patrzaliście na śliczną królowę Odę, i tej Pan Bóg da potomstwo... Cesarstwo ma tu sprzymierzeńców, a nie ma nikogo, co by miał moc walczenia z nim... Te-mu jednemu dana była potęga, aby skruszoną została... i w proch się rozsypała...

Mówił ksiądz Petrek, gdy właśnie u drzwi półotwartych stanęli, za którymi leżał trup Odyłona. Płaczące chłopię widać było. Ksiądz zajrzał i cofnął się, ręce łamiąc. Bładością twarz mu się i tak żółkła okryła.

— A toż nie jest znak prawicy bożej, która śmierć zsyła na przestrogę wśród wesela?

Guncelin zajrzał.

— Żebrak jakiś! — rzekł.

— Bratanek pański, któremu on wyłupić kazał oczy — porywczo począł

Petrek. — Znałem go, Odylon się nazywał. Ile razy król miał przybyć do Gniezna, czuł swego wroga i wychodził przeciw niemu z przekleństwem. Dziś go ono zadławiło.

Milczący zatrzymali się czas jakiś, patrząc na leżącego trupa. Widok to był

nadto przykry, by długo ścierpieć go mogli, odeszli, wracając ku pełnym podwórcom.

— Wszystko to nie na długo — przebąknął Guncelin. — Młoda niewiasta dla zmęczonego żywotem człowieka — trucizną. Słodki jad z ust jej śmierć zaszczepli...

Oczy mu się do niej palą...

Potwierdził Petrek.

— I ja tak mniemam. Kruche i wątłe to budowanie. Trzeba stać na straży, aby w chwili potrzebnej być na stanowisku. Zawre tu walką, zawre wojną, ledwie mu się zamkną oczy. Oszukano Ojca Świętego, papieża, uwiedzione go — mówił dalej —

zapewniły go przewrotne mnichy, że cesarz dał swe zezwolenie. Inaczej by Benedykt nie posłał tej korony. Kraść ją musieli złoczyńcy! Opat Aron był duszą wszystkiego.

Powiedzcie o tym. Cesarz Henryk szanuje tych przewrotnych zakonników, w Kluniaku na ołtarzu złożył jabłko, które mu papież ofiarował, obsypuje ich darami.

Tak mu się wywdzięczają. Oni tu wszystkim, krajem zawładli, zakładają co dzień klasztory, mnoży się ich liczba, zapanują. Biskupów objęli, otoczyli, u króla pierwsi, a cesarstwu nieprzjaźni.

Słuchał Guncelin z uwagą.

— Pobożny pan nasz, cesarz Henryk, i małżonka jego Kunigunda nie dają sobie na nich rzec słowa. Oni też dwoje żyją z sobą obyczajem niemal zakonnym —

rzekł, uśmiechając się, Guncelin. — Świętobliwy to pan, ale nie do miecza cesarskiego stworzony, dlatego lada słowiański panek pod nosem mu przywdziewa koronę bezkarnie.

Głową potakiwał Petrek, nie śmiejąc ustami, gdyż cześć miał zbyt wielką dla dostojęstwa cesarskiego, by rzec co śmiał przeciwko niemu. Westchnienie tylko z ust mu się wyrwało.

Z tysiąca takich obrazów składał się jeden wielki dnia tego. Obok wesela i tryumfu snuła się troska i warzyły bezsilne gniewy, ale te ukrywać się i taić musiały.

U stołu pańskiego dwaj powołani Jaksowie sprawiali służbę podczaszych, a ile razy który z nich kubek panu podawał, uśmiechał mu się Bolesław. Drożsi mu teraz byli niż przedtem, jako te owieczki

zblakane, które do stada wróciły.

I nie jeden dzień, ale całe siedem ucztowano tak w Gnieźnie, przy zawsze pełnych stołach, a coraz weselszej myśli. Skarbiec pański stał otworem, bo każdy odjeżdżający, co przybywał pożegnać, obdarzonym być musiał wedle stanu i dostojęstwa.

Już się miały ku końcowi uczyty, a król do Poznania zabierał się powracać, gdy jednego wieczora wezwano księdza Petrka do opata. Ani wątpił, iż gdy wszystkich za wierne służby i dla pamięci dnia tego obdarzono, on także miał otrzymać dowód szczodroblewości króla. Wiadomo było wszystkim, że przez ręce opata Arona szły ofiary dla duchownych, nadania klasztorom i podarki.

Zastał przełożonego swojego w obszernej izbie na tumie, której stoły założone były kosztownymi sprzętami, złotymi i srebrnymi naczyniami i sztabami złota, przeznaczonymi do kościołów, kilka kart, na których spisane były nadania dla duchowieństwa ziem i osad, leżały też przygotowane. Opat przywitał go twarzą, jaką miał zawsze.

— Wezwałem was, ojcze — odezwał się — abym wam w imieniu króla

podziękował za usługi, jakieście mu oddali. Przeznaczono wam tę ilość złota w nagrodę i — wszystkie koszta podróży. Ostatnie wyrazy zdawały się tak niezrozumiałe księdzu pisarzowi, iż zapytał:

— Podróży?... Jakiej podróży?

Opat chwilę pomilczał.

— Miły ojcze — rzekł w końcu — sądzę, że wam będzie przyjemniej

powrócić do Magdeburga, do przyjaciół waszych, niżeli tu dłużej zostawać.

Książ Petrek pobladł.

— Nie przeczę — odezwał się głosem drżącym — iż mam przyjaznych w Magdeburgu duchownych, lecz sąż już moje usługi tu niepotrzebne lub miałaby wierność moja dla króla być podejrzaną?

Uśmiechnął się opat.

— Ojcze mój — odezwał się spokojnie — nie podejrzewaliśmy was nigdy, wiedzieliśmy od początku, komu służycie i wiarę trzymacie. Zostawiliśmy was na urządzie tylko dlatego, iż woleliśmy mieć na nim osobę, której wiedzieliśmy, że się strzec mamy, niżeli się obawiać nieznanego. Dziś, gdy król koronę otrzymał, gdy wszystko odkryte, po cóż byście dużej pozostawać mieli? Co byście im donosili?

W miarę jak Aron mówił, stojący Petrek bladł coraz bardziej, drżał i o ścianę oprzeć się musiał, by nie paść.

— Potwarze to są wrogów moich! — zawołał. — Ale Bogu ofiaruję

niesprawiedliwe posądzenie. On niech nas sędzi.

To mówiąc, w piersi się uderzył.

Opat Aron, jak gdyby na stole szukał, co dla księdza Petrka było

przeznaczone, karty usuwał i przestawiał nagromadzone dary, nie słuchając odpowiedzi. Z głębi wyjął woreczek, rozwiązał go i wyjąwszy zeń zwitki, które pod drzewem Jaksowie odkopali, nic nie mówiąc na dłoni je podał protonotariuszowi.

Oczy jego padły tylko na nie, ciężki oddech dobył się z piersi — odpowiedzi nie było. Dowód zdrady był nieodparty. Nierychło począł pisarz bełkotać:

— W sumieniu czysty jestem... służyłem Kościołowi i cesarstwu, którym wierność winienem. Jeśli kto zdrajcą, to ci, których pobożny pan łaskami obsypuje, a ci przeciw niemu się zmawiają.

Opat wzgardził odpowiedzią.

— Konie i służba gotowe dla was — rzekł — zabierzcie złoto. Choćście chcieli, nie mogliście nam zła uczynić, a praca była pożyteczną, więc płaca wam należy.

To mówiąc, opat posunął złota bryłę i głową skinął na pożegnanie, ksiądz Petrek zagarnął w pojędatek i oddalił się w milczeniu.

Rozdział 9.

EPILOG

Lat kilka upłynęło od koronacji króla w ciszy niemal i pokoju. Rzadko na granicach ucierać się było potrzeba. Bolesław mógł owocem trudów swoich używać spokojny, lecz z każdym rokiem siwiał włos na skroni, więcej marszczkami orało się czoło — wielki król posepniał i smutniał.

Proroczym wzrokiem snadź przyszłość gotującą się przeglądał.

Małżeństwo z Odą, które ożywiło i opromieniło dni jego na czas krótki, zaczynało ciężyc i niepokoić. Młoda niewiasta płochą była i miłowała rozrywki, król poważniał i śmiech mu nie był do twarzy.

Szczęście owo wyczerpywało siły, rodziło tęsknotę; przypominały się

szczęśliwe dni pożycia z nieboszczką królową Emnildą do której Oda wcale nie była podobną. Próżna, dumna, rozmiłowana w piękności swej, dla której szukała wielbicieli, myślała tylko o tym, by występować z przepychem i otoczyć się wrzawą.

Z kolei ulubieńców na dworze wybierała i odpychała, a gdy król marszczył się i zzymał, jątrzyła go, okazując tym większą wesołość i lekceważenie.

Między nią a poważną i surową Ryksą, choć nie wybuchały spory, walka była ciągła. Siostrzenica cesarska nie dawała ani uchybić sobie, ani się zepchnąć z należnego stanowiska. Oda usiłowała co dzień jej dać uczuć, że ona tu była królową.

Dwie niewiasty nie mówiły prawie do siebie, nie spotykały się, tylko publicznie, a gdy wzrok ich się skrzyżował, zdawały wyzywać wzajemnie. Tak samo Mieszka nienawidziła Oda, gotowa przeciwko niemu stawić Bezpryma. Królowi, znając słabości jego, nieustannie poddawała dowody przeciwko Mieszkowi, jako był

nieudolnym i bezwolnym, sławiąc drugiego z mocy i odwagi. Lecz król milczał i na niewieście szczebiotanie nie obracał uwagi. Gniewało to królowę, a starań nie porzucała, pewną będąc, że słowa jej powoli Bolesława zmienią i nawrócą.

Król, przeciwnie, z wielkiej owej namiętności dla markgrafówniej coraz bardziej ostygł i obojętniał dla niej. Oddalał się od niej i nie zwierzał z myśli swych.

Gniewała się Oda, wyrzucając mu, że ją wziął jak niewolnicę do łoża, nie jako królowę do boku, a Bolesław niemal potakująco się uśmiechał. Tak płynęły dni coraz cięższe.

Król też więcej teraz niż kiedykolwiek zajmował się jakby zabezpieczeniem przyszłości. Ustanawiał strażę po zamkach na granicach, Mieszka wysyłał na oglądanie ich, troskał się o rzecz najmniejszą, ogłaszał rozkazy, wpajał miłość sprawiedliwości. Za młodszych dni bohater na polu wojny, chciał być prawodawcą i gospodarzem w podeszlejszym wieku. Najuboższy lud pierwszy u niego miał

posłuchanie, najmniejsza krzywda mu wyrządzona więcej go obchodziła niż spory o szerokie ziemie i lasy pomiędzy

rycerstwem.

Okazując miłość dla Bezpryma i o los jego troskliwość, nie spuszczał król z oka Mieszka, przy każdej zręczności powołując go do boku i głosząc następcą swoim, tak aby wola jego najmniejszej nie ulegała wątpliwości. Bezprym, na oko posłuszny, zatajał myśli swe i — czekał.

To nieustanne zajęcie, podróże po granicach, sądy, łowy, gościna i przyjęcia trzymały króla na pozór w dawnej sile, ale ci, co go otaczali, widzieli jawnie, iż nie tym już był, co niegdyś. Na konia ciężko mu siadać było, myśl wesola przy biesiadzie przyszła rzadko, stary Zyg próżno się go starał rozchmurzyć. Królowa strojna i jaśniejąca wdziękami nie ściągała wejrzenia. Czasem ktoś ze starych towarzyszków, gdy przybył z pokłonem i powieścią o wyprawach dawnych, trochę mu rozjaśnił czoło. Żył tylko przeszłością, a o przyszłości myślał jednej. Gdy z opatem był sam, pytał go co dzień niemal:

— Ostoż się dzieło moje? — Ma-li Mieszko siłę? Rycerz jest mężny, ale czy królem być potrafi

Pocieszał go Aron, ale często bardzo, gdy król się przed nim otworzył, ze zdumieniem widział w nim zwątpienie wielkie i jakby widzenie przyszłości groźnej.

Od koronacji niemal poczęło się to powolne dożywanie żywota i gotowanie się do zgonu, którego sama myśl wszystkich przerażała. Bolesław widział, jaką duchowieństwo było siłą naówczas i jaką spójnią dla nowego państwa, więc im Mieszek słabszym mu się wydawał, tym silniejszymi chciał mieć tych stróżów i obrońców kraju. Nadania mnożyły się, rosła klasztorów liczba i biskupstw, wiązał się z Zachodem i Kościołem powszechnym, by opierając na nim, od cesarstwa być swobodnym.

Zarazem jednak bystry wzrok jego widział na własnym dworze dosięgające go wpływy tej władzy, której uznawać nie chciał, na równi się z nią stawiając. Dwór Ryksy cały był z Niemców złożony, Mieszko też do nich nawykał i w nich się lubował, niektórzy się kręcili około Bezpryma, inni otaczali Odę. Mimo starań wszelkich wszystko, co się działo w Poznaniu, odbijało się za Łabą i tętniało po cesarskich pałacach.

Polańscy żupanowie i rycerstwo, których Bolesław pociągał ku sobie i miłował, łaski u Mieszka nie mieli. Naprawiać to chciał król, dając synowi ludzi sobie miłych, lecz z tymi on zimno się obchodził. Pasowany niegdyś rycerzem przez cesarza, Mieszko lgnął do obyczaju niemieckiego i Zachód mu się uśmiechał tak jak Ryksie.

W końcu drugiego roku zasłabł król. Nie była to choroba — sił mu brakło, życie uchodziło, wyczerpywało się, sam czuł, że gasnął powoli. Nie ogarniał go strach o siebie, lecz o państwo tylko. Śmierć jako spoczynek była dlań upragnioną, nękała go troska wielka o przyszłość. I pytał opata ciągle zadumany:

— Ostoi się dzieło moje?

Czując się już słabym, król przypominał, jako po śmierci Mieszka sam się został, zmuszony dobijać zwierzchnictwa, które mu należało; chciał, by wszyscy wiedzieli wolę jego ostatnią.

Była znowu wiosna i świat stał w majowych szatach, gdy na niebiosach jednej nocy zdumiony lud, przerażone duchowieństwo ujrzało wschodzącą wielką gwiazdę nie znaną, od której ognista jakby miotła sterczała. Zjawisko to zwiastowało naówczas i klęskę, a duchowni po cichu opowiadali, iż zwykło się było okazywać jako oznajmienie o zgonie mocarzy. Chrześcijanie biegli do kościołów, reszta pogan na uroczyskach składała ofiary, błagając bogów o odwrócenie klęski.

Gdy król ujrzał tę gwiazdę na niebiosach, drugiego dnia rozesłał gońców do władyków i przedniejszych panów, do rady i wodzów, ażeby się do Gniezna zbierali.

Jednemu opatowi Aronowi wiadomym było, co ów wielki wiec miał znaczyć, za jego bowiem radą i przyłożeniem się król zjazd zwoływał. Czuł się już co dzień słabszym, oczy mu wpadały, jakby je siła jakaś do wnętrza wciągała, policzki wychudły, ręka drżała, gdy był spokojnym. W gniewie tylko odzyskiwał moc dawną, lecz gdy ten minął, opadał więcej niż zwykle.

Nie było innego lekarza nad Włocha, benedyktyna, który coś chwycił z salemitańskiej mądrości; tego sprowadzono, aby radził i dawał królowi leki z ziół, które sam przyrządzał; te chwilowo zaledwie nieco go pokrzepiały. I jak po gniewie, tak po nich słabł Bolesław więcej.

Gdy na dzień zjazdu udać się miał do Gniezna, przywieziono mu wiernego konia; zaśmiało się do niego oko pańskie i z pomocą dwu komorników dosiadł go rażno, lecz trzy zaledwie mile ujechawszy, spoczywać musiał.

Obok króla, który jechał dworem wielkim, znajdował się Mieszko; nie było przykazania dla Bezpryma, który się zżymał. Ze wspaniałością ruszono do starego grodu, gdzie już zgromadzonych gości Stoigniew od dwu dni przyjmował.

Spodziewano się uroczystości wielkiej, o której zawczasu różne wieści chodziły. Mówiono nawet, że za żywota rządu chciał zdać na Mieszka i kazać go koronować, aby mógł się przypatrzeć, jak rządzić będzie.

Pierwszego wieczora, choć podróżą zmęczony, odżył Bolesław wśród swoich i zasiadł do wieczornej uczy jak za lepszych czasów, ciesząc się, śmiejąc, a kubki kazać napełniać, ale gdy legł, uczuł się ciężkim. Na następny dzień wstał słabszym, dopóki mnich będący u jego boku napoju z ziołami wzmacniającymi mu nie dał.

Wszyscy tedy i król sam w poczcie wspaniałym, koronę wdziawszy, z berłem w ręku, miecz wielki kazać nieść przed sobą, udał się do katedry, u której drzwi duchowieństwo nań czekało. Arcybiskup mszę świętą odprawiał, której Bolesław u grobu męczennika klęcząc słuchał.

Gdy się nabożeństwo ukończyło, poprowadzono króla do tronu, stanął na stopniach jego Mieszko, niżej dostojnicy i dwunastu panów rady, cisza wielka się stała, aż przemówił pan. Mówił jako namaszczony władca, iż czując się zgonu bliskim, chce, aby królestwo zamieszany nie było i aby pod jednym zostawało panem, którym Mieszko był wyznaczony. Prosił o wierność synowi a posłuszeństwo należne, zalecając mu, aby sprawiedliwie i pobożnie rządził, ubogi lud otaczał

opieką, krzywd jego nie cierpiał, czujnie granic bronił, nieprzyjaciela odganiał i co krwią swoją i

ludu on zjednoczył trudem wielkim, w całości utrzymał.

Słyszając te słabnącym głosem wymawiane wyrazy, starsi niemal płakać zaczęli, a gdy król prosił ich, by stali przy synu jego, okrzyknęli jako jeden mąż, przyrzekając wierność i poszanowanie. Mieszko, pokłękawszy, ucałował rękę ojcowską, a duchowni do ołtarza szli i hymn dziękczynny zanucili.

Tak się skończył dzień uroczysty ucztą smutną niemal, bo król pod wieczór zasłabł i owładnął nim strach jakiś nagłego zgonu, a chciał w Poznaniu jak ojciec umierać i leżeć obok niego. I gdy zebrani ucztowali, odszedł król zawczasu, Mieszka im jako pana w swoim miejscu zestawu jąc, który posępnie i nieochoczo z gośćmi się zabawiał. Pan był męstwa wielkiego i obyczajów gładkich, lecz serca nie miał do rycerstwa swojego ani ono do niego i starzy w nim rubasznego ojca, jak w Bolesławie, nie znajdowali. Niektórzy nań z dala już wówczas patrząc, Niemcem go przezywali. Nie było więc wczorajszej u stołu ochoty, a stary król legł na pościeli.

Gdy nazajutrz rano konia Bolesławowi przywiedziono, a siadać nań miał, ledwie się dźwignął, uśmiechem swoich pozdrowił i jakby pożegnał. Patrzali nań wszyscy niemal ze łzami i wiedli go okrzykami za okopy, niektórzy u konia idąc, nogi mu i kraj szaty całując.

Trzeciego dnia dopiero, wolno jadąc, stanął król nad Cybiną. Tu zsiadłszy u dworca, wprost na łożo poszedł, znużonym się czując nad miarę. Stał u wezglowia opat i Sieciech stary, Bolesław spojrzął na nich.

— Gdzie to te czasy, mili moi, gdym ja trzy dni i nocy z konia nie zsiadając, nie zrzucając zbroi, ledwie kawałem mięsa i kubkiem kwaśnego piwa grzeszne ciało pokrzepił, a czułem się silnym i ręka mi nie zadrżała.

Zamilczeli wierni towarzysze. Weszła królowa z wesołością na twarzy, ale ją odprawił nazad, mówiąc, że spoczywać miał. Od tego dnia nie wstał król i mimo rad a leków mnicha gorzej się czuł coraz, wiedząc, że śmierć nadchodzi.

Trwoga ogarnęła jednych, niepokój drugich, niecierpliwość innych, zawrzało na grodzie. Gromadka wiernych już łoża królewskiego nie opuszczała. Przybył z Gniezna Stoigniew, siedział opat nieodstępnie, służył Sieciech. Kiedy niekiedy wsunął się i Bezprym, popatrział, a nie otrzymawszy słowa odchodził. Królowę też Odę przyjmował Bolesław milczeniem obojętnym, co ją niemal do gniewu pobudzało, bo smutną być nie umiała. Smutek jej w złość się obracał.

Dnia 15 czerwca król chwilami przytomnym był, a niekiedy tak mówił

dziwnie, jak gdyby snem jakimś i marzeniem był napastowany. Słuchali przytomni z trwogą i podziwieniem. Nie mówił bowiem o niczym, tylko o wojnie, obronie kraju, o sprawiedliwości i tym, co w życiu dawniej go zaprzętało. I mowa ta chorego zdawała się silniejszą a piękniejszą, niż gdy całe był zdrowym. Szeptem się ona kończyła i snem głębokim, w czasie i którego stali wszyscy nie poruszeni, niemi, nie śmiejąc tchnąć, a nie mogąc go opuścić.

I w dniu następnym, choć słabszy, Bolesław poznawał wszystkich, mówił

przytomnie, z duchownymi o sumieniu swym radził, wziął ostatnie

błogosławieństwo, a potem znowu półsenny mrucał za ledwie zrozumiałymi wyrazy.

Nikt już nie miał najmniejszej nadziei. We dworze panował niepokój większy coraz. Oda, której król słusznie opisał wiano, po cichu skarby swe zbierać i ściągać nakazała. Oczyma suchymi patrzyła na małżonka, nie żałowała go wielce, ale gniewała się nań, że umierał, zawód jej czyniąc.

Trzeciego dnia zbudził się król rzeźwiejszym. Był to niemal cud; zażądał

napoju, mnich mu podał lek ów wzmacniający, lecz ten mu już obrzydł, frankońskiego wina zapragnął bez żadnej przymieszki i zaprawy. Dano mu go, napił

się chciwie i orzeźwiał. Podano mięso, wziął je do ust, pożuł i wyrzucił. Radowali się niektórzy, mówiąc mu, iż zdrowie powraca, on im odpowiedział, że śmierć nadchodzi... Jakoż ku wieczorowi dnia 17 czerwca znowu przysły sny i widzenia.

Strwożyli się ci, co słuchali.

Drzwi sypialni były zamknięte, nakazał król słabym głosem, ażeby je otwarto i żeby wszyscy, ktokolwiek zapragnie pożegnać pana swojego, był przypuszczonym.

Biegła więc służba, dając znać po grodzie, i kto chciał, cisnął się do królewskiego łóża. Stali już około niego Oda królowa, Mieszko z Ryksą i małym Kazimierzem, Dobromir i Bezprym, dwunastu panów rady i wojewodów okalało go. Sieciechowi kazał pytać, czyliby kto nie miał doń żalu i prośby. Przystępowali niektórzy, ale tylko z bólem i płaczem. Przypominając innych, powoływał sam i jeszcze ich obdarzał.

Widząc zgon nadchodzący, z płaczem się odezwał Sieciech aby wydał król rozkazanie, jak chciał i gdzie by go pochować miano, ile dni obrzęd miał trwać i jaką żałobę wdziać polecał.

— Nie troszczę się, jak i gdzie mnie położycie, zdaję to na miłość waszą. Z

ojcem spocząć chcę. Uczcijcie mnie lepiej niż pogrzebem spełnieniem myśli i pragnienia mojego około tego państwa, którem życiem moim budowałem, krwią lepiłem...

niech nie odejdzie od potomstwa korona, niech kwitnie i rośnie, co zasiałem!

Zawołali wszyscy, iż życie też dla rodu jego państwa dać są gotowi, a wołanie powstało wielkie, wśród którego: ojciec i pan nasz — brzmiało.

Gdy się uciszyło, król oczy miał zamknięte; wśród ciszy ci, co bliżej stali, słyszeli tylko, jak mówił jeszcze:

— Widzę... widzę przyszłą kraju tego dolę... Stoi ona przed oczyma moimi...

Duch mój przegląda przyszłość... Kwitnącym go zostawiam i spokojnym, niezgoda i waśń rozerwą go

i zakłóca... Krwi wiele, drogiej krwi wytoczy się w wojnach bratnich... przyjdą klęski srogie, wrogowie najdą i spustoszą. Ród mój i potomstwo widzę wygnane, z pokorą przytułku żebrzące u obcych, u nieprzyjaciół, którychem miał pod nogami moimi... Rozszarpią oni państwo... upadną krzyże, opustoszeją świątynie pańskie, swawolne kupy rozpustują na gruzach... krew i mord! Płomień i zgliszczą...!

Ręką król oczy zasłonił.

— Gdybym nie miał umierać — jęknął — widzenie to by mnie dobiło.

Umilkł na chwilę i uśmiech mu wszedł na usta.

— Wschodzi nowa jutrzienka! Słyszę śpiew radosny i witanie! Ród mój

powraca, pokój z nim i boże błogosławieństwo... Spokojnym umieram.

To mówiąc, westchnął, ręka opadła, otworzył oczy, wzywając duchownych, co go otaczali, i o modlitwy prosił, klękli wszyscy u łoża... Usta mu się poruszały jeszcze chwilę, potem z wolna przymknęły powieki, twarz blednąc zaczęła, otwarły wargi, uleciała dusza z oddechem ostatnim.

Krzyk przerażający, którym zamek, gród i miasto rozległo się całe, dał się słyszeć.

Król nie żył...

Z wielką wspaniałością, jaka przystała królewskim zwłokom, złożono ciało Bolesławowe obok króla na tumie w Poznaniu. Zbiegł się kraj cały na pogrzeb tego, który dwadzieścia pięć lat ciężkiego trudu poświęcił stworzeniu państwa, wprzód duchem ujętego, niżeli ciałem jednym się stało. Ze starych kronik, których karty zachowały podania owych czasów, wiemy, jak powszechny żal był po Bolesławie.

„Przez cały rok — pisze Gallus — nikt w Polsce biesiady nie sprawiał, nikt ze szlachty, mężczyzna ani białogłowa, strojnej nie przywdział szaty, żadnych okrzyków ani dźwięku gęśli w gospodach, ani piosnek dziewczęcych i wesołości na ulicach słyszeć nie było. Wszyscy przez rok tak się zachowywali, ale płacz po Bolesławie mężów szlachetnych i kobiet nie skończył się, aż z ich życiem. Ze zgonem jego pokój, wesele, obfitość na długo z Polski ustąpiły.”

**

O losach dwu braci Jaksów niewiele dopowiedzieć nam pozostaje.

Z ciężkiej próby życia w młodości wyszli oni gorzkim doświadczeniem

zahartowani, zbrojni męstwem i umysłu stałością. Wyrośli na mężów godnych zacnych przodków swoich. Andruszka, który płacąc przywiązanie Greczynki, wkrótce ją zaślubił, niedługo domowego pilnował ogniska, w drugim roku zachorzała i zmarła mu żona, a owdowiawszy, nie chciał już w powtórne wchodzić śluby. Życie mu też spokojne na wsi nie smakowało, puścił Jurdze Gródek Zielony, a sam powrócił do pancernych, do życia wojskowego, do którego był nawyknięty. W

kraju, zewsząd zagrożonym wojną, rąk dzielnych było potrzeba.

Jurga, ożeniony wkrótce z Teodorą, córką Sieciecha, osiadł w Jaksowych Borach, ale i ten, choć szczęśliwy doma, ziemianinem spokojnym długo być nie umiał. Obu rycerski chleb był jedynym, którym wyżyć mogli. Dopóki w kraju ciszej było, siedział przy żonie; zaledwie znać dano o nieprzyjacielu, ruszał w pole, wytrwać nie umiejąc na ławie, gdy inni szli do boju. Zaraz też po śmierci tego, którego imienia postrach trzymał nieprzyjaciół z dala, i po zgonie pobożnego cesarza Henryka, który rokiem wprzód zmarł jeszcze, nowy cesarz Konrad wypowiedział

wojnę sąsiednim plemionom słowiańskim i Polsce, a smutne przepowiednie umierającego aż nadto prędko się sprawdziły.

Oto Bezprym zbiegł naprzód do wuja na Węgry, potem u cesarza poszedł

szukać poparcia praw swoich pierworodztwa. Słabe znalazłszy poparcie na Węgrach, które dla siebie wojować i zawojowywać chciały, w cesarzu zyskał opiekuna. Polska została zewsząd napastowaną, zdobycze Bolesławowe wydzierano jej od granic dalekich. Mieszek z całym męstwem swym — napadom obronić się nie umiał.

Niemcy, z którymi walczyć był zmuszony, opasywali go, wdzierali mu się wpływem i zabiegami w dom jego własny.

Zaraz po zgonie króla opat Aron, który już dawnego zachowania i łaski nie miał u Mieszka, może dlatego, że Bolesław nazbyt mu ufał i umiłował go, ustąpił z dworu, powracając do Tyńca.

Wprędce potem zjawił się ksiądz Petrek na dworze królowej; będąc jej mocno zaleconym, ofiarował swe pisarskie usługi. Na pozór skromne bardzo pełniąc obowiązki, choć czynności jego jawnymi nie były, krzątał się pilnie, służąc tym, którym był duszą i ciałem zaprzędanym. Z jego namowy królowa jeszcze za życia męża z obawy i wzgardy dla Polaków otaczać się zaczęła Niemcami, których dwór co dzień liczył więcej, tak że w końcu sami niemal na nim zostali.

Trudną dla Mieszka była walka z tymi, co w jego radzie i domu mieli

najgorętszych zwolenników i pokątnych donosicieli. Smutne nastały czasy, których brzemienia spadkobierca króla Bolesława podźwignąć nie mógł. W zamęcie co dzień się zwiększającym, wśród klęsk, które każdy dzień przynosił, jasnej myśli do wyjścia zabrakło, troska i boleść resztę przytomności odjęła.

Niesłusznie gnuśnym Mieszka nazwano, lecz nieudolnym był w istocie do utrzymania nawet tego, co ojciec stworzył i zdobył. W gruzy rozsypywało się to dzieło wielkie, a nawet nawrócenie Polski, dwu panowaniami utwierdzone, zachwiało się rozprzężeniem ogólnym. Królowa, chcąc mieć lud za sobą, gdy możnych odepchnęła, wyprawiała mu igrzyska, wśród których stare pogańskie pieśni i obrzędy wracały.

Przysła chwila, gdy po śmierci nieszczęśliwego Mieszka, po ujściu

Kazimierza, nadziei zwycięstwa i środków nie było, kraj cały został przez pogan, wybiegłych z

lasów, zalany. Kościoły burzono, wywracano zamki, chrześcijan mordowano. Oba Jaksowie wrócić musieli na swój grodek bronić mienia ostatka, życia swego i rodziny.

Z garstką wiernej czeladzi i resztką wojska swojego zamknęli się w Jaksowych Borach, gotując do rozpaczliwej obrony. Dnie i noce czuwać musiano nieustannie w niepewności, kiedy te tłumy, co się po całej Polsce na łup i zdobycze puściły, rozpasane, przyjdą pod grodek, ażeby go zrównać z ziemią.

Niemal cały ród Jaksów zgromadził się tu do nich, aby sił rozproszonych nie wystawiać na niebezpieczeństwo. Inne zamki opuszczone stały na łasce bożej, tylko Jaksowych Borów, w których znaczne skarby zgromadzono, bronić postanowili. Do mocniejszego też niż gdzie indziej oporu gotowali się zrozpaczeni, tak że niewiasty nawet sposobily się do walki i gotowe były przywdziać zbroje. Jurga i Andruszka mieli czas wysypać okopy, wystawić ostrokoły i zaborole, zaopatrzyć grodek w żywność dla dosyć licznej załogi i obmyśleć dobrze, co czynić mieli, aby rodzinę swą obronić.

Nierychło też gromady owe rozwścieczone przeciw chrześcijanom ważyły się napaść na gród pilno strzeżony. Opatrywano go zewsząd, podsyłano ludzi, aby załogę ku sobie przeciągnąć, lecz Jurga i Andruszka oko mieli na wszystko. Nie ważył się ów tłum bezładny rozpocząć daremną z rycerstwem walkę. Sądzone, że w końcu głodem i niedostatkiem ich zmogą. Tak upłynęło kilka miesięcy w życiu nieustannej trwogi. Kiedy niekiedy śmielszy ktoś w kilkadziesiąt koni wypadał w lasy za zwierzyną, w pola, z których zabierano wyrwane naprędce zboża. Choć gęb do karmienia było wiele, starczyło jednak od głodu.

Czasem przyciągały gromady i szły niemal pod sam gród, przypatrując mu się; odpędzano je strzałami i nie ważyły się kusić o zdobycie. Wieści zaś z Poznania, od Krakowa nie mieli Jaksowie, bo tam Czesi pustoszyli ogniem i mieczem i ludność wypędzali nawet tysiącami, przesadzając na swoją ziemię.

Nie było pana, nie było Boga, nie było życia, pustynia jedna i zgliszcza, a wśród nich wałęsające się tłumy upojone. Łakomstwo na zdobycz, której się u Jaksów spodziewano, wreszcie rozproszonych napastników w jedną zbiło gromadę.

Kilka tysięcy czerni, najrozmaiciej zbrojnej, bez wodzów prawie, bez ładu, strasznej liczbą tylko, wylało się jednego wieczora jesieni pod gród Jaksów i całą dolinę, wśród której leżał, obozowiskiem zajęło. Niewiasty, patrząc z wietrzników domostw, płakały, licząc i nie mogąc przeliczyć tych tłumów, których wrzaski śmierć się zapowiadać zdawały. Niektórzy, bliżej podbiegając, usiłowali przerazić groźbami i łajaniem. Nie strwożyli się Jurga i Andruszka, a ludowi swojemu za okopami siedzieć cicho nakazawszy, czekali.

Nazajutrz o świcie rzuciła się tłuszcza chmurą wielką na ostrokoły, usiłując je podpalić lub wyrócić, ale taka chmura strzał i oszczepów posypała się, gdy się zbliżyli, tyle trupów padło, że napastnicy cofnąć się musieli. Więc leżeć postanowili obozem i wytrwawszy dni kilka, gdyż żywności zasposobionej braknąć zaczęło, po naradzie w połowie się rozeszli, zostawując część tylko, aby

gródka pilnowała.

Tejże nocy na śpiących wyskoczywszy Jurga z Andruszką niespodzianie, okrutną w nich rzeź sprawili, a gdy się gromady chwyciły do obrony, mieli czas na gród się schronić. Zwiększyło to zajadłość daremną. Ze dniem rzucili się oblegający na wał znowu i walka u ostrokołów zawrzała wściekła. Lano ukrop, walono kamienie i kłody, trupem usłano dokoła okopy, a z południa cofnęli się napastnicy i położyli w dolinie spoczywać. Nie dali im Jaksowie nawet ran obwiązać, znowu z gródka czyniąc w biały dzień wycieczkę. Choć liczbę znacznie mniejszą, lecz ludzi mieli do boju nawykłych, dobrze zbrojnych, z których każdy szedł na dziesięciu, ufając żelazu, jakim był odziany.

Spędzono precz tłumy owe w lasy i słyhać o nich ani nazajutrz, ni dni następnych nie było. Nie ufali jednak temu oblężeni, pewni będąc, że z nowymi siłami powrócą. Zyrun, dowódca tych gromad, opodal je na nowo ściągawszy w lasach, po cichu z nimi przypelzył nocą pod grodek, pewien będąc, że go bezbronnym zastanie. Tu ich czekano w cichości i gdy się do ostrokołów skradali, i pełznąć poczęli jak mrowie, wnet sypnęły się kamienie, rzucono kłody, tak że znowu odbiec było trzeba.

Bronili się szczęśliwie bracia nie tygodni, ale miesiący kilka, jakiegoś końca, jakiegoś miłosierdzia oczekując bożego. Gdy się to zbyt już długo przeciągnęło, a głucha zawsze otaczała ich cisza, radzili w końcu, by żony i dzieci na wozy zabrawszy, dostatek i mienie, opasać dokoła swoim ludem i tak z zamku wyciągnąć, obronną ręką przerzynając się za Wisłę, gdzie spokój miał panować. Już niemal postanowionym to było i dnia tylko wyczekiwano pogodnego, a Andruszka i Jurga, srodze bolejąc nad swoją ojcowizną, jeszcze się ociągali, gdy nadbiegł mały oddział

synów władyków i żupanów, który im zwiastował, że Kazimierz z posiłkami cesarskimi szedł znowu ład i pokój w Polsce przywracać.

Na to więc zeszło to potężne Chrobrego państwo, że Niemcy zbawcami jego być mieli, że w nim na nowo wiarę szczepić, prawo stanowić, kościoły stawiać i uszczuplone granice umacniać było potrzeba.

Skarby wszystkie do Czech uprowadzono niezbożnym łupem, inne Ryksa, uchodząc, powiozła z sobą, rozerwali je swoi i cudzy, nie pozostało nic nad pamięć wielkiego króla, który się w potomku nie odrodził.

Jaksowie byli pierwszymi, co stanęli przy wnuku jego, pomagając do

odbudowania w gruzy rozsypanego królestwa. Stał złupiony i zburzony Poznań, pustką i popieliskiem leżało Gniezno, w Gdeczu żywy mieszkaniec nie został, w łykach ich do Czech





uprowadzono.

Andruszka i Jurga musieli o domowych sprawach zapomnieć, aby młodemu królowi służyć, któremu sług brakło, gdy wszystko z nowa poczynać musiał. Oba też doszli do dostojęństw znacznych, do majątności wielkich i ród ich później się rozmógł, a rozmnożył na liczne gałęzie. Majętności ich we wszystkich prawie ziemiach Rzeczypospolitej i potomstwo, które od włości różne nazwiska poprzybierało, znaleźć można w wiekach późniejszych. Wszyscy byli niemal ludzie rycerscy lub w Kościele wysokie piastujący dostojęstwa, mało który spokojnie na zagonie usiedział i koło roli się zabawiał.

W radzie i w polu miejsce ich było, a wszyscy się znaczyli, jak przodkowie ich, krwią gorącą i umysłem żywym, dwojgiem przymiotów, które sprawiają, że z nimi łącznie nieszczęśliwi na głowę padają, a szczęśliwi wysoko idą do góry. Urósł też ród, aż póki rzeczy ziemskich kolej nań nie przyszła, by z innymi razem na stronę ustąpił.

KONIEC

Jan Matejko – Koronacja Bolesława Chrobrego.